

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/319

1974



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

K. DZIEWANOWSKI : **NARÓD JAK LAWY**

M. BRONSKI : **WŁADIMIR NABOKOW**

A. GUTOWSKI : **HANDEL WSCHÓD-ZACHÓD**

L. KOŁAKOWSKI - CZ. MIŁOSZ : **IRENA KROŃSKA**

SPIS RZECZY

Kazimierz Dziewanowski:	<i>Naród jak lawa</i>	3
—	<i>Przedpłata na „Archipelag GULag”</i> ..	14
M. Broński:	<i>Władimir Nabokow</i>	15
Grażyna Nowak:	<i>List z Londynu</i>	33
WIERSZE		
Czesław Dobek:	<i>Modlitwa przed pisaniem wierszy</i>	47
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	49
Antoni Gutowski:	<i>Handel Wschód-Zachód</i>	59
Roman Krukowiecki:	<i>Blisko-wschodnia kwadratura koła</i>	66
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	76
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	84
K. Szwedowicz:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	90
SPRAWY I TROSKI		
Jerzy Dobrostański:	<i>Emigranci w Australii</i>	93
K R A J		
Adam Zawieja:	<i>Którzy są...</i>	99
STRATY KULTURY POLSKIEJ		
Leszek Kołakowski:	<i>Irena Krońska</i>	106
Czesław Miłosz:	<i>O Irenie Krońskiej</i>	108
Irena Krońska:	<i>O Izidorze Dąmbskiej</i>	111
KRONIKA KULTURALNA		
Marek Żuławski:	<i>Jerzy Żuławski 1874-1915</i>	118
Józef Czapski:	<i>„Abel min broder”</i>	121
Wit Tarnawski:	<i>Sprawy conradowskie</i>	123
—	<i>Stypendia „Polonia Technica”</i>	126
SPRAWY (NIE TYLKO) WYDAWNICZE		
Adam Bromberg:	<i>„Krytyka” i krytyka</i>	127
KSIĄŻKI		
Maria Czapka:	<i>Dziennik inż. Czerniakowa</i>	133
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	140
—	<i>O Vincencie po ukraińsku</i>	143
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	145
♦		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	148
♦		
I. T. Człowiekowski, Al. Ford,	<i>Listy do Redakcji</i>	155
Al. Klugman, Jerzy St. Lang-		
rod, Al. Matejko, M. Sas-		
Skowroński, R. K. Wilson:		

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień - Avril

1974

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ "KULTURY"

A. I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz trzeci	F. 55,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz dwudziesty trzeci	F. 255,00
Czytelnik z Polski	F. 25,00
L. Fulmyk, Winnipeg, Man. (Kanada)	F. 30,00
Janusz Laskowski — zamiast podziękowań za życzenia na 40 lat pracy dziennikarskiej, Paryż — po raz dwudziesty drugi ..	F. 50,00
Ks. Henry M. Malak, Lemont, Ill. (USA), po raz piąty	F. 20,00
J. Minkiewicz-Targońska, Vliasingen (Holandia) — pamięci Męża	F. 100,00
C. Plater, Ottawa, Ont. (Kanada)	F. 50,00
Polonia Technica Inc., New York, N.Y. (USA), po raz dziesiąty	F. 125,00
Nina Sreda, Montreal, Que. (Kanada), po raz trzydziesty szósty	F. 50,00
Zamiast kwiatów dla śp. Antoniego Natanka — koledzy z Koła S.P.K. Nr 19 w Bostonie, Mass. (USA) oraz przyjaciele ..	F. 350,00
Stanisław Stachelski, Johannesburg, po raz czwarty	F. 350,00
Czesław Zaim, Cleveland, Ohio (USA), po raz siódmy	F. 37,00

DZIĘKUJEMY!

Naród jak lawa

(PAMFLET NA SPUCHŁOKARKICH)

„... Nasz naród jak lawa,
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi”.

I

Mój Boże, co by się działo, gdyby to dziś ośmielił się ktoś takie słowa napisać! Jaki by się ryk podniósł i jakie złorzeczenia! Ruszyliby do czynu rycerze publicystycznego kastetu i samuraje felietonowej kłonicy. Z gębą napuchłą od superpatriotycznego frazesu, z karkiem spęczniałym z oburzenia, ale i z chytrym oczkiem patrzącym bystro, czy chorągwie nadal wieją w tę stronę, czy też już może w inną? Czy złego warkotu nie zamienić na okrzyk uznania, a dłoni ściśniętych w pięść nie złożyć do okłasków? Jakiż rejwach czynią ci rwacze, ręce im się trzęsą do posadek, a za katapultę — która jak barona Münchhausena wystrzeli ich na szczyt góry — przyjęli frazes o ojczyźnie, innym prawa do patriotyzmu odmawiając, a rozumieją ojczyznę jako sztandary i fanfary, czaka i czapraki, pomniki i capstrzyki. „W ojczyźnie było laurowo i ciemno...”. I dzieje się tak, jakby dwieście lat naszej ostatniej historii nie nauczyło nas, że patriotyzm to jest ból i gorz, to jest szarpanie się i palący niepokój, to jest rzecz trudna. Ci Scaevolowie naszej publicystyki i kultury, co dla poświęcenia niezłomnego patriotyzmu swego zawsze gotowi cudzą

rękę w ogień włożyć. Likurgowie stanu wyjątkowego, sądów doraźnych, represji przeciw każdemu, kto z nimi nie trzyma. Czerwony transparent pomieszał im się z Matką Boską Częstochowską. Stańczyk z Zawiszą Czarnym. Patrz Kościuszko na nas z nieba, tylko nie patrz nam aby na ręce...

A przecież pisał już kiedyś poeta w wierszu *Narodzie mój*:

„Obnażę jego wstyd,
Spod sztandarów i kit
Oberwanych, twarz jego zawstydzę...”

Och, jakby się rzucili na niego, gdyby żył, jakże by go szarpali i wyzywali, i pluli! Ale on zmarł dawno i dawno już kanonizowany w chrampie świętości narodowych, więc go nie ruszają, napadają tylko tych, co żyją, i którzy widzą los polski w dziejach inaczej, nie w poetyce Grottgera i Najświętszej Pani, nie w nutach „Hej, strzelcy wraz”, ani „Jak to na wojence ładnie”. Tych, co rozumieją, że ten los był często tragiczny, czasem dziwny, ale i niesamowity, inny niż los zwykłych rodzin europejskich, wciąż wpłatywany w wielkie wydarzenia, na które zwykły człowiek miał wpływ niewielki, co jednak nie zwalniało go od konieczności przyjmowania wciąż na nowo postawy zgodnej z jego przekonaniami. I nieraz syn zaprzeczał temu, w co wierzył ojciec, ojciec wyrzekał się syna. I zawsze była to sprawa wyboru, dokonywanego wciąż na nowo, z różnymi konsekwencjami, sprawa trudna, niejednoznaczna, która sprawiała, że obok Łukaszyńskiego był też Mochnacki, a obok Wysockiego — Chłopiński, obok Traugutta — Wielopolski.

A tutaj naraz widzimy, że są tacy, co chcieliby to wszystko uprościć, ustawić w ordynku, samemu stanąć na czele i wydawać komendy. Historii nie znają i pojmują dzieje na zupacką modłę, na zupacki też sposób chcieliby społeczeństwo przykroić, narzucając mu pogląd uproszczony a jednolity, wydając jednym patentem na patriotyzm, a innym go odmawiając. Od lat starają się zachachnąć naszą historię, wmówić społeczeństwu, że była ona taka więcej ułańsko-partyzancka i beztroska, bardziej podobna do „Siedmiu Wspaniałych” niż do „Rozdziobią nas kruki, wrony”. Jedni z nich są prostego ducha i wszystko rozumieją po prostu. Inni nie — to cwaniacy, którym nie brakuje sprytu.

Myślę, że są i tacy, co świadomie lub nieświadomie, bardzo jednak konsekwentnie, starają się wykorzystać dla swoich celów (to znaczy dla uzyskania poklasku i popularności, a w rezultacie znaczenia i wpływów) potęgujące się w naszym życiu społecznym, publicznym i kulturalnym zjawisko drobnomieszczaństwa.

II

Zdaję sobie sprawę, że wysunięcie tezy o potęgującym się wpływie drobnomieszczaństwa na życie kraju może być poczytane za ciężki zarzut i może wzbudzić niechętną reakcję, a nawet oburzenie. Uważam, że niesłusznie. Występowanie zjawiska, o którym myślę, nie tylko nie stawia znaku zapytania nad charakterem odbywających się w naszym kraju przemian, ale przeciwnie — jest dowodem, że przemiany te są rzeczywiście głębokie. Postaram się to uzasadnić.

Przede wszystkim jednak: cóż to jest owo drobnomieszczaństwo i gdzie go szukać w nowym polskim społeczeństwie? Choć w literaturze socjologicznej i historycznej ostatnich kilkadziesiąt lat pojęcie to pojawia się bardzo często, niełatwo jednak je zdefiniować. Dawniej rozumiano przez to drobnych kupców, i przedsiębiorców, przedstawicieli wolnych zawodów, małych urzędników, pracowników umysłowych, nauczycieli, czyli tych, których w Ameryce określają jako *white collars*, białokołnierzyków. Określając drobnomieszczaństwo w taki sposób, brano pod uwagę nie tylko jego pozycję społeczno-ekonomiczną (kryterium produkcyjne) i standart życiowy (kryterium konsumpcyjne), ale i pewne cechy mentalności zbiorowej, nawyków myślowych i obyczajowych. Zaliczano do tej grupy również najlepiej płatną „arystokrację robotniczą”, funkcjonariuszy związkowych, nadzorców, magazynierów itp. Tak zdefiniowane pojęcie drobnomieszczaństwa można np. znaleźć u prof. Ryszki, kiedy mówi o społeczeństwie niemieckim lat dwudziestych.

A u nas, w społeczeństwie budującym socjalizm? Profesor Jan Szczepański w pracy „Inteligencja a pracownicy umysłowi” wyróżnia kilka kategorii ludzi, których kwalifikuje bez zastrzeżeń jako należących do warstwy „inteligencji”, ale prócz nich wskazuje również na istnienie ogromnej — i rosnącej — masy „pracowników umysłowych”, co do których ma najwyraźniej wątpliwości, czy można ich zaliczyć do ściśle zdefiniowanej kategorii inteligencji. Píše:

„Czym są? Częścią klasy robotniczej? Nową formą inteligencji? Kontynuacją drobnomieszczaństwa w specyficznych warunkach społeczeństwa socjalistycznego?... Wydaje się, że w Polsce nie można tych mas pracowników umysłowych, tych właśnie mas drobnych urzędników uznać za składową część proletariatu w tradycyjnym marksistowskim rozumieniu tego słowa. Są pracownikami najemnymi, lecz nie mają świadomości społecznej mas robotniczych. Mają inne ambicje i cele życiowe. Ich droga życiowa prowadzi nie przez doskonalenie zawodowe i podnoszenie wydajności pracy w swoim zawodzie, co charakteryzuje robotników fizycznych, lecz przez awans na szczeblach stanowisk służbowych. Mają oni pewne ambicje docierające do nich z dawnej inteligencji i współczesnych kręgów intelektualistów, lecz w znacz-

nym stopniu pozostają pod wpływem form życia, stylu mieszkania, zachowania, rozrywek rozwiniętych w dawnych środowiskach drobnomieszczańskich".

Prócz masy pracowników administracyjno-biurowych, prof. Szczepański wyróżnia jeszcze kategorię „ekspertów”: inżynierów, lekarzy, nauczycieli itp., których traktuje niejako osobno — lecz w pewnej jednak z nimi łączności. Wydaje się, że w interesującej nas w tej chwili kwestii najważniejsze jest nie tyle ściśle umiejscowienie danej grupy ludzi w strukturze społecznej i produkcyjnej, ile zwrócenie uwagi na pewne zjawiska psychiczne dotyczące mentalności, stosunku do kultury, moralności, celów życiowych, wreszcie gustów. Tu tkwi, moim zdaniem, klucz do zrozumienia licznych zjawisk naszego życia społecznego.

Przełożmy to na język życia codziennego. Kim są owe przysłowiowe „panienki z okienka” lub zza biurka? Kim są owi młodzi technicy, którym szkoła otworzyła możliwość awansu? Kim są awansowani na stanowiska zarządzające robotnicy? Kim są ludzie zarywający noce, aby ukończyć studia zaoczne? Kim są młodzi aktywiści, którzy stopniowo wspinają się po szczeblach drabiny administracyjnej? Kim są młodzi oficerowie, lekarze, prawnicy, agronomowie, nauczyciele, którzy wysiłkiem własnym i rodziców wyszli ze wsi i odbiwszy się z wiejskiej szkoły wykonali ów klasyczny dziś w naszym społeczeństwie trójskok: geograficzny (bo do miasta), zawodowy (bo do pracy, o jakiej ich rodzice nawet nie marzyli) i społeczny (bo z pozycji zwykłego wytwórcy znaleźli się na pozycji zarządzającego lub twórcy nadbudowy)? Kim oni wszyscy są? Przede wszystkim są ludźmi, którym rewolucja socjalna w Polsce dała szansę wywyższenia się i zrealizowania ambicji. Są produktem symbolem i jednym z najważniejszych dowodów przemian społecznych w Polsce. Są zarazem transfuzją świeżej krwi, jaką dano polskiej inteligencji, kulturze, instytucjom państwowym, myśli społecznej, nauce i technice.

Nastąpiło, po roku 1945, wspaniałe wymieszanie, potężna migracja wewnątrz społeczeństwa, wstrząśnięcie starymi hierarchiami — wielka przemiana materii. Myślę, że już to samo jest wystarczającym powodem, by głosić chwałę rewolucji i wiele jest w historii dowodów świadczących, że takie zjawiska — wynikające z potrząśnięcia społeczną retortą — dobrze wpływały na losy narodów. To właśnie stało się w Anglii w epoce Cromwella i później, w epoce podbojów i wielkiej przedsiębiorczości; to stało się we Francji podczas Wielkiej Rewolucji i podczas następnych wstrząsów dziewiętnastego wieku; to nastąpiło w Ameryce podczas wojny domowej i wtedy, gdy na zachód ciągnęły

karawany wozów. U nas stało się to dopiero podczas Drugiej Wojny Światowej i później, po roku 1945. Powstała nowa, liczna i prężna grupa ludzi, którzy awansowali. Uzyskali ten awans dzięki przemianom społecznym, dzięki losowi i dzięki własnym wysiłkom.

Jest to wielki skarb, od którego może się zacząć nowy wiek złoty w Polsce. Może — ale nie musi...

III

Ta nowa grupa ludzi awansowanych (a mam tu na myśli nie tylko tych pracowników umysłowych, o których pisał prof. Szczepański, lecz tych wszystkich, którzy korzystnie dla siebie zmienili miejsce w hierarchii społecznej) — oddziałuje dziś na całe życie kraju, wnosi wkład we wszystkie dziedziny twórczości — i modeluje rzeczywistość na swoje podobieństwo. To wszak właśnie ci, którzy „mają inne ambicje i cele życiowe”. Nie ma w tym niczego pejoratywnego, nie oznacza wywyższania się ponad ludzi zwykłej pracy, oznacza natomiast, że awansowani mają ambicję odegrania większej roli, wybicia się, wniesienia większego i bardziej skomplikowanego wkładu. Taki jest w końcu sens awansu, chociaż nie raz popełniano u nas głupstwa, z jednej strony zachęcając ludzi, by awansowali, z drugiej zaś — mając im to za złe i patrząc na nich podejrzliwie. Umówmy się jednak raz na zawsze, że są to zjawiska dobre i pożyteczne.

Jednakże ta grupa jest zarazem młoda, nieokrzepła, trochę zdziwiona, trochę zaskoczona, trochę niepewna. Nieraz zarzuca się jej waźniactwo, zły stosunek do ludzi, odrywanie się od rodzinnego zaplecza, ukrywanie swego pochodzenia, wypieranie się rodziców — świadczy to o poczuciu niepewności, jakże naturalnym w pierwszym pokoleniu korzystającym z awansu. Tak zawsze było w podobnych przypadkach i niejedno można na ten temat wytoczyć już u starożytnych autorów. A z nowych: u Babla, u Różewicza. Kariera — to nielubiane, ale przecież niezbędne słowo, oznacza trudne wyzwanie, napięcie nerwów, konieczność szybkiego przystosowania się do nowych wymagań, stressy. Jest to trudny egzamin dla charakterów i często się zdarza, że ludzie poddani takim obciążeniom, chcąc się na nie uodpornić, wyrabiają w sobie te wszystkie złe cechy, które zwykliśmy określać jako drobnomieszczańskie. Dzieje się tak, kiedy najważniejszym, głównym kryterium stają się zwolna ja sam i moje powodzenie, a później racją mojego istnienia staje się obrona uzyskanej już przeze mnie pozycji.

Ludzie, którzy awansowali, instynktownie szukają wzorów postępowania, zachowania, gustu, urządzania życia. I tutaj czytają liczne niebezpieczeństwa. Któż może dostarczyć tej wielkiej grupie ludzi wzorów interesujących i przekonujących? Są oni chłonni jak gąbka i plastyczni jak glina rzeźbiarska. Nieraz jeszcze mawia się, że owych wzorów wciąż dostarcza im stara polska szlachta, ze wszystkimi swymi wadami, ale myślę, że to wolne żarty. Więc może stara inteligencja? To już jest zapewne bardziej prawdziwe, ale wiemy przecież, że ta inteligencja najpierw została niemiłosiernie przetrzebiona przez wojnę, później zaś była często otaczana podejrzliwością i jej wpływ na młodych awansujących nie mógł być wielki. Istnieje on może w środowiskach artystycznych i akademickich, a i to coraz rzadziej. Któż więc pozostaje? I tu właśnie znajdujemy lukę, która nie została jeszcze wypełniona. Teoretycznie lukę tę powinny w przyszłości wypełnić nowe, socjalistyczne wzory stosunków między ludźmi, lepszego, bardziej ludzkiego pojmowania celu naszego życia i działalności, egzystencji mającej więcej wewnętrznej treści, niż to bywało dotąd. Tak powinno kiedyś być, ale na razie jesteśmy dość jeszcze oddaleni od tej wizji. Na razie w tej luce krzyżują się rozmaite, całkiem nieraz przypadkowe wpływy: czasem jest to wpływ popularnego działacza, a czasem piosenkarza, czasem bywa to prawdziwy twórca, a czasem chciwy dorobkiewicz. Miesza się wpływy *Przekroju* i telewizji, zagranicznych filmów i podglądanych w nocnej knajpie turystów, złotej młodzieży z najlepiej sytuowanych środowisk, a także „afer orbisowskich”, komisów i Sopotów. W wyniku tych wszystkich oddziaływań wprowadza się jednakowe we wszystkich powiatowych miasteczkach — a także i w stolicy — plusze i kandelabry, a potem zastępuje się je ohydnyymi „pikasami” — o klozetach wszakże zapominając.

Celowo mówię tutaj o przejawach drobnomieszczaństwa w dziedzinie gustu, albowiem są one najłatwiej spostrzegalne. Ale przecież sprawa jest o wiele poważniejsza. Powiedzmy szczerze: ludzie, którzy szybko awansowali niesieni falą ogromnych przemian — i nie są jeszcze pewni siebie, nie wiedzą, czy będą umieli obronić zdobytą pozycję — prędko nabierają skłonności do przyjmowania postaw skrajnie zachowawczych. Za wszelką cenę bronią tego, co zdobyli. Chcąc zasłonić się przed własnym lękiem, zwolna nabierają niezłomnego przekonania o własnej racji, guście, wiedzy, patriotyzmie. Stąd już tylko krok do natręczego żądania wciąż nowych i coraz ostrzejszych represji: dla przestępców, którzy naruszają porządek, ale i dla tych, co mają inne poglądy, inny gust, różnią się filozofią, albo narodowością, albo rasą, albo choćby krojem marynarki i długością włosów.

Nie odkrywam tu niczego nowego, pisano już o tym niejedną

raz. Wiadomo, że najzjadlej przekonany o swojej słuszności i racji jest właśnie drobnomieszczanin, który boi się i nienawidzi wszystkiego, co jest inne, co nie jest do niego podobne. Drobnomieszczanin jest nietolerancyjny, a przy tym głęboko również konformistyczny, gotowy posłusznie przyjąć narzucane mu przez wyższe autorytety modele zachowania, myślenia, życia. Wszystko to nie jest nowe, ale myślę, że nie zwracaliśmy dostatecznej uwagi na to, że dotyczy to również i naszego społeczeństwa. Te zjawiska są naturalnym składnikiem wielkich procesów — i w tym sensie nie ma na nie rady — ale ponieważ są zjawiskami szkodliwymi dla społeczeństwa i dla socjalizmu — przeto powinniśmy je sobie uświadomić i szukać na nie lekarstwa.

Drobnomieszczański konserwatyzm, brak tolerancji połączony z nadmiarem konformizmu — jest groźny, ponieważ rodzi prywatę, i zabija poczucie służby społecznej. W oparach drobnomieszczaństwa człowiek staje się człowiekiem wilkiem i czasem osiąga takie wyżyny zakłamania i specjalnego rodzaju szantażu, jak ów bohater STS-owego przedstawienia Solo na perkusji, który był zawsze gotów zrobić każde świństwo, by się przypodobać zwierzchnikowi, a gdy ktoś ośmielił się go skrytykować, wówczas nadymał się, pęczniał i potworniał, wrzeszcząc:

— Moi bracia, tam, na rzeszowszczyźnie, oni orzą, a wy, mnie, tutaj...

W niektórych pismach bywają opisywane z lubością zewnętrzne przejawy drobnomieszczaństwa w postaci badylarskich willi. Myślę, że badylarskie bungalowy z wodotryskami nie stanowią wielkiego niebezpieczeństwa, byle badylarska mentalność, poglądy i gusty nie stawały się obowiązującymi. I żeby wszystko było jasne: uważam, że gorsi są ci, co nie mają wprawdzie ani skrawka ziemi, nie wiedzą jak się sadzi pomidory, nigdy nie wozili pietruszki na targ — ale czują, że zawsze mają rację, że posiadli już całą wiedzę na każdy temat, znają się zarówno na pielęgnowaniu śliwek, jak i na modzie, na robieniu filmów, handlu zagranicznym, męskich fryzurach i buddystach „zen”, i którzy są przekonani, że cały świat winien być administracyjnie zmuszony do ścisłego stosowania się do ich poglądów na wszystkie wymienione sprawy. I na wiele nie wymienionych.

IV

W Polsce — podobnie zresztą jak i w licznych młodszych i mniej rozwiniętych krajach — rzecz ma dodatkowe oblicze. Jest to zagadnienie patriotyzmu, stosunku do historii, spojrzenia na rolę i miejsce własnego narodu. Jeżeli w Anglii krach imperium

skłania ludzi do przyjmowania bardziej krytycznej i ironicznej postawy wobec dziejów kraju — stąd właśnie zrodziła się „Szarża lekkiej brygady”, albo gorzkie żarty *Punch’a*, to u nas niektórzy ludzie sądzą, że trzeba naszą historię napompować ważnością, przydać jej zwycięskiego blasku, którego jej podobno brakuje.

I w tym wypadku mamy znowu do czynienia z widocznymi objawami wewnętrznego poczucia niepewności grupy ludzi awansowanych, poczucia zrozumiałego, wytłumaczalnego i naturalnego, z którym wszelako nie należy się godzić. Wśród historyków można spotkać pogląd, że naród polski ostatecznie uformował się i stał się narodem nowoczesnym dopiero podczas Drugiej Wojny Światowej. Dopiero wtedy, w obliczu totalnej wrogości najeźdźcy, w obliczu komór gazowych i wobec śmierci, jaka została przyrzeczona każdemu Polakowi za to tylko, że był Polakiem — dopiero wtedy ostatecznie ugruntowało się poczucie jedności narodowej, wspólnego losu i wspólnej odpowiedzialności. Dopiero wtedy została zasypiana przepaść między Kordianem i Chamem, Bartoszem Głowackim i Sułkowskim, Poetą i Czepcem.

I oto młodzi ludzie, którzy po roku 1945 zaczęli piąć się w górę, przekonali się, że tym razem, po raz pierwszy w dziejach, państwo polskie jest naprawdę ich państwem, że stanowi ich skarb, ich własność i dumę — zetknęli się na początku z takim obrazem tego państwa, z którego wymazano niemal wszystko, co w nim było ważne. Kilkanaście, czy kilkadziesiąt nazwisk rozsianych samotnie na przestrzeni wieków — to było wszystko. Reszta zaś była błędem, uciskiem, zacofaniem. Taki obraz nie zaspokajał ich aspiracji. Ci, którzy po raz pierwszy poculi się panami we własnym domu, chcieli z jednej strony, aby o historii naszego państwa można było mówić prawdę, a z drugiej — aby to była prawda pozytywna, aby była krzepiąca, aby można się na nią powoływać z dumą. Wśród wielu ludzi z tego pokolenia wytworzyło się — jakże zrozumiałe — pragnienie gloryfikacji dziejów Polski. *My country, right or wrong*, mawiają Anglicy. Podobnie patrzy na naszą przeszłość wielka grupa ludzi awansowanych, przy czym, w odróżnieniu od starej inteligencji polskiej — patriotycznej, ale i głęboko krytycznej — podkreśla ona przede wszystkim to, co było *right*, a wołałaby zapomnieć o tym, co było *wrong*. Rządzą tym głębokie prawidła i potrzeby psychologiczne.

Prezentowany obecnie obraz historii Polski jest bez porównania bogatszy, bardziej złożony, sięgający do wielu źródeł i bardziej prawdziwy — zrobiono w tej dziedzinie naprawdę dużo. Wiele uczynili historycy i publicyści tej właśnie grupy i tego

pokolenia. Sprostowano wiele mylnych lub wypaczonych ocen, podniesiono na nowo wiele trudnych spraw, ukazano zarówno heroizm, jak i głupotę, tragedię i pomyłki, poświęcenie i prywatę. Na nowo ukazano, jak trudne i niejednoznaczne były nasze dzieje, jak ciężkie dźwigamy na barkach dziedzictwo.

Wszelako to nie koniec pracy. Zostało jedno niezmiernie ważne zadanie.

V

Oto, obok ludzi dobrej wiary, wśród ludzi, którzy podjęli ciężki trud intelektualny, wymagający nieraz rzetelnej odwagi — pojawili się też sprytni kombinatorzy. Postanowili wykorzystać dla swoich celów słabości i wahania tej wielkiej grupy ludzi awansowanych, tej nowej polskiej inteligencji, jak również — nie bójmy się tego słowa — tkwiących w niej, jak w cemen-cie, gruzek drobnomieszczaństwa. Postanowili wykorzystać i jej dążenie do uzyskania nieskazitelnego rodowodu narodowego, i pewne kompleksy, i — jakże rozumiałą — wewnętrzną niepewność, będącą wynikiem ogromnych przetasowań społecznych. Z wyrachowaniem odwołali się do instynktów i reakcji najmniej wartościowych, czasem po prostu szkodliwych. Zawsze i w każdej sprawie, o co tylko toczy się publiczna dyskusja, można na nich liczyć, można być pewnym, że zajmą najbardziej obskurancie stanowisko, zaapelują do najgorszych cech charakteru społecznego: nie do rozumu, lecz do głupoty, nie do tolerancji, lecz do fobii, do obsesji i nienawiści, nie do szerokiego spojrzenia, lecz do zaścianka, do ograniczeń, do ciemnoty. Czynią to tak konsekwentnie, że trudno przypuścić, aby robili to przez przypadek, albo przez nieporozumienie. Należy raczej sądzić, że czynią to z rozmysłem, świadomie, na zimno. Chcą ubić kapitał na najgorszych cechach tej nowej grupy społecznej, a nie na najlepszych; odwołują się do wszystkiego, co w niej drobnomieszczańskie, co w ewidentny sposób jest — i zawsze było — szkodliwe dla społeczeństwa, ale co może stać się trampoliną, od której oni odbiją się do wielkiego skoku do góry.

Represje? Zaostrzyć! Karę śmierci? Stosować! Młodzież? Strzyc i nie dyskutować! Pracę przymusową? Wprowadzić! Z miast? Wysiedlać! Płodzić się! Rozmnażać! Kontrolować! Zakazać! Potępić! Oto program, jaki proponują ci publicyści, którzy — aby utrudnić kontrakcję — przypisują sobie prawem kaduka wyłączny monopol na patriotyzm, na orzekanie, kto jest dobrym Polakiem, a kto nie, kto ma prawo się wypowiadać, a komu trzeba wyrwać język. Napisał Brandys trudną i gorzką

książkę o polskim losie, starał się pokazać, jak naprawdę było — więc łupnąć Brandysa, że ośmiesza, że zohydza, że drwi. Bo przecież było zawsze fajnie, krzepko, narodowo i teraz winno być tak samo. A Brandys niech trzyma język za zębami, bo patent na narodową prawdę ma tylko *Prawo i Życie*.

Nie twierdzą, że książka Brandysa ma się każdemu podobać. I nie uważam, żeby nie można jej było krytykować. Jednakże argumenty użyte przez pana Strzelewicza w *Prawie i Życiu* to nie argumenty, ale demagogiczna i kłamliwa pałka. I nie twierdzą również, że pan Strzelewicz miał tak daleko sięgające zamiary. Być może on rzeczywiście tak rozumie (albo raczej — nie rozumie) treść narodowych dziejów. Nie mam podstaw, aby go posądzać o złą wolę, ale sądzę, że ludzie, którzy tak systematycznie uprawiają odwoływanie się do cech drobnomieszczańskich — wiedzą co robią, nie są dziećmi. Zbudowali na tym swoją koncepcję. I dlatego uważam, że należy z nimi polemizować, jest to po prostu obowiązek publicysty. Drobnomieszczaństwo jest obecne. Jest ono ubocznym produktem wielkich przemian społecznych, nieuniknionym wprowadzie i wytłumaczalnym, ale groźnym. Wiemy, że musiało się objawić i nie ma powodu, aby z tej przyczyny załamywać ręce. Ale nie ma również żadnego powodu, abyśmy w socjalistycznym społeczeństwie mieli się z tym godzić, a tym bardziej — popierać.

Nie nawołuję, żeby kogokolwiek potępiać, czy czegokolwiek zakazywać. Byłoby to sprzeczne z zasadami, o które mi chodzi. Uważam jednak, że nie powinniśmy się godzić, aby monopol w dziedzinie gustu i obyczajów mieli badylarze, złoci młodzieńcy, czy idole z telewizji, zaś monopol w dziedzinie wykładania ojczystej historii, orzekania o patriotyzmie, monopol dyktowania zasad moralnych, filozoficznych i politycznych przywłaszczyli sobie Spuchłokarce. Sądzę, że trzeba się zdobyć na mądry wysiłek ukazania tym liczny rzeszom ludzi, poszukujących wzoru i objaśnienia, wielkich tradycji polskiego humanizmu, tolerancji, oświecenia, szacunku dla człowieka, wielkiej umiejętności czerpania dobrych wzorów od innych, śmiałego wnoszenia własnych wartości — tego wszystkiego, czym Polska wyróżniała się gdy była świetna i wielka. Polska kultura, polski język i polska myśl — to były najważniejsze bronie, które uchroniły nas od zagłady. Potrząsanie amarantami nie zastąpi przepojonego prawdziwą troską słowa, nie zastąpi głębokiej, krytycznej myśli. Zacieranie tej prawdy nie służy narodowi, lecz mu szkodzi, choćby temu towarzyszeli trąby jerychońskie i góra patriotycznych frazesów.

Trzeba wysoko podnieść na tarczy to, co było najlepsze w polskiej historii i trzeba to wnieść w nową epokę, w której po-

winniśmy to połączyć z najszczytniejszymi zasadami socjalizmu: z szacunkiem dla człowieka uwolnionego od ograniczeń starego świata, dla jego niepowtarzalności, dla jego wewnętrznej swobody. Tak rozumiem zadanie, od którego nikt nas nie zwolni, choć, być może, nie potrafimy mu sprostać. Odwoływanie się zaś do najgorszych cech drobnomieszczaństwa nie daje się z tym zadaniem pogodzić.

Kazimierz DZIEWANOWSKI

(Artykuł ten zamieszczamy bez wiedzy i zgody autora).

„ARCHIPELAG GUŁAG”

ALEKSANDRA SOŁŻENICYN

ukaze się w języku polskim nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu w przekładzie Michała Kaniowskiego, który uprzednio przetłumaczył dla Instytutu „Krag pierwszy” tegoż autora.

Przewidziany termin ukazania się książki: maj-czerwiec br.

Ze względu na bardzo wysoki koszt tłumaczenia i wydania książki, która będzie liczyła około 600 stron, prosimy o najszybsze nadsyłanie zamówień, co pozwoli nam na ustalenie, wysokości nakładu. Biorąc pod uwagę wielkie zainteresowanie „Archipelagiem Gułag” normalny nakład może być bardzo szybko wyczerpany.

Cena „Archipelagu Gułag” ustalona jest orientacyjnie na F. 50 (\$ 11) lub równowartość w innych walutach. Gdyby — ze względu na ciągle rosnące ceny papieru i druku oraz wahania walutowe cena sprzedaży „Archipelagu”, po jego ukazaniu się, musiała być wyższa — ewentualna podwyżka nie będzie dotyczyła tych, którzy książkę zamówią wcześniej.

Zamówienia należy kierować do administracji Instytutu Literackiego (91, Avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi, par 78600-Maisons-Laffitte) lub do przedstawicieli.

Instytut Literacki wydał poprzednio następujące książki A. Sołżenicyna:

„Krag pierwszy” t. I/II (F. 60,00 \$ 12,50),

„Oddział chorych na raka” (F. 40,00, \$ 8,50).

Ponadto w antologii współczesnej literatury sowieckiej pt. „We własnych oczach” ukazała się nowela A. Sołżenicyna „Zagroda Matrony” w przekładzie J. Łobodowskiego, zaś w *Kulturze*: z lipca-sierpnia 1963 — opowiadanie pt. „Zdarzenie na stacji Kreczetowka”; z listopada 1970 — „Wiersze prozą” w przekładzie I. Szenfelda; z kwietnia 1971 „Procesja wielkanocna” w przekładzie M. Kaniowskiego.

Prosimy o zgłaszanie zamówień na adres Instytutu wraz z wpłatami, które należy przysyłać bądź czekami, bądź pocztą wpłacając bezpośrednio na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE
91, AVENUE DE POISSY,
LE-MESNIL LE ROI
78600-MAISONS-LAFFITTE.

(Nr konta):

C.C.P. PARIS 18 228-38.

Prosimy Czytelników z *Kanady* o przysyłanie czeków bankowych we frankach, możliwie płatnych w Paryżu, gdyż inkaso czeków w dolarach kanadyjskich płatnych w Kanadzie kosztuje około 2ch dolarów.

Władimir Nabokow

(W 75-tą ROCZNICĘ URODZIN)

Władimir Nabokow (ur. 22 kwietnia 1899 roku w Petersburgu) jest niewątpliwie najwybitniejszym — obok Sołżenicyna — żyjącym pisarzem rosyjskim; zdaniem wielu — także amerykańskim; zdaniem niektórych — najwybitniejszym żyjącym pisarzem w ogóle. W Polsce znany jest tylko jako autor *Lolity* (1955) — często tylko ze słyszenia, i na skutek tego uważany jest za rodzaj Pitigrilliego w lepszym gatunku. Nieobecność Nabokowa w polskim krwioobiegach intelektualnym jest na pewno zubożeniem, ponieważ jest to pisarz i człowiek niezwykle.

Bibliografia Nabokowa w monografii Fielda¹ liczy 27 stron i wymienia: 7 zbiorów poezji plus ok. 100 utworów poetyckich (rosyjskich i angielskich) rozsypanych po czasopiśmie; 15 powieści; ok. 50 opowiadań; 9 sztuk teatralnych; autobiografię w trzech wersjach (rosyjskiej i dwóch angielskich); tłumaczenia: m.in. „Alicji w krainie czarów” na rosyjski oraz „Słowa o wyprawie Igora” i „Eugeniusza Oniegina” na angielski; ok. 50 recenzji i szkiców krytycznych; niezwyklej monografię Gogola; 20 rozpraw fachowych z dziedziny lepidopterologii (nauka o motylach); bliżej niesprecyzowaną liczbę problemów szachowych, w rosyjskich pismach emigracyjnych lat 1920-40.

Po ukazaniu się wspomnianej bibliografii Nabokow opublikował dwie dalsze powieści po angielsku: *Ada, or Ardor: A Family Chronicle* (1969) oraz *Transparent Things* (1971); obecnie przygotowuje do druku swoje wykłady z okresu profesury na Cornell University (Ithaca, N.Y.) w latach 1948-58.

Nabokow nie jest podobny do nikogo, ale można go usytuować

1. Andrew Field: *Nabokov — His Life in Art*; Little, Brown & Co. 1967.

wać typologicznie. Krytyka anglosaska zestawia go z Joyce'em, Proust'em, Kafką i Borges'em, uwypuklając tym rzucające się w oczy cechy jego pisarstwa: fascynację językiem, fascynację problemem czasu, wielopłaszczyznowość, fantasmagoryczność i autonomiczność jego świata. Przenosząc tę typologię na grunt polski, jako pokrewny typ pisarski wymienilibym na pierwszym miejscu Gombrowicza, na dalszych zaś: Witkacego, Bruno Schulza, Parnickiego.

Na pokrewieństwo Nabokowa z autorem *Kosmosu* i *Ślubu* pierwszy zwrócił uwagę Dominique de Roux w swej — skądinąd mało czytelnej — książce *Gombrowicz*². Łączy ich obu wrażliwość na formę, umiłowanie groteski, wewnętrzna suwerenność czy nawet: wielkopaństwo. Łączą ich też zbieżności życiorysu: młodość w zamożnych, kulturalnych domach; nagła emigracyjna bieda i anonimowość; twórczość w słowiańskim języku na obczyźnie. Wymienię jeszcze pasję do szachów — charakterystyczny rys umysłowości, może nawet więcej: koncepcji sztuki.



„Solus Rex” to nazwa klasy problemów szachowych, gdzie samotny król znajduje się wobec określonej liczby figur przeciwnika i gdzie w określonej liczbie ruchów musi nastąpić mat. Samotność, zagrożenie, pomazanie, bezradność, umowność, fatum — zarys tego paradygmatu dostrzega się wyraźnie w sztuce Nabokowa. Jego ostatnia rosyjska, niedokończona powieść nosi tytuł *Solus Rex* (tylko pierwszy rozdział zdążył się ukazać w ostatnim, 70-tym zeszytzie paryskich „Sowremennych Zapisków” wiosną 1940 roku). Trudno uniknąć refleksji na temat symboliki tego utworu, który dzieje się w fantastycznej ni to Islandii, ni to Norwegii i opisuje wzbieranie przewrotu, nadciągającą zagładę, wygnanie króla. W momencie jej pisania „rosyjska Europa”: świat emigracyjnej literatury rosyjskiej, w którym W. Sirin — ówczesny pseudonim Nabokowa — był już najjaśniejszą gwiazdą, miał się ku końcowi. Dosłownie na kilka dni przed okupacją Francji — 28 maja 1940 roku — Nabokow z żoną i 7-letnim synem odpłynął do Ameryki; redaktor *Zapisków*, Ilia Fondaminski — „święty i heroiczny człowiek, który więcej zrobił dla emigracyjnej literatury rosyjskiej niż ktokolwiek inny” — w kilka miesięcy później zginął w niemieckim obozie. Osiem przedwojennych powieści Sirina utrwalaonych w pamięci garstki wygnanców i na tlejących kartkach sprzed potopu zdawało się skazanych na zagładę. *Solus auctor* zarabiał w Ameryce lekcjami rosyj-

2. Union Générale d'Éditions, 1971.

skiego i — swoim całowiciowym *hobby*, fachową wiedzą o rzędzie łuskoskrzydłych, czyli motylach. I właśnie motyle przyczyniły się do zmartwychwstania powieści Sirina. Nabokow był w latach 1942-48 pracownikiem naukowym harwardzkiego Muzeum Zoologii Porównawczej i wyprawiał się na motyle po całych Stanach Zjednoczonych. Stąd jego znajomość Ameryki motelowo-autostradowej, która tak urzekła w *Lolice* — i stąd sama *Lolita*, większość której została napisana w czasie tych wyjazdów, wieczorami i w dni deszczowe. Światowy sukces *Lolity* — w Ameryce wydanej w 1958 — dał jej twórcy niezależność materialną i spowodował zainteresowanie resztą jego twórczości. W 1962 w atmosferze sukcesu i podziwu ukazała się powieść „Błady ogień” (*Pale Fire*), w której po 22 latach *solus rex* dopełnił swego przeznaczenia.

Solus Rex i *Lolita* to momenty zwrotne: pierwszy jest końcem rosyjskiego pisarza Sirina, drugi — zaistnieniem Nabokowa jako pisarza amerykańskiego. Dla czytelnika obcojęzycznego są prawie niedostrzegalne, bo całą twórczość Nabokowa jednocy ta sama wiara artystyczna, którą ujmuje³ następująco:

„Powieść istnieje dla mnie tylko o tyle, o ile dostarcza tego, co określeć po prostu jako rozkosz estetyczną, czyli wrażenie istnienia jakoś, gdzieś łączące się ze stanami bytu, w których sztuka (ciekawość, czułość, tklliwość, ekstaza) stanowi normę. Niewiele jest takich książek. Reszta jest zbeletryzowanym śmieciem, albo tym, co niektórzy nazywają Literaturą Idei, która również bardzo często jest zbeletryzowanym śmieciem, występującym w postaci ogromnych bloków gipsu, pieczołowicie przekazywanych przez stulecia, dopóki nie przyjdzie ktoś z młotkiem i nie rąbnie porządnie w jakiegoś Balzaca, Gorkiego czy Manna”.

Ale ten sam artykuł kończy się słowami:

„Moją prywatną tragedią, która nikogo nie może i nawet nie powinna obchodzić jest to, że musiałem porzucić moją mowę rodzinną, mój swobodny, bogaty i nieskończenie giętki język rosyjski na rzecz angielskiego drugiej kategorii, pozbawionego wszelkich tych urządzeń — krzywego zwierciadła, czarnych, aksamitnych kul, wbudowanych skojarzeń i tradycji — którymi rodzimy iluzjonista w rozwianym fraku może się w swej magii posługiwać, by na własny sposób przekroczyć granice zastanego dziedzictwa”.

Konieczny jest mały komentarz na temat „angielskiego drugiej kategorii”: angielszczyzna Nabokowa jest uważana za najbogatszą w literaturze, porównywalną jedynie z językiem Joyce'a.



„Spirala jest uduchowionym kołem. W formie spirali zamknięte, nierozwinięte koło przestaje być błędnym; zostaje uwolnione. Wymyśliłem to gdy

3. „On a Book Entitled *Lolita*”; posłowie do amerykańskiego wydania *Lolity* nakładem G. P. Putnam's Sons, Inc.

byłem uczniem, odkryłem też, że hegłowskie triady (tak popularne w dawnej Rosji) wyrażają jedynie przyrodzoną wszystkiemu spiralność w odniesieniu do czasu. [...] Barwna spirala w szklanej kulce, oto jak widzę swoje życie. Dwadzieścia lat, które spędziłem w mej rodzinnej Rosji (1899-1919) są łukiem odpowiadającym tezie. Dwadzieścia lat dobrowolnego wygnania w Anglii, Niemczech i Francji (1919-1940) tworzą oczywistą antytezę. Okres spędzony w mej przybranej ojczyźnie [Stanach Zjednoczonych] (1940-1960) jest syntezą — i nową tezą" (*Speak, Memory*, 1966).

Teza: petersburskie środowisko ziemiańsko-inteligencko-artystyczne, tradycja zamożności, wykształcenia i działalności publicznej. Ojciec pisarza, Władimir Dimitrewicz Nabokow jest znanym prawnikiem i działaczem politycznym, członkiem pierwszej Dumi, jednym z przywódców partii konstytucyjnych demokratów. Młody Władimir Władimirowicz uczęszcza do słynnej z liberalnego ducha Szkoły Teniszewa, obraca się wśród rosyjskich intelektualistów i artystów. Z domu wynosi nie tylko znajomość obcych języków i literatury, ale także pasję i wiedzę lepidopterologii. Jako uczeń publikuje dwa tomiki poezji; w 1916 roku dziedziczy po wuju fortunę, wartą według dzisiejszych pojęć ponad 2 miliony dolarów.

Władimir Dimitrewicz jest czynny politycznie po rewolucji marcowej, lecz rozpuśdzenie Konstytuanty przez bolszewików powoduje, że rodzina Nabokowych przenosi się na Krym, gdzie ojciec pisarza przez jakiś czas piastuje stanowisko ministra sprawiedliwości w lokalnym rządzie antybolszewickim. W 1919 Nabokowowie opuszczają Rosję na starym greckim statku — antyteza zaczyna się partią szachów ojca i syna na pokładzie, w momencie gdy brzegi Krymu nikną w oddali.

Przy pomocy stryja, ostatniego przedsowieckiego ambasadora rosyjskiego w Londynie, młody Władimir rozpoczyna studia literatury rosyjskiej i francuskiej w Trinity College w Cambridge; reszta rodziny osiedla się w Berlinie, gdzie Władimir Dimitrewicz zostaje współredaktorem liberalnego dziennika rosyjskiego „*Ster*” (*Rul*). W 1922 na wiecu w Berlinie, mającym pogodzić dwa skrzydła partii kadetów (jedno pod przywództwem Miliukowa, drugie — Nabokowa) dochodzi do zamachu na Miliukowa: dwóch emigrantów rosyjskich, rzekomo monarchistów, wyciąga rewolwery i celuje w niego; w ostatnim momencie Nabokow-ojciec zasłania go i zostaje zastrzelony.

Mimo tej tragedii Nabokow-syn jest w stanie ukończyć studia w Anglii; w 1923 osiada w Berlinie, w którym pozostanie aż do 1937 roku; w 1925 żeni się tam z Wierą Slonim.

Jego okres berliński jest typowy dla losów ówczesnej emigracji rosyjskiej; oddajmy mu znów głos (*Speak, Memory*):

„Patrząc wstecz na moje lata wygnania widzę siebie i tysiące innych

Rosjan wiodących dziwną lecz bynajmniej nie straszną egzystencję, w niedostatku materialnym lecz za to w intelektualnym luksusie, wśród całkowicie nieważnych cudzoziemców, widmowych Niemców czy Francuzów, których mniej lub bardziej iluzoryczne miasta służyły nam emigrantom za miejsca pobytu. [...] W Berlinie i Paryżu, dwóch stolicach wygnania, Rosjanie tworzyli zwarte kolonie o współczynniku kulturalnym przerastającym wielokrotnie średnią kultury bardziej z konieczności rozrzedzonych zbiorowisk obcych, wśród których były położone. W koloniach tych żyli własnym życiem. Mam oczywiście na myśli inteligentów rosyjskich, przeważnie należących do ugrupowań demokratycznych, a nie ów bardziej zwracający uwagę rodzaj ludzi — tych co to „wie pani, byli doradcami cara czy czymś w tym rodzaju”, jak ujmują rzecz członkinie amerykańskich klubów kobiecych, gdy rozmowa schodzi na „białych Rosjan”. [...] Z bardzo nielicznymi wyjątkami wszyscy liberalnie nastawieni twórcy — poeci, powieściopisarze, krytycy, historycy, filozofowie, itp. — opuścili Rosję Lenina i Stalina. Ci, którzy tam pozostali albo wiedli, alboprostituowali swe talenty, dostosowując się do politycznych wymagań państwa. To, czego nigdy nie zdołali dokonać carowie, tzn. całkowite poddanie umysłowi rządowi, bolszewicy przeprowadzili błyskawicznie, gdy tylko główny kontyngent inteligentów zbiegł za granicę lub został wyniszczony. Grupa szczęśliwych wygnańców mogła teraz oddawać się wszystkim swym zainteresowaniom z taką bezkarnością, że poniekąd zaczęli zadawać sobie pytanie, czy poczucie absolutnej wolności intelektualnej nie wynika czasem z faktu, że działają w próżni. Co prawda wśród emigrantów było wystarczająco dużo dobrych czytelników, by umożliwić wydawanie w Berlinie, Paryżu i innych miastach książek i periodyków rosyjskich na stosunkowo dużą skalę; ponieważ jednak żadna z tych publikacji nie mogła krążyć w Związku Sowieckim, cała rzecz nabierała pewnego rodzaju subtelnej nierzeczywistości. Liczba tytułów była bardziej imponująca niż liczba sprzedanych egzemplarzy danego utworu, a nazwy domów wydawniczych — Orion, Kosmos, Logos, itp. — miały ów gorączkowy, tymczasowy i z lekka nielegalny posmak, jaki mają firmy produkujące literaturę astrologiczną i pornografię.

Oglądane jednak ze spokojnego dystansu i sądzone według czysto artystycznych i rzeczowych kryteriów, napisane *in vacuo* książki emigracyjne pisarzy wydają się dziś, niezależnie od ich indywidualnych niedostatków, trwalsze i bardziej nadające się do ludzkiej konsumpcji niż niewolnicze, uderzające prowincjonalne i banalne strumienie świadomości politycznej, jakie w tych samych latach spływały z piór młodych autorów sowieckich, których ojcowskie państwo zaopatrywało w atrament, fajki i swetry.

Redaktor dziennika *Rul* (i wydawca mych pierwszych książek), Josif Władimirowicz Hessen z niezwykłą pobłażliwością zapełniał dział poetycki moimi niedojrzałymi rymami. [...] Około 1928 moje powieści zaczęły przynosić trochę pieniędzy dzięki przekładowi niemieckim i wiosną 1929 wyjechał na połów motyli w Pireneje. Ale na dobre opuściliśmy Berlin dopiero pod koniec lat trzydziestych, mimo że już na długo przedtem jeździłem do Paryża na publiczne wieczory autorskie.

Specjalnym rysem życia emigracyjnego, zgodnym z jego wędrownym i dramatycznym charakterem, była nienormalnie duża ilość tych literackich odczytów, urządzanych w domach prywatnych lub wynajętych salach. Rozmaite typy prelegentów występują niezwykle wyrażnie w kukielkowym teatryku mego umysłu. [...] Przypuszczam, że dla postronnego obserwatora nie byłoby rzeczą trudną wykpić tych wszystkich niepozornych ludzi, wśród obcych miast imitujących umarłą cywilizację, dalekie, legendarne niemal, niemal sumeryjskie miraży Petersburga i Moskwy lat 1900-1916 (które już wtedy, w latach dwudziestych i trzydziestych, brzmiały jak 1916-1900 przed Chrystusem). Ale przynajmniej byli oni buntownikami, tak jak wszyscy

nieomal poważni pisarze w literaturze rosyjskiej od początku jej istnienia — i zgodnie ze swą kondycją buntowników, w którą pocucie sprawiedliwości i wolności pchało ich z równą siłą jak pod uciskiem caratu, emigranci traktowali jako monstrualnie nierosyjskie i niegodne człowieka zachowanie się uprzywilejowanych autorów w Związku Sowieckim, ich służalcze podporządkowywanie się każdemu słowu każdego rządowego dekretu; sztuka lizania butów rozwijała się tam bowiem wprost proporcjonalnie do sprawności policji politycznej najpierw Lenina, potem Stalina i sukces stawał się udziałem tego spośród sowieckich autorów, którego sprawne ucho wychwytywało cichy szept oficjalnej sugestii na długo, zanim ta zamieniała się w ryk.

Na skutek ograniczonej cyrkulacji ich książek za granicą, nawet starsze pokolenie pisarzy rosyjskich, których sława była już ugruntowana w przedrewolucyjnej Rosji, nie mogło marzyć o tym, by wyżyć z literatury. Tygodniowe felietony w pismach emigracyjnych nie wystarczały do utrzymania związku ciała z piórem. Niekiedy przekłady na obce języki przynosiły nieoczekiwany połów, starsi autorzy żyli jednak przeważnie ze stypendiów różnych organizacji emigracyjnych, honorariów za odczyty i hojnej dobroczynności prywatnej. Młodzi, mniej znani ale za to łatwiej adaptujący się pisarze uzupełniali nieregularne subsydia pracą w różnych dziedzinach. Pamiętam, że udzielałem lekcji angielskiego i tenisa. [...] Zarobiłem pięć dolarów (spora suma w czasie inflacji w Niemczech) za moją rosyjską „Alieję w krainie czarów”. Byłem współautorem gramatyki rosyjskiej dla cudzoziemców, w której pierwsze ćwiczenie rozpoczynało się od słów: *Madam, ja doktor, wot banan*. Poza wszystkim układałem dla emigracyjnego dziennika, berlińskiego *Rul* pierwsze rosyjskie krzyżówki, które ochrzciłem *krestostowicy*. [...]

Moja namiętność do dobrej literatury przyczyniła się do bliższego kontaktu z różnymi rosyjskimi autorami za granicą. Władysław Chodasewicz [...] nabrałem wielkiej sympatii dla tego gorzkiego człowieka, urobionego z ironii i metalicznego geniuszu, którego poezja była takim samym misternym cudem jak poezja Tiutczewa czy Błoka. [...] Innym niezależnym pisarzem był Iwan Bunin. Zawsze wolałem jego mało znaną poezję od jego sławionej prozy [...] Nie zetknąłem się z Popławskim, który umarł młodo — odległe skrzypce wśród pobliskich bałabajek. [...] Spotkałem mądrego, sztywnego, uroczego Ałdanowa [...] złamanego Kuprina, ostrożnie niosącego butelkę *vin ordinaire* deszczowymi ulicami; Ajchenwalda — rosyjskie wydanie Waltera Patery — który później zginął przejechany przez trolejbus; Marinę Cwietajewą, żonę podwójnego agenta i genialną poetkę, która pod koniec lat trzydziestych wróciła do Rosji i tam zginęła.

Ale oczywiście autorem, który interesował mnie najbardziej, był Sirin. Należał do mojego pokolenia. Spośród młodych autorów, ukształtowanych przez emigrację, był najbardziej osamotniony i najbardziej arogancki. Pożyczając od ukazania się jego pierwszej powieści w 1925 i przez następne 15 lat, aż do momentu gdy zniknął równie niespodziewanie jak się pojawił, dzieła jego budziły intensywne, niemal chorobliwe zainteresowanie krytyków. Tak jak marksistowscy publicyści lat osiemdziesiątych w dawnej Rosji wyrzucałby mu brak zainteresowania gospodarczą strukturą społeczeństwa, mistagodzy krytyki emigracyjnej ubolewali nad brakiem u niego kwestii religijnych i problematyki moralnej. Wszystko w nim musiało obrażać konwencje rosyjskie, szczególnie ów rosyjski zmysł *decorum*, który na przykład współczesny Amerykanin potrafi zranić tak dotkliwie, pakując beztrósko ręce do kieszeni w obecności wysokich oficerów sowieckich. Natomiast zwolennicy Sirina zachowywali się niezmiennie, może nawet nadmiernie, jego niezwykłym stylem, olśniewającą precyzją, funkcjonalnością obrazowania i tym podobnymi rzeczami. Na czytelnikach rosyjskich, którzy wychowali się na krzepkiej bezpośredniości rosyjskiego realizmu i zdemaskowali bluff deka-

denckiej blagi, silne wrażenie robiły lustrzane załomy jego jasnych, a równocześnie dziwnie zwodniczych zdań oraz fakt, że prawdziwe życie jego książek zawarte było w ujęciach, które jeden z krytyków porównał do „okien, wychodzących na równoległy świat... ruchomych wniosków, cieni korowodu myślowego”. Sirin, by użyć bardziej konserwatywnego porównania, przemknął po ciemnym niebie wygnania jak meteor i znikł, nie pozostawiając po sobie prawie nic, poza mglistym poczuciem niepokoju”.



Wspomnianą w tej podmistyfikowanej autorecenzji powieścią była *Maszeńka* (wyd. książkowe 1926; tł. angielskie *Mary*, 1970). Ta oparta na motywie „hotelowym” powieść opisuje losy kilku emigrantów rosyjskich, zamieszkających w tym samym pensjonacie berlińskim; nie występująca w powieści tytułowa Maszeńka, dawna ukochana bohatera, jest pretekstem do *flash-back’ów* w okres przedemigracyjny. Powieść ta przypomina twórczość Remarque’a; autor cytowanej monografii o Nabokowie, Field, porównuje ją z Hemingway’a *The Sun Also Rises*. Wolno wątpić, czy porównania te sam Nabokow uznałby za pochlebne dla siebie; zapytany raz w Ameryce o Hemingway’a, po świeżym sukcesie „Komu bije dzwon” (*For Whom the Bell Tolls*) — słynny z pamięci i pedanterii Nabokow oświadczył: „*Zaraz, zaraz... coś jego czytałem. Ale jaki to był tytuł... dokładnie nie pamiętam: bulls? bells? balls?...*”.

Drugą chronologicznie powieścią Nabokowa-Sirina jest rzecz o motywie i tytule wziętym ze „skandalicznej” bajki Andersena „Król, Dama, Walet” (*Korol, dama, walet*, 1928; *King, Queen, Knave*, 1968). W tej historii o uwiedzeniu, trójkacie i planowanym morderstwie Rosjanie nie występują — rzecz dzieje się w Berlinie lat dwudziestych — ale sposób pisania przypomina widmowy „Petersburg” Andrieja Biełogo i mimo zgęszczonej intrygi powieść ta daleka jest od realizmu. Podkreślona tu już jest umowność, karciana papierowość postaci, występują rysy specyficznego dla Nabokowa „świata pomocniczego”. W formie mistrzowskiej użyte są one w wystylizowanej na biografię genialnego szachisty „Obronie Łużyna” (*Zaszczita Łużyna*, 1929; *The Defense*, 1964). Powieść ta, która nasuwa pewne skojarzenia z „Kosmosem” Gombrowicza, została przez rosyjską krytykę na emigracji (Chodasewicz) oceniona bardzo wysoko, a w tłumaczeniu angielskim przyniosła Nabokowowi amerykańską National Book Award.

Trzy dalsze powieści mają bardziej realistyczny charakter, choć nie są pozbawione — mówiąc obrazowo — tajnych korytarzy i zapadni. Są to: „Wyczyn” (*Podwíg*, 1931; *Glory*, 1971), „Camera Obscura” (1932; wyd. angielskie 1936; wyd. amery-

kańskie pt. *Laughter in the Dark*, 1960) i „Rozpacz” (*Otczaianie*, 1936; *Despair*, 1966).

Potem pod rząd dwie powieści bardzo dużej miary: „Zaproszenie na ścieżkę” (*Priglaszenie na kazn'*, 1938; *Invitation to a Beheading*, 1959) i „Dar” (w odcinkach od 1937 w *Sowremennyye Zapiski*, pełne wydanie książkowe 1952; *The Gift*, 1963).

„Zaproszenie na ścieżkę” (aluzja do baudelaireowskiego *L'invitation au voyage*) należy do tej samej rodziny, co „Proces” i „Zamek” Kafki oraz „Sklepy cynamonowe” Schulza. Dzieje się (? — zwiduje się?) w widmowym więzieniu nienazwanego kraju, gdzie bohater Cincinnatus C. oczekuje na egzekucję, skazany za zbrodnię „nieprzezroczystości” (nonkonformizmu?). Odwiedzająca go rodzina, zabiegająca o jego względy kat „M'sieur Pierre” — to wszystko postacie jak z Schulza lub sztuk Witkacego. (Przy okazji: — należy ubolewać, że jak dotąd nie zbadano systematycznie *rosyjskich* źródeł inspiracji teatru — a także filozofii — Witkacego [okres 1914-1918!], które, mówiąc jego językiem, są wyraźne jak biały byk w słońcu).

„Dar” — jedna z największych objętościowo i jakościowo powieści Nabokowa jest znowu usytuowana w środowisku emigrantów w Berlinie, ale ma bardziej złożoną strukturę niż np. „Maszeńka”. Osia „Daru” jest postać młodego poety — nosiciela prawdziwego „daru” artystycznego — Fiodora Godunow-Czerdyncewa; jego pochodzenie, tryb życia, poglądy — to dość wyraźnie młody Nabokow z okresu berlińskiego (narracja prowadzona jest na zmianę w 1-ej i 3-ej osobie). Akcja powieści jest oprawą dla obszernych epizodów prawie samodzielnych: dziejów dziwnego trójkąta uczuciowego; niedokończonej biografii Godunow-Czerdyncewa seniora, pióra jego syna; bardzo obszernej (cały rozdz. IV powieści) biografii Nikołaja Czernyszewskiego — również niby to pióra bohatera powieści.

Ta biografia XIX-wiecznego presocjalisty Czernyszewskiego jest pierwszym dziełem Nabokowa-filologa, prekursorką późniejszego „Nikołaja Gogola” (1944), profesury amerykańskiej i monumentalnego przekładu z komentarzem „Eugeniusza Oniegina” w 4 tomach (1964). Jest też manifestacją literackich sympatii i antypatii Nabokowa. W tym wypadku: antypatii. Czernyszewski — kontynuator Bielinskiego, prorok utylitaryzmu, autor słynnej powieści „Co robić”, pracowity tłumacz, wiezień polityczny i bohater — został z ogromną erudycją, błyskotliwością i bez miłosierdzia wykpiiony. „Rzeczy, tak jak słowa, mają przypadki. Czernyszewski widział wszystko w mianowniku”; grzech w oczach Nabokowa niewybaczalny. Ta biografia przypomina zamysłem i charakterem Zbyszewskiego „Niemcewicz z przodu i tyłu” —

i oburzenie publiczności było podobne. Ściśle biorąc — oburzenie Fondaminskiego, który odmówił wydrukowania w swych *Zapiskach* rozdziału o Czernyszewskim; ukazał się on dopiero w wydaniu *Izdatelstwa im. Czechowa* w Ameryce w 1952 roku.

Przytoczę małą próbkę, by dać pojęcie o tonie tej anty-biografii:

„Jakże był biedny, jaki brudny i zaniedbany, jak daleki od wszelkich pokus luksusu... Ostrożnie! Była to nie tyle proletariacka niewinność, ile przyrodzona obojętność z jaką asceta znosi drapanie stale noszonej włosienicy i ukąszenia siedzących na niej pcheł. Ale i włosienice trzeba od czasu do czasu reperować. Oto jesteśmy świadkami jak Nikołaj Gawryłowicz zabiera się do cerowania swych starych spodni: okazało się, że nie ma czarnych nici, więc te które były zanurzył w atramencie; nieopodal leżała antologia poezji niemieckiej, otwarta na początku *Wilhelma Tella*. Na skutek wymachiwania nicią (celem jej wysuszenia) kilka kropel atramentu padło na otwartą stronicę; książka nie była jego własnością. W papierowej torebce za oknem znalazł cytrynę i usiłował wywabić kleksy, zdołał jednak pobrudzić tylko cytrynę, plus parapet okna, na którym położył fatalną nitkę. Sięgnął po nóż i zaczął skrobać (książka wraz z podziurawionym poematem znajduje się obecnie w Bibliotece Uniwersyteckiej w Lipsku; nie udało się niestety dojść, jakimi drogami tam trafiła). W ogóle atrament był naturalnym żywiołem Czernyszewskiego (dosłownie kąpał się w nim) — kiedy brakło mu pasty, zasmarowywał nim szpary w butach”.

Poza czystą hecą, wynikającą z szargania świętości (to jest zabawa, co tu gadać!), ta okrutna biografia ma jeszcze jedną funkcję: artystyczną w sensie Nabokowa. O ile można mówić w ogóle o jednolitej tematyce Nabokowa, to jest nią to, co Chwistek nazwał wielością rzeczywistości. Posługując się jego własną przenośnią, rzeczywistość odmienia się tu przez przypadki. Nabokow nie jest „idealistą” — cokolwiek by to miało znaczyć — i jego obrazy rzeczywistości (świat emigracji, Ameryka w późniejszych powieściach) są soczystsze, niż w dziełach programowo realistycznych. Ale jako pisarz Nabokow jest przede wszystkim zafascynowany możliwościami „odmiany” — jego twórczość jest rodzajem deklinacji stanów istnienia. Ta nieco mglista przenośnia ma podkreślić dwie rzeczy: że deformacja jest tu konsekwentną „odmianą”, a nie dowolnym zmyśleniem, oraz, że jej „przypadki”, podobnie jak formy gramatyczne w języku, są wieloznaczne, implikują wielość nadających im sens kontekstów. Przykładem tego może być długa nowela *Sogliadatai* (1930; *The Eye*, 1965) — rodzaj portretu tego samego człowieka, oglądanego różnymi oczami, bez zaznaczenia, który punkt widzenia jest „prawdziwy”. Nie nazwałbym tego relatywizmem — jest to raczej rozpatrywanie rzeczywistości jako wielu propozycji. Z tego punktu widzenia anty-biografia Czernyszewskiego jest również propozycją: kontrastowo różną — a więc: wyraźniejszą — od

tradycyjnej, odziedziczonej. Innymi słowy: jest to parodia jako gatunek artystyczny. Nie satyra! „*Satyra jest lekcją; parodia jest grą*” — zauważa Nabokow. Nie trzeba podkreślać, że sztuka jest dla niego grą numer jeden.

Fascynację wielością rzeczywistości widać bardzo wyraźnie w innej powieści Nabokowa, powstałej niemal równocześnie z „*Darem*”. Jest to napisana od razu po angielsku, jeszcze w Paryżu (gdzie Nabokow przeniósł się z rodziną w 1937), na pozór kryminalna powieść „*Prawdziwy żywot Sebastiana Knight'a*” (*The Real Life of Sebastian Knight*, 1941). Tematem jej jest próba odtworzenia życia zmarłego niedawno człowieka, wyjaśnienia do końca posiadanych o nim informacji; w miarę jednak postępu dochodzeń obraz wikła się coraz bardziej i na końcu wiemy o życiu Sebastiana mniej, niż na początku.

Książka ta ukazała się już po przybyciu Nabokowa do Stanów Zjednoczonych, trudno jednak nazwać ją początkiem „syntezy amerykańskiej”. Była raczej remanentem europejskim i na długie lata utonęła bez śladu w amerykańskim morzu, jak wiele europejskich remanentów na tym kontynencie. Właściwym początkiem „syntezy” była działalność nauczycielska i naukowa. Od 1941 Nabokow wykładał literaturę i język rosyjski w Wellesley, w stanie New York; obok tego był równocześnie (od 1942) *fellow* muzeum zoologicznego przy Harvardzie. W tym okresie napisał obok wielu publikacji fachowych o motylach, oryginalny i niezwykle esej o Gogolu i drugą swoją powieść po angielsku pt. *Bend Sinister* (1947) (co można oddać jako: „*Lewy skos*” lub „*Znak bękart*”); jego nowele i poezje, drukowane w *The New Yorker* i *The Atlantic* zaczęły mu zdobywać zwolenników. Jednym z nich był dziekan wydziału literatury na Cornell University, który zaprosił Nabokowa na katedrę literatury rosyjskiej i porównawczej. Nabokow wykładał na Cornell University przez dziesięć lat (1948-58), do chwili, kiedy światowy sukces *Lolity* zapewnił mu niezależność. „*Nigdy nie przypuszczałem, że potrafię wyżyć z pióra, a teraz jestem na utrzymaniu małej dziewczynki imieniem Lolita*”. Pobyt w Ithaca był niezwykle owocny, nawet na tle zdumiewającej produktywności Nabokowa. Oprócz wykładów, które Nabokow pisał od pierwszego do ostatniego słowa, powstały tam powieści *Lolita* i *Pnin*, autobiografia *Speak, Memory*, przekłady i komentarze „*Wyprawy Igora*” i „*Oniegina*”, oraz części powieści „*Blady ogień*”.

W 1960 państwo Nabokow przenieśli się do Montreux w Szwajcarii, m.in. po to, by być bliżej syna, studiującego śpiew

we Włoszech. Mieszkają w Montreux do dzisiaj. W Szwajcarii powstały dwie ostatnie — jak dotąd — powieści Nabokowa: *Ada* i „*Rzeczy przezroczyste*” (*Transparent Things*, 1971).

Wspomniałem powyżej, że sztukę Nabokowa można scharakteryzować jako grę w odmianę rzeczywistości. Ta odmiana dotyczy m.in. ludzkich reakcji i to tłumaczy fakt, że większość jego bohaterów to ludzie z różnymi aberracjami seksualnymi. W wielości jego propozycji rzeczywistości programowo (prowokacyjnie wręcz) brak autorskiego palca wskazującego: to fajdak, to brzydkie, to lubię, etc. Nie oznacza to jednak braku hierarchii. Kryterium jest wyraźne, choć użyte tak, jak niezliczone aluzje, pastisze i parodie: bez objaśnień, obliczone na wrażliwość, współbrzmienie czytelnika. To negatywne kryterium porządkujące nazywa się po rosyjsku *poszłost'* (po polsku: trywialność, banalność, wulgarność). Nabokow, który zmusza swych czytelników do rosyjskiego z równie spokojną pewnością siebie, jak Montaigne do łaciny, używa słowa *poszłost'* jako nieprzetłumaczalnego terminu technicznego. Niemal cały jeden rozdział jego „*Gogola*” poświęcony jest eksplikacji:

„[Obcojęzyczne] wyrażenia, oddające różne, choć bynajmniej nie wszystkie aspekty pojęcia *poszłost'* to między innymi: imitacja, tanie, pospolite, cukierkowe, kiczowate, landrynkowe.

Słowa te oddają właściwie tylko zewnętrzną hierarchię wartości obowiązującą w danym okresie ludzkiej historii; natomiast rzecz, którą Rosjanie nazywają *poszłost'* jest tak niesłychanie ponadczasowa i bywa tak zwodniczo zamaskowana różnymi barwami ochronnymi, że obecność jej (w książce, duszy, instytucji i tysiącach innych miejsc) uchodzi często uwadze; [...] Otwórzcie pierwsze lepsze pismo ilustrowane, a natkniecie się na coś w tym rodzaju: jakaś rodzina nabyła właśnie radio (albo auto, albo lodówkę, albo sztucę — nieistotne): mama składa ręce w kretyńskim zachwycie, podniecone dzieci tłoczą się ze wszystkich stron [...] a gdzieś na boku, z keiukami dumnie zatkniętymi za wycięcia kamizelki [...] stoi Papa, tryumfator. Dumny Dobroczyńca.

Skondensowana *poszłost'* bijąca z tego rodzaju reklam polega nie na tym, że wspaniałość tego czy innego przedmiotu użytkowego została przesadzona (lub zmyślona), lecz na sugestii, że szczyt ludzkiego szczęścia jest do nabycia za pieniądze i że zakup ten w jakiś sposób kupującego uszlachetnia.

[...] Propaganda (która byłaby niemożliwa bez obfitej podaży i popytu na *poszłost'*) zapełnia całe foldery zdjęciami pięknych jak róże dziewcząt w kołchozach i obłoków, gnanych wiatrem. [...] Literatura jest jedną z największych wylęgarni *poszłost'*i — i bynajmniej nie mam tu na myśli tzw. literatury brukowej [...]. *Poszłost'*, muszę to jeszcze raz podkreślić, jest szczególnie silna i jadowita, gdy *ersatz* położono cienką warstwą i gdy wartości, przezeń naśladowane są uważane — słusznie lub niesłusznie — za najwyższy poziom sztuki, intelektu lub uczucia. (*Poszłost'* to wszystko to, co pozornie ważne, pozornie piękne, pozornie mądre, pozornie urocze...)”.

Tropienie *poszłost*'i w różnych propozycjach rzeczywistości można uznać za centralną ideę Nabokowa, w tym sensie, jak idea Gombrowicza była Niedojrzałość. *Poszłost*' cywilizacji technicznej jest ekranem, na którym rozblaskują fajerwerki *Lolity*, *poszłost*' tyranii jest tłem „Zaproszenia na ścieżkę” i — w jeszcze większym stopniu — „Znaku bękart”. Procent *poszłost*'i w ludzkiej duszy jest zasadą hierarchii w świecie Nabokowa.

Ponieważ jest to pojęcie użyteczne — nie tylko literacko — przytoczę jeszcze fragment wywiadu z Nabokowem (*Paris Review*, No. 41, 1967), z dodatkowymi uzupełnieniami:

„*Poszłost*’ zawarta jest w takich zwrotach jak: 'Ameryka w niczym nie jest lepsza od Rosji', lub 'Wszyscy jesteśmy współwinni temu, co zrobili Niemcy'. Kwiaty *poszłost*'i wykwitają w określeniach i terminach takich jak 'moment prawdy', 'charyzma', 'egzystencjalny' (użytym na serio), 'dialog' (w odniesieniu do politycznych rozmów między państwami) lub 'słownictwo' (w zastosowaniu do kiczu). Wymienianie jednym tchem Oświęcimia, Hiroszimy i Wietnamu jest kontestatorską odmianą *poszłost*'i. Członkostwo w bardzo ekskluzywnym klubie (który afiszuje się z jednym nazwiskiem żydowskim — skarbnika) jest *poszłost*'ią antysemitką. Bieżące recenzje książek często są pełne *poszłost*'i zwykłego gatunku, lecz tak się ona również w niejednym wyrafinowanym esaju... Każdy ma oczywiście swoją *bête noire*, swego faworyta w danej dziedzinie. Moim jest następująca reklama linii lotniczej: taca z kanapkami, serwowana przez usługowego kociaka młodemu małżeństwu: ona ekstatycznie wpatrzona w kanapkę z ogórkiem, on łakomie spoglądający na stewardesę. I, naturalnie, *Śmierć w Wenecji*.”

Najbardziej znaną powieścią amerykańską Nabokowa jest *Lolita*. Ta bogata, subtelna książka ukazała się w atmosferze skandalu, spowodowanego drastycznością jej tematu: miłości dorosłego mężczyzny do 12-letniej dziewczynki. Początkowo nie mogła ukazać się w Ameryce; w cytowanym już posłowie „On a Book Entitled *Lolita*” Nabokow wspomina swoje perypetie z czterema wydawcami: „Ich odmowa nie była spowodowana potraktowaniem tematu, lecz tematem jako takim, bowiem dla amerykańskich wydawców istnieją co najmniej trzy tematy, stanowiące absolutne tabu. Dwa pozostałe to: czarno-białe małżeństwo, całkowiec i bez reszty udane, z mnóstwem dzieci i wnuków w końcowym rezultacie; oraz: całkowity ateista, pędzący życie szczęśliwe i użyteczne i umierający podczas snu, w wieku 106 lat”.

Lolita ukazała się po raz pierwszy w 1955 roku w paryskim wydawnictwie Olympia Press, specjalizującym się w tak zwanej dawniej „tematyce paryskiej”. Niemniej znalazła godnych siebie czytelników. Pierwszy zwrócił na nią uwagę Graham Greene w entuzjastycznym artykule w *The Spectator* w 1956. W dwa lata później ukazała się w Stanach, w wydawnictwie Putnam'a i stała się *best-seller*'em na całym świecie. Poświęcono tej powieści

dziesiątki szkiców i rozpraw; warto wymienić tu wydanie krytyczne A. Appel'a, Jr. *The Annotated Lolita*, New York 1970.

Mniej znaną poza Ameryką, a niemniej mistrzowską jest powieść *Prin* (1957): ciepły, ludzki, przejmujący portret rosyjskiego emigranta, „najstarszego *assistant professor* na świecie”, borykającego się z angielskim i z obcością otoczenia, na tle karykaturalnie typowego *college*'u amerykańskiego.

Wspomnienia dawnych słuchaczy Nabokowa-profesora grupują się wokół dwóch motywów: jego nienawiści do freudyizmu i Freuda („ten wiedeński szarlatan”) i jego odrazy do kiepskich tłumaczeń („istnieje kilka angielskich przekładów Gogola — i są niestety dostępne dla studentów. Należałoby je wszystkie wycofać z bibliotek i spalić”). Szczególnie drażniły Nabokowa złe przekłady Puszkina, którego zalicza wraz z Szekspirem do największych poetów świata. Pewnego razu pani Wiera Nabokow powiedziała do męża: „To może sam przetłumaczyłbyś 'Oniegina'?”. Po ośmiu latach pracy przekład był gotowy. I jaki przekład!

Wychodząc z założenia, że poezja jest zasadniczo nieprzetłumaczalna, Nabokow postanowił stworzyć dokładny angielski bryk do 'Oniegina'. To znaczy: tłumaczyć prawie dosłownie, zrezygnować z pretensji poetyckich, równoważników i upiększeń — a za to: zejść do korzeni słów, oddać ich pozycję w języku, stopień archaizacji, konotacje. Założeniem Nabokowa było, że 'Oniegina' pisany był już językiem lekko archaizowanym, a równocześnie pełnym zwrotów, żywcem przeniesionych z francuskiego (np. *szczastliwyj tałant*, obco brzmiące po rosyjsku, jest kalką francuskiego *un talent heureux*, itp.) — i że zwroty takie należy oddawać przy pomocy archaicznie brzmiących w angielskim gallicyzmów, odpowiadających francuskim wzorom rosyjskich zwrotów Puszkina. W tym celu m.in. przeczytał całą francuską literaturę, którą mógł był czytać Puszkina — szczególnie francuskie tłumaczenia Byrona z owych czasów.

Mały przykład tej metody: Nabokow przełożył puszkiniowskie *dostojno starych obiezan* jako „*worthy of old sapajous*” (rzadki gallicyzm, synonim *monkey* i *ape*); jeden z krytyków przytoczył to jako przykład rzekomo niepotrzebnego uduziwniania. W swej replice Nabokow powołał się na list Puszkina do brata (— „*dobrze znany każdemu czytelnikowi Puszkina*” — jak nie omieszkał zaznaczyć) — napisany po francusku, jesienią 1822 roku, w Kiszyńowie, w którym jest zwrot: *digne d'un vieux sapajou*...

Każde słowo w przekładzie Nabokowa zostało przetłumaczone z uwzględnieniem tego rodzaju subtelności. Nic dziwnego, że przekładowi towarzyszą 2 tomy komentarza — „Himalaje krytyki filologicznej”, jak to określono — *plus* dwa appendixy, z których każdy by mógł być pracą doktorską (o na wpół legendarnym afrykańskim przodku Puszkina i o prozodii poematu) oraz niesłychanie precyzyjny indeks. Całość ukazała się w 4 tomach, nakładem Bollingen Foundation w New Yorku w 1964 roku.

Cokolwiek można sądzić o metodzie przekładowej Nabokowa, dzieło to jest obowiązkową lekturą puszkiniologiczną i ubolewać należy, że wszędzie tam, gdzie z powodów politycznych Nabokow jest *nonperson*, jego „Oniegin” pozostaje *nonbook*.



Komentarz Nabokowa jest lekturą samą dla siebie, ponieważ ta orgia erudycji nie jest pozbawiona nabokowowskiego *human* (zdaniem niektórych: *inhuman*) touch. Osobiste zdanie komentatora wyrażane jest tam ostro i barwnie: „*głupia opera Czaikowskiego...*”, „*Dostojewski — przechwalony, sentymentalny roman-sopisarz XIX-wieczny...*”, etc. Praca nad komentarzem nasunęła mu pomysł nowej formy literackiej, którą wykorzystał w przedziwnym „Bładym ogniu” (*Pale Fire*, 1962).

Jest to powieść w formie krytycznego opracowania fikcyjnego rękopisu poetyckiego: składa się z uczonego (i niesłychanie zabawnego, jak większość powieści Nabokowa) wstępu rzekomego wydawcy, poematu pt. „Błady ogień”, oraz niezliczonych przypisów, z których wyłania się bardzo dziwna historia.

Wydawcą jest bohater powieści, niejaki Charles Kinbote — emigrant, esteta i pedzio w jednej osobie, który został profesorem w małym college'u amerykańskim. Zamieszkuje dom, wynajęty od innego profesora — prawnika i sędziego — który wyjechał z rodziną do Europy. W sąsiednim domu mieszka sławny poeta amerykański starszego pokolenia, John Shade. Kinbote, który podziwia jego twórczość, dość nachalnie narzuca mu swe towarzysztwo i zrezygnowany Shade odbywa z nim niekiedy spacer po okolicy. W ich trakcie Kinbote opowiada mu o swym kraju rodzinnym — jest nim fantastyczna Zembla, nordycki półwysep, żywcem przeniesiony z niedokończony powieści *Solus Rex*. Opowieści Kinbote'a nie są jedynie przejawem tęsknoty — chciałby on stworzyć za pośrednictwem Shade'a, jak gdyby indukcyjnie czy *per procuram*, poemat o Zemblu i jej obalonym przez rewolucję i zbiegłym za granicę królu, Karolu Ukochanym. Udzielona

półgębkiem informacja poety, że zaczął pisać poemat, elektryzuje Kinbote'a niesłychanie — jest pewien, że będzie to ten właśnie jego utwór, przetworzenie jego opowiadań. Pod wieczór dnia, w którym poemat jest na ukończeniu, Shade odwiedza swego sąsiada; przechadzają się obaj po ogródku Kinbote'a, gdy nagle przy furtce wyrasta postać dziwnie wyglądającego mężczyzny i padają strzały — śmiertelnie raniony Shade umiera. W zamieszaniu (schwytywanie mordercy, rozpacz wdowy etc.) pierwszą troską Kinbote'a jest zabezpieczyć „swój” poemat; siłą niemal porywa kartki z brudnopisem i niezwłocznie wyjeżdża do nie-nazwanego „bezpiecznego schronienia”, by opracować tekst i komentarz. (Należy pamiętać, że o wszystkich tych wypadkach dowiadujemy się z tego właśnie komentarza). Komentarz jest niezbędny, bowiem w poemacie, który jest filozoficzną refleksją nad własnym życiem Shade'a, nie ma o Kinbote'ie ani wzmianki; raz wspomniana jest Zembla, ale jest to tylko cytat z Aleksandra Pope'a. Kinbote jest strasznie zawiedziony, nie traci jednak nadziei, że jego opowieść *jest* w jakiś sposób zawarta w „Bładym ogniu”, choć w bardzo zawołowanej formie. Stąd szaleńcze ekskursy etymologiczne, szukanie napomknici i aluzji — i jego własna historia rozrasta się coraz bardziej. To on jest zbiegłym królem Zembla, to za nim ekstremistyczna partia „Cieni” — wspierana przez ościenne mocarstwo o nazwie *Sosed* — rozesała agentów, by go zamordować; to właśnie jeden z nich wysłedził trop w Europie, przyjechał do Ameryki, odnalazł adres i przez pomyłkę zastrzelił Shade'a. Więc Kinbote musi się dalej ukrywać — choć otoczenie ma go za pomylenca i tłumaczy bieg zdarzeń inaczej: nieobecny właściciel domu Kinbote'a był przez wiele lat sędzią i m.in. spowodował zamknięcie w domu wariatów pewnego morderczego maniaka; maniak uciekł i chcąc się zemścić, podkrał się do domu sędziego — i strzelił do przypominającego go sylwetką Shade'a.

W streszczeniu nie sposób oddać nawet cienia misternej, tragikomicznej gry trzech rzeczywistości: poematu Shade'a, fantastycznej lecz niesłychanie przekonującej „przeszłości” Kinbote'a i wyłaniającej się spoza nich tragedii emigranta nazwiskiem Botkin (skąd anagram: Kinbote), który został w Ameryce belfrem i dostał bzika. *Mon zemblable, mon frère...*



Ada: czyli *namietność* — czyli *Ulisses* i *A la recherche du temps perdu* Władimira Nabokowa. O tej powieści będzie się pisało (pewnie już się pisze) monografie i dysertacje. Joyce oczekiwał od swych czytelników, że poświęcą całe życie na studio-

wanie jego dzieła. Nabokow nie oczekuje — uważa to za samo przez się zrozumiałe. Nie idąc jednak tak daleko, zanurzając się jedynie w powierzchniowych warstwach tej powieści, doznaje się ogromnej przyjemności.

Ada jest olbrzymich rozmiarów baśnią. Dzieje się w świecie o nazwie Antyziemi, na którym ziemską historia potoczyła się inaczej. Tatarzy nie zostali pobici w 1380 na Kulikowym Polu i ich imperium przetrwało; masy Rosjan zostały przez cieśninę Beringa zepchnięte do Ameryki Północnej i potomkowie ich żyją w „amerosyjskiej” prowincji „Estocji”, mianowicie na obszarze dzisiejszej Kanady. W drugiej połowie XIX wieku, kiedy zaczyna się powieść, Anglia sięga od Riwiery do Skandynawii; Bałkany i Indie stanowią protektorat anglo-amerykański; poza tym istnieje Tataria — „niezależne inferno, rozciągające się pomiędzy Bałtykiem, Morzem Czarnym i Oceanem Spokojnym, niedostępne dla turystów”. Przypomina się Parnicki.

Ada obejmuje sto lat historii zamożnej „amerosyjskiej” rodziny (powieść poprzedza szczegółowe drzewo genealogiczne), w której stylu życia nie trudno rozpoznać przedrewolucyjny świat autora. Jest napisana w formie pamiętnika niejakiego Dr. Ivana (Van'a) Veen'a, psychologa, profesora, autora traktatu o czasie, który opisuje swą miłość do „kuzynki” (a naprawdę siostry) Ady Veen.

Ze względu na zwięzłość posłużę się opisem powieści pióra A. Appel'a:

„Opowiedziana przeważnie w trzeciej osobie 'Ada' dzieli się na 5 części. Cz. I zajmuje prawie pół powieści i opowiada szczegółowo młodość Van'a, jego podróże i kazirodczy romans z Adą w arkadyjskim Ardis Hall, wspólnym majątku jego wuja. Ból z powodu niewierności Ady okazuje się twórczy i pod koniec cz. I Van 'donasza' swoją pierwszą książkę. Cz. II kończy się opuszczeniem Ady przez Van'a, pod wpływem błagań jego ojca. W cz. III po wielu perypetiach miłosnych Ada wychodzi za mąż i Van traci ją na 17 lat, aby odzyskać ją ostatecznie w 1922 roku w cz. IV, w czasie gdy pracuje nad swą książką 'Struktura czasu'. Cz. V, rodzaj kody, ukazuje ich razem, w niewielkim otoczeniu, obchodzących 97-e urodziny Van'a i stanowi faktycznie zakończenie pamiętnika, który ma zostać opublikowany pośmiertnie. W chwili, gdy czytamy 'Adę', Ady i Van'a nie ma już na świecie...”

Może się z tego wszystkiego wydawać, że Ada jest nudną piłą. W rzeczywistości jest odwrotnie: „odmieniony” świat jest tu — między innymi — olbrzymim żartem, inkrustowanym okrucami krzywego zwierciadła. Pierwsze zdanie powieści: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są mniej lub bardziej odmienne; wszystkie nieszczęśliwe są mniej lub bardziej podobne do siebie” —

jest parodią złego tłumaczenia *Anny Kareniny* i cała książka skrzy się aluzjami literackimi, żartami językowymi i pastiszami (*Ciotka Kitty [...] wyszła za bankiera Obolenskiego, po rozwodzie z tym okropnym dziwką Liołką Tołstojem, pisarzem*; etc.), nie zamieniając się jednak w maszynkę do robienia dowcipów.

Choć Nabokow programowo odżegnuje się od „idei”, w *Adzie* chodziło mu o ucieśnienie swej filozoficzno-artystycznej koncepcji rzeczywistości bez czasu. Nie darmo Van Veen pisze traktat o czasie; cała Ada wyrasta z intuicji (niemal kantiańskiej), że czas jest tylko formą naszego odbioru rzeczywistości. Myśl ta została sformułowana już w „Darze”:

„Nasze mylne odczucie czasu jako pewnego rodzaju przyrostu jest konsekwencją skończoności naszego istnienia, które dlatego, że znajdujemy się stale na poziomie teraźniejszości, implikuje przesuwanie się z wodnistej otchłani przeszłości w powietrzną otchłani przyszłości. W ten sposób istnienie jest wiecznym przetwarzaniem przyszłości w przeszłość — procesem z natury swej złudnym — niczym więcej, jak odzwierciedleniem przemian materialnych, które w nas zachodzą. [...] Teoria dla mnie najbardziej pociągająca — że czasu nie ma w ogóle, że wszystko jest teraźniejszością istniejącą jak blask na zewnątrz naszej ślepoty — jest hipotezą tak samo beznadziejnie skończonej natury jak wszystkie pozostałe. 'Zrozumiesz, gdy będziesz duży' — to rzeczywiście najmańdrzejsze słowa jakie znam”.

Ada jest realizacją tej koncepcji artystycznej. Promieniującym centrum baśni jest pozaczasowa miłość, wokół której skupiają się akcydensy życiowe bez chronologii, a ściślej — o chronologii odrealnionej, pozbawionej ciężaru przez zmianę współrzędnych rzeczywistości. Ardis Hall! — „ardis” znaczy po grecku „grot strzały” — i nie trudno dopatrzeć się tu strzały z paradoksu Zenona: poruszającej się i spoczywającej w miejscu równocześnie.



Podsumowanie? Tak jak przymiotniki nie zastępują rzeczowników, tak opis nie zastępuje samej rzeczy. Chciałem początkowo zatytułować ten szkic „Zaproszenie do Nabokowa”. Brzmi to pretensjonalnie, ale podtrzymuję samo zaproszenie. Bo to jest nowy obszar w literaturze.

Dobrze się składa, że szkic ten może ukazać się w 75-tą rocznicę urodzin Nabokowa, ale nadarza się jeszcze jedna okazja: niedawno ludzie rządzący Rosją wypędzili z niej kolejnego wielkiego pisarza, Sołżenicyna. Skłania to do refleksji na temat: pisarz a emigracja.

Casus Nabokowa wystarcza do zdezwauowania komunatu o „automatycznej śmierci pisarskiej na emigracji”, który napawa taką *Schadenfreude* wszystkich biorących udział w niewidzianej

od czasów stalinowskich nagonce na Sołżenicyna. Warto więc przytoczyć parę uwag o emigracji nieskorego do wypowiedzi politycznych Nabokowa. W dziesiątą rocznicę rewolucji październikowej, hucznie obchodzoną w Związku Sowieckim, Nabokow zaproponował (*Rul*, 18. 11. 1927) by emigracja również uczciła to jako rocznicę: wierności sobie, wolności i — pogardy!

„Dziesięć lat pogardy... Nie pogardzam zwykłymi ludźmi, robotnikiem Sidorowem, honorowym członkiem jakiegoś tam Kompompomu, ale tymi obrzydliwymi głupimi szalbierzami, którzy przerabiają rosyjskich prostaków w komunistycznych durniów, którzy robią z ludzi mrówki, nowy gatunek *Formica marxi var. lenini*. I nie mogę ścierpieć tej śmierdzącej drobnomieszczańskim filisterstwem atmosfery, jaka otacza wszystko co bolszewickie. Filisterska nuda ziewa z szarych płacht *Prawdy*, filisterska furia dzwięczy w politycznym jazgocie bolszewików, ich zakute łby napęczniały filisterską bzdurą. [...] Siła mojej pogardy tkwi w tym, że wyrażając ją, staram się nie myśleć o przelanej w dodatku krwi. I siła jeszcze jest w tym, że nie oplakuję, jak zrozpaczony mieszcuch, straty majątku, domu, czy sztaby złota, za mało starannie ukrytej w kłozecie. [...]

Jesteśmy falą Rosji, która opuściła jej brzegi — jesteśmy rozproszeni po całym świecie, ale nie zawsze wędrujemy w rozpacz, nie zawsze nasza odważna tęsknota za ojczyzną przeszkadza nam w cieszeniu się obcym krajem, wytworną samotnością wśród cudzoziemskiej, naelektryzowanej nocy, na jakimś moście, na jakimś placu, na jakimś dworcu... Winniśmy więc uczcić dziesięć lat wolności. Wolności, której zaznajemy, nie zaznał może żaden naród. W tej osobliwej Rosji, która nas niewidzialnie otacza, ożywia i krzepi, karmi nasze dusze, ozdabia nasze sny, nie ma innego prawa oprócz prawa miłości do niej, innego przymusu oprócz naszego sumienia. Możemy powiedzieć o niej wszystko, wszystko napisać, bo nie musimy niczego ukrywać i nie ma krępującej nas cenzury — jesteśmy wolnymi obywatelami naszych snów. Siłą naszego szeroko rozrzuconego państwa, naszego koczowniczego imperium jest jego wolność, i któregoś dnia będziemy wdzięczni ślepej Klio, że dała nam jej posmakować, że pozwoliła na emigracji zrozumieć do głębi i rozwinąć miłość do rodzinnego kraju”.

Cóż tu dodać? Uderzająco trafne jest to przeciwstawienie wolności i filisterstwa. Filisterstwo to marzenie o świecie nie takim, jaki jest, lecz o świecie okrojonym, przyciętym na miarę. Dlatego tyrania zawsze rodzi kołtuństwo. Dlatego filisterski bańka: „*pisarzem można być tylko w swoim kraju*” w ustach rozpaczliwych miernot *stamtąd* brzmi zupełnie tak samo, jak apologia dobroczynnych skutków małżeństwa niezależnie od sytuacji — w ustach pana Dulskiego.

M. BRŃSKI

List z Londynu

Szanowny Panie Redaktorze,

Kilkanaście miesięcy temu opuściło tę Wyspę pewne starsze małżeństwo. Wrócili na stałe do Polski, co dość często robią nasi emeryci, którzy nie zdołali tu zapuścić korzeni i marzą o spokojnej starości wśród swoich. Szczęśliwi i stęsknieni pojechali w rodzinne Białostockie, gdzie czekali na nich krewniacy. Ale szczęście trwało krótko i ostatniego października odbył się ich pogrzeb. Otruli się grzybami.

Nieszczęśliwy wypadek? Samobójstwo? A może — strach pomyśleć — morderstwo?



Znałam tych Mitręgów od 48-go roku, mieszkali w sporym skupisku polskim w Midlandach, gdzie również przebywała moja rodzina. Mieli tam przyjaciół, rodzinę Grzesików, krajanów z sąsiedniej wsi. Tam też zaprzyjaźniliśmy się z eks-przodownikami policji, p. Stefanem, i jego żoną, p. Krysią, o których dalej. Wracając do Mitręgów: było to starsze, samotne małżeństwo (dzieci im wymarły w Sowietach), należące do tej kategorii chłopów, o której słusznie się mówi, że mają w sobie coś z Piasta: bardzo godni, ogólnie szanowani i mądrzy — o wiele inteligentniejsi od mnóstwa tzw. inteligentów. Czytali prasę, korzystali z parafialnej biblioteki i ich obraz świata był o wiele szerszy, niż różnych bubków z dyplomami. I przy tym — co się wśród nas zdarza nader rzadko — nie blagowali o swych przedwojennych dworach i splendorach, do głowy im nie przyszło ukrywać swą chłopską przeszłość jak rodzinną hańbę. Oboje ciężko pracowali i pchali co mogli w paczki dla licznie rozrodzonych krewnych

w Polsce. Po Październiku ucieli nieco na paczkach, a do krewniaków w rodzinnej wsi jeli ślać gotówkę, za którą miał tam stanąć dwurodzinny dom — połowa dla tamtych, a połowa dla nich samych, bo zdecydowali wracać jak tylko Mitręga wyrobi tu sobie emeryturę. Co się zresztą odwlekało, bo cały czas brakło na tę budowę, więc Mitręga harował do siedemdziesiątki — cieśla był z niego przedni i angielska firma rada go trzymała. Mitręgowa też dorabiała gdzie się da, hodowała kwiaty na sprzedaż, sprzedawała jajka od własnych kur, a także wędrowała po różnych sezonowych robotach u farmerów, choć zdrowia była marnego i przeszła poważną operację. Wreszcie dom był na ukończeniu i już trudno się było doczekać żeby w nim zamieszkać. Tylko że listy od krewnych zrobiły się chłodne, radziły czekać, a przy tym ciągle żądały gotówki: a to na elektrykę, a to na okna albo inne klamki. Aż wreszcie w zeszłym roku Mitręgowie, radośni i niecierpliwi, zlikwidowali swe magistrackie mieszkanko i w podniosłym nastroju pociągnęli niczem zamorskie bociany pod rodzinną strzechę. Zdawało się: sprawa zakończona pomyślnie, wreszcie są szczęśliwi i cieszą się z owoców swej zapobiegliwości.

Ostatnio gościł u nas p. Stefan — też w drodze na stałe w rodzinną Rzeszowszczyznę. Po śmierci p. Krysi był bardzo samotny, a odkąd przeszedł na emeryturę, to już w ogóle ludzi nie widywał i dziwaczał, za główną rozrywkę mając codzienne przesiadywanie na grobie żony. W Polsce ma liczną rodzinę, która ostatniego lata wreszcie go namówiła na odwiedziny. Inspekcja wypadła pomyślnie, ujęła go gościnność krewniaków, rozkleił widok starych kątów, a że bratanek proponował mu osobny pokój w swym mieszkaniu, p. Stefan zdecydował wrócić na stałe. No i w drodze przez Londyn bawił u nas kilka dni, wraz z p. Krysią — ta ostatnia w urnie w podręcznej walizeczce. Od niego właśnie pochodzą świeże wiadomości o Mitręgach, którzy po powrocie pisywali do Grzesików, a ci podawali dalej. Otóż, przybywszy do rodzinnej wsi Mitręgowie stwierdzili, że żadnego domu nie ma i licho wie gdzie się podziała gotówka, a na dodatek krewniacy oburzyli się, że po kiego czorta spadają im na kark. No i rób co chcesz: pieniądze przychodziły jako dar, więc teraz Mitręgowie nie mieli jak dochodzić swego. Wprowadzili się do jakiejś podnajętej komórki i tak mimo wszystko pozostali w swojej wiosce — ku niezadowoleniu siostrzeńców i bratanic. Ciągłe były wrzaski i blokady, żeby sobie poszli do cholery, bo tylko wstyd robią przed ludźmi, pełno plotek i w ogóle nieprzyjemnie. Tak jakoś przetrwali rok, no i ostatniej jesieni wynieśli się na dobre, o czym doniosła siostra Grzesikowej z Białegostoku. Po prostu zjedli te grzybki. Kto chce — niech uwierzy. Bo p. Stefan, który te listy czytał i przecież fachowiec od takich

rzeczy, wychodząc z zasady *cui bono* twierdzi, że tymi grzybami to ich umyślnie poczęstowano, choć na zewnątrz robota czysta, mucha nie siada. I jego wywody całkowicie mi trafiają do przekonania. Mitręgowa od dziecka miała grzyby we krwi, w Anglii zbierała je co jesieni, a także innych pouczała jak się w nich rozoznać i nikomu nic się nie stało. A może, nie mogąc znieść katastrofy swych marzeń, popełnili samobójstwo? Nie myślę, zbyt na to byli pobożni. Ale nawet jeśli się przyjmie nieszczęśliwy wypadek, to czy nie straszny jest los tych ludzi, którzy po tylu latach ciężkiej pracy wrócili w wymarzone stare kąty? Rozumie Pan więc, Panie Redaktorze, czemu nie mogę się z tego otrząsnąć, chodzi za mną i gnębi. Zrozumie Pan też czemu, w świetle tej sprawy, tak mi złowroźnie zabrzmiły osobiste plany p. Stefana, choć rzecz jasna nie zgłaszałam zastrzeżeń — taki był radosny i podniecony, a zresztą i tak już nie mógłby się cofnąć. Dwie jego krewniaczki poznałam, gdy je kiedyś zaprosił do Anglii, o czym dalej. Drapieżne harpie nie budziły za grosz zaufania. Ale szczególnie nie podobają mi się dwie rzeczy: ten pokój u bratanka, gdzie po wstępnych uprzejmościach starszy pan może się okazać zawalidrogą (dość o takich rzeczach czytamy w prasie PRL), no i ten samochód. Bo gdy p. Stefan zdecydował powrót i zdradził krewniakom, że ma trochę oszczędności, to ci go namówili, żeby im z Anglii przysłał samochód, a oni mu na miejscu zwrócą w złotówkach. Samochód powędrował więc do Polski i teraz boję się, żeby jego fundator nie został wypchnięty na bruk i na dodatek obrabowany z sumki, którą sobie uciulał przez 20 lat w angielskiej fabryce — rozbrojony z dewiz stanie się przecież bezwartościowy. Oczywiście może to wszystko być czarnowidztwem, daj Boże — zawsze sobie powtarzam, że dość jest jeszcze na świecie uczciwych ludzi, choć codzienne obserwacje bardzo tę wiarę utrudniają. Czekam więc z niecierpliwością na wieści od p. Stefana, choć wiem, że i tak nie będę wiedziała czy mówi prawdę, póki go tam nie odwiedzę. Bo gdyby wypadło źle, to by się nie przyznał, prędzej zjadłby jakieś grzybki, jest bowiem staromodnie honorowy. Uspokojam się myślą, że oprócz tych dwu harpii ma dość liczną rodzinę i że to mogą być najlepsi ludzie pod słońcem. A wszystko jedno ogarnia niepokój.



Oto drobny wycinek nabrzmiałego problemu: kraj — emigracja. Nie tyle na płaszczyźnie politycznej (o czym zapisano tony papieru), co ludzkiej: stosunek emigracji na Zachodzie do rodaków w kraju i odwrotnie. Zagadnienie to jest na ogół wstydliwie pomijane, często przez lojalności rodzinne i żeby nie tam-

tego we własne gniazdo. Tu i ówdzie ledwo je kto muśnie z boku, a najprędzej jeszcze w polemikach wywołanych pretensjami pod naszym adresem nowych emigrantów, co jest zresztą osobnym tematem. Bardzo to wszystko skomplikowane, nie podejmuję się przeprowadzać wszechstronnych analiz i formułować generalnych wniosków. Jako hobbystę-obszernika komedii ludzkiej interesuje mnie przede wszystkim anegdotyczna strona zagadnienia. A że obserwowane fakty często zmierzają w jednym kierunku, to już można mówić o ogólnych tendencjach. Co czynię w nadziei, że może wyjdzie z tego rzeczowa dyskusja, o co u nas tak niezmiernie trudno. I przy tym ogarnia niepokój, że wyzwolę nową lawinę protestów nie tylko przeciw swej osobie, o co mniejsza, ale i przeciw *Kulturze*. Przygotujmy się więc, Panie Redaktorze, na nową eksplozję oburzenia: że szkaluję Naród Polski w Kraju i że głoszę, jakoby to był łajdak w łajdaka, a tym czasem Świetlane Postacie Naszych Tysiącletnich Dziejów, jak i współcześni krewni p. Kwiatkowskiego z Radomia (moi zresztą też) są walnym dowodem, że jest akurat na odwrót. Oczywiście dość jest jednych i drugich, mnie jednak interesuje to, co niezwykle, malowniczo i tragicomiczne, i co jednocześnie przybrało charakter masowego zjawiska.

Jak ja to widzę, nasz stosunek do ludzi z kraju był od samego początku spaczony i niezdrowy. Jest w nim z naszej strony coś z poczucia niższości i winy, tak że często jesteśmy uważani (i uważamy się sami) za Polaków drugiej kategorii, takich *honoris causa* w porównaniu z tymi, co tak heroicznie tkwią nad Wisłą. I z tegoż powodu oni uważają się za lepszych i mądrzejszych, za monopolistów patriotyzmu, i oczekują, że będziemy ich podziwiać: bo tak tam okropnie cierpią, o czym my nie mamy zielonego pojęcia. Ba — najcyniczniejszy karierowicz podczas wypadu na Zachód stroi się wobec nas w koronę cierniową: że jest męczennikiem, który *musi*, jak ten Wallenrod dla dobra Narodu. A z ich patriotyzmu korzystają również władze PRL (na które się wybrzydza), o ile zachodzi kwestia rozróżnienia: MY — TAM, WY — TU. W obcowaniu z nimi często się zauważa, że choć wygadują na te władze co najgorsze, to czynią to również i dlatego, żeby wobec nas przyodziać się w skrwawiony płaszcz męczennika. Spróbować (eksperymentalnie) zaprzeczyć, że wcale tam nie tak źle, to zacząć zjeżdżać PRL jeszcze ostrzej. A przytaknąć, że nam nie podoba się akurat to samo, to z miejsca zatrabia do odwrotu: że no tak, ale gdzie indziej jest jeszcze gorzej, wziąć tę waszą Anglię ird. — bo wydziwianie na Anglię, to ich dobre prawo i rzecz patriotyczna: albośmy to jacy-tacy! Co wielu nie przeszkadza stawiać na głowie, żeby tu zostać na stałe. Wydaje mi się, że za tą ich taktyką odwrotu tkwi przekonanie, że im,

tym Polakom pierwszorzędnym, wolno pluć na partię i rząd PRL, na jej prasę, cenzurę, handel uspołeczniony i wszystko po kolei, ale nam, Polakom drugorzędnym, wara, bo to przecież nie nasz kraj i nie nasz naród, i nic nam do tego. Tym bardziej, że naszym dodatkowym grzechem, podczas gdy oni tak cierpią, jest korzystanie z dóbr zachodniego materializmu. Zresztą tymi nie tylko wolno, ale poniekąd mamy obowiązek się dzielić w formie częściowej ekspiacji. Kto z nas nie słyszał zawołania: „ach to wasze zmaterializowanie, ta pogoń za pieniądzem, my byśmy tego nie wytrzymali”? Ale owoce tego dawaj i nie ustawaj, bo okażesz się wyrodkiem w rodzinie oraz narodowym zaprzańcem. To właśnie dawanie doprowadzili do perfekcji śp. Mitregowie — przypadek tak drastyczny, jak jeszcze rzadki, choć w zeszłym roku czytałam o podobnym w jakimś piśmie krajowym, chyba w *Polityce*. A drugie co nam wolno, ba — czego się od nas wymaga, jako od tych gorszych Polaków, to żebyśmy byli Latarnikami. Mamy spazmować na widok Wawelu i pomnika Kościuszki, bocka i strzechy, budującej się makiety Zamku warszawskiego, „góralskiej” tandety z Zakopanego i furkających kiecek „Mazowsza”. I że, dobrze się wypłakawszy, sięgniemy głęboko do kieszeni, obojętnie dla kogo i na co, byle by hojnie.

Ta licytacja na cierpienia dawne i świeże, i rozbudzanie w nas przy ich pomocy poczucia winy, które ma prowadzić do materialnej ekspiacji i pozbawienia nas prawa do własnego zdania w sprawach krajowych, powtarza się monotonnie w polemikach przeciw nam tych nowych emigrantów, którzy reprezentują mentalność „ludową”. Wziąć pierwszą z brzegu, jakże charakterystyczne pretensje Alicji Lisieckiej w artykule „Dawna i nowa emigracja” (londyńskie *Jutro Polski* z 5 czerwca 1973). Pomijam tu kwestię, którą już w tymże *Jutrze* omówili inni: kim jest i z jaką reputacją w posagu zstąpiła na nasz padół p. Lisiecka, o czym tu ćwierkają wróble na dachach i kładą nam w uszy przybywający z kraju intelektualści. Chodzi mi tylko o dwa momenty w jej zażaleniach, które powtarzają się pod naszym adresem dość monotonnie: licytacja na cierpienia i pretensje, że na nasz koszt nie zapewniamy jedwabnego żywota, wolnego od zmory pracy zarobkowej, tym wszystkim przybyszom z kraju, którzy uważają, że im to się od nas należy. A więc autorka nam wypomina: „stara emigracja nie ma nawet wyobrażenia o naszych początkach w popowstaniowej Warszawie i Łodzi: o szkołach z wybitymi zimną oknami, gdzie nadrabiałam w palcie matematyczne zaległości, o zupie sprzedawanej na ulicy, o pieszych wędrówkach naszych matek przez most pontonowy na Pragę po bochenek chleba, o własnoręcznym wstawianiu drzwi i okien, o głodzie, o byle jakiej pracy, o inkwizycji działającej już wtedy, kiedy

nie działało jeszcze pierwsze kino 'Atlantic' w powojennej Warszawie". (Cóż za nietakt — mogła choć ta inkwizycja poczekać na uruchomienie „Atlanticu”!) Widzi więc Pan, Panie Redaktorze, że jesteśmy pokonani i zmuszeni podać tyły — zaimponowało nam to wszystko niesamowicie, a zwłaszcza tym, co przeszli sowieckie i hitlerowskie raje (tylko niektórzy mamroczą zazdrośnie na tę wzmiankę o osiągalności zupek i bochenków, nawet po drugiej stronie pontonowych mostów). Zaś mnie osobiście zatrzęsło ze zgrozy na to palto, w którym p. Lisiecka nadrabiała matematykę. Wiem jak to smakuje, bo tu, w Anglii, przez osiem zim uczyłam się w palcie i szalu w swych mroźnych pokojach, bo na piecyk nie było mnie stać. A jak rozkoszna jest ta lodowata wilgoć nie trzeba tłumaczyć nikomu, kto zakosztował angielskiej zimy. Na zawsze pozostały mi w kościach te lata, reumatyzm rzecz nieprzyjemna, co zresztą wcale mi nie przeszkodziło w zdobyciu stopni naukowych. Już miałam zaproponować p. Alicji, byśmy te nasze cierpienia położyły na wadze, by sprawdzić bez pucu czyje straszliwsze, ale po namyśle rezygnuję. I tak bym przegrała, bo swego przypadku nie uważam za męczeństwo i do nikogo nie mam pretensji.

Wreszcie trzecia wśród nas grupa pokonanych tą martyrologią: nasza przedwojenna inteligencja, której włos się jeży na wzmiankę p. Lisieckiej o „byłe jakiej pracy”. Bo przecież ich ogromną większość czekały w Anglii wspaniałe posady, tylko wybierać. Po demobilizacji pan profesor i pan pułkownik, pani magister i pan literat bez szemrania przedzierzgałi się w *czarnoboczych* i nie słyszałam, żeby ktoś przez to chorował psychicznie czy zwywał pomsty niebieskiej. Wziąć choćby moich rodziców, oboje z wyższym wykształceniem, którzy do emerytury pracowali w fabrykach, czym zresztą wcale się nie czuli upokorzeni, pozostali sobą. W co wujek z Polski uwierzył dopiero, gdy nas odwiedził i zobaczył jacy uszargani wracają z pracy. Był zszokowany i przyznał, że choć oczywiście pisaliśmy mu o tym, brał to za kokieterię. Ja też przeszłam tu niezły chrzest pracy fizycznej, toteż — o ile znów zajdzie potrzeba — podejmę ją jako rzecz naturalną, byle by była. Żeby nie musiała ubiegać się o zasiłki, cudowne okazje, stypendia nie wiadomo na co i inną darmość, na pogoń za którą tracą energię niektórzy nowi emigranci i z której żyją tak, że daj Boże każdemu. A że niektórzy z nich pracują na Zachodzie tak, jak pracowali nasi starzy inteligenci — no cóż, takie są smutne realia życia, na które każdy emigrant musi być przygotowany, jeśli nie zna języka kraju osiedlenia i nie posiada chodliwych kwalifikacji. Zawczasu powinni to sobie uprzytomnić ci, co nie wiadomo po kiego licha „wybierają wolność”, skoro sami przyznają, że nie zmienili poglą-

dów, z którymi do ostatniej chwili prosperowali w ojczyźnie.

Co mnie w tym niesmacznym epizodzie szczególnie irytuje, to nieukrywana pogarda do pracy zarobkowej, zwłaszcza wśród „twórców” rodem z PRL. Nawet wśród takich, co niczego szczególnego nigdy nie stworzyli, a mają pretensję, że nie doceniamy zaszczytu, jakim przez swe zstąpienie na ten padół nas obdarzyli. A w ogóle, to z obserwacji krajowych rodaków *genus* inteligent jasno widać, że szacunek nasz — męczenników „kapitalizmu” — do pracy, *każdej* pracy, i do uczciwego zarobku, jest o niebo wyższy, niż wychowanków systemu, który oficjalnie głosi hasło „cześć pracy”, a nieoficjalnie „czy się stoi, czy się leży, dwa tysiączki się należy”. Dotąd pamiętam szok, jaki towarzyszył temu odkryciu w roku 57-ym, gdy na mój uniwersytet przybyli pierwsi stypendyści z kraju — kilkoro pracowników naukowych. Sensacja nie miała — pierwsi rodacy zza żelaznej kurtyny, jakich oglądały nasze oczy. Jedna z nich, pani lat 30, zamieszkała ze mną stając się nieustającym źródłem zdumienia. Monety miała nader skąpo, a jednak bardzo opornie przyswajała sobie moje mądrości jak w nowym środowisku tanio się urządzać i przeszło kilka miesięcy nim przyznała, że stołowanie się w restauracjach i korzystanie z pralni jest za drogie. I wtedy się okazało, że ta niewiasta w kwiecie wieku nie ma pojęcia jakie kupować wiktuały i jak ugotować kartoflanke, jak wyczyścić spódnice i własnymi ślicznymi rączkami uprać sweter. Wyglądało, że aż do przybycia tutaj aniołowie ją przenieśli przez życie. I tak nadeszły wakacje, na które robiła sobie wielkie plany zwiedzania tych wysp. Przed wyjazdem zagadnęła jak spędzę lato. — Jak zwykle, w fabryce. — Aż przysiadła ze zdumienia: — Jakto, ty, doktorantka?! — Oczywiście, robię to każdego lata. Przecież stypendium nie wystarcza na książki i ubranie. — I zaraz wzięło mnie lichy: — To w takim nastawieniu do pracy was tam wychowano? Cóż to za znakomitość doktorantka? Tutaj zarabianie podczas ferii jest ogólnie przyjęte wśród studentów. — No tak, my pracujemy jak nas zmuszają do „czynów”. Ale żeby dobrowolnie!

Takie-to są różne komplikacje z wyważaniem cierpień, zarabianiem na życie i wmawianiem w nas poczucia winy, na którą często godzimy się sami. Co do mnie, to chyba słusznie mogę twierdzić, że do żadnej winy się nie poczuwam. Decyzja nie wracania do domu została powzięta mimo mnie, czego zresztą nie żałuję. Co jednak nie znaczy żeby mnie czasem nie nawiedzała zazdrość, jak podczas opowiadania znajomej o odgruzowywaniu Warszawy, w którym jako dwunastolatka brała udział codziennie po szkole, i że w tym jedynym wypadku wszyscy Polacy, bez względu na wiek i poglądy, działali jak jeden mąż, nikt nie wątpił, że to właśnie należy robić. Piękne to musiały być czasy

i żałuję, że ich nie przeżyłam. Właśnie wtedy, nim zaczął działać ten „Atlantic”.



Zastanawiam się nad źródłem wypaczonego stosunku między krajowcami a emigracją i dochodzę do wniosku, że w ogromnej mierze wina leży po naszej stronie i że po tamtej padła ona na urodzajną glebę: wypaczenia moralności, które tak zastraszały postępuje w kraju od wojny. Uważam, że źródłem zła jest *wytworzenie przez nas fałszywych pozorów*. Skąd się to wzięło?

Po przyjeździe do Anglii byliśmy (z wyjątkiem nie tak znów licznych kasztaniarzy) straszliwie ubodzy: cały majątek w tobołku, kąt w baraku i widoki na przyszłość nader liche — „czarna” robota bez względu na wykształcenie. Ale na chude życie można tu jednak było zarobić i na dodatek miało się w świeżej pamięci swą sowiecką czy niemiecką nędzę, więc rzucono się pomagać rodzinom w kraju. Firmy paczkowe wyrosły jak grzyby po deszczu i szybko przerodziło się to w patriotyczną ideologię, nie rozróżniając komu ta pomoc rzeczywiście potrzebna, a komu nie. Zresztą ci drudzy rzadko przyznawali się, że się obejdzie, bo od przybytku głowa nie boli, toteż z przyjemnością wspominałam, że moja rodzina należała tu do nielicznych wyjątków, które stwierdziły otwarcie, że dają sobie radę. Tutaj widzieliśmy sytuację tak oto: jesteśmy bądź co bądź w lepszym od nich położeniu, w kraju nie zanedbano wojną i przede wszystkim bezpieczni, nie grożą nam żadne denuncjacje i łowy na ludzi. Jedyne co możemy dla nich zrobić, to te lekarstwa, nylony i przyodziewa z *demobu*, bo inna była na skąpe kartki. W tych czasach było nieprzyzwoitością powiedzieć, że przecież po tamtej stronie nie wszyscy są nędzarzami, że wielu nieźle sobie daje radę bez nas i że niektórym materialnie, a w każdym razie żywnościowo, powodzi się o wiele lepiej niż nam, wegetującym tu aż po rok 53-ci na chudych racjach kartkowych. Toteż niewielu emigrantów wyciągnęło wnioski z pierwszych sygnałów ostrzegawczych, jak np. mój szwagier, który w czasach PKPR z lichej kaprałskiej gaży wysyłał nylonowe pończochy (bardzo tu wtedy trudne do zdobycia i stąd uważane za szalenie eleganckie), aż dostał list, że „ten kolor już u nas niemodny”; czy nasza ówczesna sąsiadka, p. Zosia, jedna z nielicznych w obozie właścielek aż dwu pałt. Nosila oba, ale oba były jeszcze dobre. Z poczucia obowiązku wysłała jedno siostrze do Polski „bo tam taka nędza”, co zostało skwitowane oburzoną listem: że wstydzila się posyłać takie szmaty i że obdarowana tylko najadła się wstydu przed znajomymi. Ogromna większość Rodaków była jednak na takie sygnały głucha, stawała na głowie żeby ślać a ślać, licytowano się kto

więcej i częściej, a byli i tacy, przeważnie samotni panowie z rodzinami w Polsce, co żyli dosłownie w nędzy, bo ich zarobki pochłaniały paczki, co tam stwarzało pozór, że świetnie im się powodzi. Stąd powstały takie wynaturzenia, jak przypadek dość w Londynie znanego starszego inteligenta, który miał za cały majątek drańskie ubranko na zmianę, bo wszystko inne przemieniało się w dary. Wreszcie zmarł i przyjaciele złożyli się na pogrzeb, żeby nie popadł do wspólnego grobu. Wkrótce potem przybyła z Polski jego córka — szykowna damula z fumami że aż! — po spadku. Skrzywiła się pogardliwie na widok odrapaniej walizki: — Te łachy?! — i wcale nie kryła podejrzenia, że wartościową część spadku rozkradli pomienieni przyjaciele. Smutna komedia, ale czy można twierdzić, że zmarły był bez winy?

Jak wspomniałam, swe studenckie wakacje spędzałam w fabryce. Tego lata do matki staruszki przybyła z Polski córka, inteligentka na dobrej posadzie. Chciała tu sobie zarobić na zakupy, a że nie miała pozwolenia pracy, zainteresowała się moją fabryką, która w sezonie brała na dniówki nie pytając o detale. Pouczyłam ją, że musi włożyć gumowe buty, gruby chałat i gumowy fartuch, bo praca mokra i brudna, toteż aż mnie skreśliło ze śmiechu, gdy nazajutrz stawiała się w ślicznych sandałkach, kwiecistym fartuszką z falbankami i w malowniczym fontaziu na głowie. Brodząc w brudnych kałużach razem pracowałyśmy na akord, była tymi realiami przerażona i wreszcie powiedziała: — Teraz dopiero widzę, jak u was trudno o tego funta, a u nas mówią, że sami nie wiecie co robić z pieniędzmi. To wasza wina, ciągle posyłacie drogie rzeczy, więc ludzie mówią: co oni sami muszą mieć, jak mogą to wszystko posyłać! — I to jest właśnie sedno sprawy — robienie fałszywych pozorów.

W tymże czasie wśród wspomnianych stypendystów z Polski była bardzo inteligentna pani, którą interesowało życie emigracji, toteż dostarczałam jej co miałam z naszej prasy. Wtedy to przeżyłam szok nr 2, który pouczył mnie wbrew emigracyjnym oklepankom, że nie każdy w kraju jest męczennikiem. Wśród tej prasy była gazeta zbierająca składki na lekarstwa dla chorych w Polsce. Moja znajoma była oburzona, cytowała znane jej przykłady całych klanów wydrwigroszy żyjących z wyłudzenia lekarstw. Co mnie bardzo zdumiało: — Jak to, to potrzebujący ich nie dostają? — No nie, czasem trafi i do nich, ale tak w ogóle... — Przekonała mnie łatwo, bo od własnych na tym polu doświadczeń w Sowietach nie wierzę w zorganizowaną dobroczynność, która rzadko trafia do tych, co jej na prawdę potrzebują. W roku 1942 widziałam w Uzbekistanie jak tran i witaminy, przysłane z Anglii dla naszych dzieci, całkiem otwar-

cie słył wszędzie, tylko nie dla dzieci masowo mrących z awitaminiozy, czerwoności, tyfusu i innych plag ludzkości. Mam to utrwalone pod powiekami jak na taśmie filmowej i chętnie bym opisała, ale nie chcę ryzykować procesu o oszczerstwo, bo skąd dziś wezmę świadków?

Lekarstwa — to barwny rozdział w historii stosunków emigracji z krajem. Czy pamięta Pan tę orgię, co szalała kilkanaście lat temu, gdy z Polski nieomal na kubły żądano od nas tzw. pszczelego mleczka? Już dawno to mleczko ucichło i do dziś nie wiem po co było potrzebne. Nie kwestionuję oczywiście, że coś z tych lekarstw trafiło we właściwe ręce i że niektórym mogły nawet ocalić życie. Ale tak w ogóle... Przypomina się pełno uciśniętych przypadków, z którymi i ja i znajomi mieli do czynienia. Z braku miejsca zacytuję tylko dwa typowe. Pracowałam kiedyś tu z Rosjanką imieniem Tonia, która po matce Polce miała krewnych na Pomorzu. Znałam całą sprawę, bo pisali do niej po polsku, co ja tłumaczyłam i w jej imieniu odpisywałam. Ciągłe ją na coś naciągali, posyłała i dziwiła się: jeden inżynier, drugi też na posadzie, żony pracują, więc czy rzeczywiście są tacy biedni? Ja już wtedy byłam rozbijona ze złudzeń, ale milczałam, bo czy wypada przed Rosjanką opluwać rodaków i na dodatek jej krewnych? Tak szła ta zabawa, wysłałyśmy swetry, adamaszek na ślubną suknię, to i tamto, no i — rozumie się — pszczele mleczko, aż wreszcie przebrała się miarka, gdy ten inżynier przysłał zapotrzebowanie na lekarstwo, niby że dla cici. W aptecce o takim nie słyszeli, więc Tonia poszła do swej lekarki Polki. Ta wybuchła oburzeniem: — Nienawidzę tych naszych Polaczków, cóż za wstrętny naród! Już tu byli w tej samej sprawie moi inni pacjenci! — Okazało się, że to lekarstwo jest dopiero *w stadium eksperymentu* w Szwajcarii, więc skąd raptem dla tej cici? Ale na czarnym rynku byłaby sensacja!

Podobny przypadek zdarzył mi się przed laty, gdy stryj przysłał mi z Polski receptę na zastrzyki. Wiedziałam, że choruje, toteż poszłam do miejscowej apteki dowiedzieć się, czy mogą wysłać i jaka cena. Suma była zawrotna i, widząc me przerażenie, aptekarz (Anglik) spytał, czy to dla szpitala. — Nie, dla mego stryja. — *Impossible!* Jeden człowiek może dostać tylko sześć ampułek. — Stryj był bardzo honorowy, toteż mowy nie było, że chciał mnie oszukać. Opisałam mu całą sprawę, był oburzony i spytał lekarza o wyjaśnienie. Dowiedział się, że w ogóle to się obejdzie, są inne środki. Winowajcą był lekarz, do którego popadłaby cała przesyłka, bo przecież chory nie robi sobie sam zastrzyku.

Sami nauczyliśmy naszych odbiorców z niczym się nie liczyć i tu też można cytować dziesiątki przykładów. Ograniczę się do

trzech typowych z arenału spraw znanych mi osobiście: p. Reni, wspomnianej już p. Krysi, oraz p. Feliksa z Devonu. Ale gdyby Pan, Panie Redaktorze, spytał naszych ludzi tutaj, a pewnie i we Francji, to by Panu wysypali całe wory takich pereł. Otóż p. Renia była w obozie naszą sąsiadką. Wdowa, dwoje dzieci w szkole, pracowała w szpitalu jako sanitariuszka. Braciom i siostram w Krakowie posyłała to i owo ulegając psychozie paczek. Aż raz zażądali od niej... fasonowego akordeonu za 80 funtów, co było mniej więcej jej dziesięcioletniowym zarobkiem. Bo budując willę i jak ten akordeon sprzedadzą, to będzie na wykończenie. P. Renia śmiała się i płakała, ale oczywiście nie wykonała zamówienia, narażając się na wymówki, że cóż to za siostra taka skąpa? Aż w zeszłym roku, odchowawszy dzieci, zebrała dość gotówki żeby odwiedzić rodzeństwo i zawieźć prezenty. Wróciła jak stoi, siostry i bratowe obrały ją nawet z rzeczy osobistych, choć powodzi im się bardzo dobrze, lepiej niż jej — no, ale taka okazja złapać coś zza granicy! Bawiąc u nas w drodze powrotnej przez Londyn, p. Renia zapewniała, że więcej nie pojedzie, ani nawet nie napisze, tak jej obrzydliwie.

Zaraz po Październiku p. Krysia zaprosiła siostrę, pracującą inteligentkę. I już w pierwszy wieczór przybiegła do nas pożyczyć maszynę do szycia — mało nie płakała opowiadając jaka na tej Stasi okropna bielizna: sprana, ze zgrzebnego płótna, nocna koszula to samo, ach biedactwo, jak tam oni się męczą! Zaraz jutro kupi jedwabików, trzeba na gwałt poszyć Stasi koszulki. Szyły więc cały miesiąc różne rzeczy, ciągle jeździły na zakupy: a to palto, a to pantofle, skóra z węża na handel, odcinki na ubrania, dla szwagra i cici, tobołów się nabywało ze strach patrzeć. Stasia widziała, jak ciężko pracują pp. Stefanowie, ale to wcale nie przytępiło jej drapieżności. Przeciwnie — zazdrościła, że p. Krysia ma zegarek, na co jej to w fabryce? Stasi to by się przydał, ale cóż, w Polsce jej nie stać na taki luksus. P. Krysia przytaknęła temu rozumowaniu, zdjęła z ręki zegarek, choć jej było żal, bo to pamiątka, mąż jej kupił w Teheranie by uczcić wyzwolenie z Sowietów. Wreszcie gość odjechał syty chwały i wkrótce z Polski przyszedł list od drugiej siostry: cóż to Krysięńka tak dała Stasi obrać się bezwstydnie? Stasia pracuje, dzieci nie ma, mąż na dobrej posadzie i niczego im nie brak. Jadąc do Anglii swój zegarek zostawiła w domu, normalną bieliznę także i powyciągała stare szmaty z czasów wojny — wszystko po to, żeby pp. Stefanów jak najgorzej ograbić. Czy można się dziwić, że te rewelacje p. Krysia odchorowała w łóżku? Następnego lata p. Stefan zaprosił swoją siostrzenicę i cała historia powtórzyła się dokładnie, z tą wszelako różnicą, że p. Krysia nie miała drugiego zegarka, a że uczyła w szkółce sobotniej, to na

lekcje biegła z budzikiem. I potem pp. Stefanowie ślubowali przynigdy nikogo nie zapraszać.

Wreszcie p. Feliks, krajan moich londyńskich znajomych, pp. Gieniów. Mieszka w Devonie z żoną Angielką i czworgiem dzieci, pracuje w fabryce, spłaca domek na raty i jakoś wiąże koniec z końcem. Trzy lata temu przyjechała doń z Warszawy siostra, pani magister, z córką inżynierem. Wybrały się samolotem, bo można za złotówki, i p. Feliks przyjechał po nie do Londynu. Nocowali u pp. Gieniów budząc zdumienie gospodyni, że na miesiąc pobytu panie przywiozły tylko neseserek z kosmetykami. No i zaraz odjechali do Devonu, ale po tygodniu damy zgłosiły się do pp. Gieniów z prośbą o wikt i kwatery, bo były zmuszone uciec od wyrodnego brata. Angielka głodziła je sucharami (tj. grzankami, które tubylcy jedzą na śniadanie, no i w ogóle jedzą mało i przede wszystkim chudo. Dla przybyśza z kraju — abominacja), zaś brat dał im 30 funtów i zastrzegł, że na więcej go nie stać. A one przyjechały jak stoją, bo on im wszystko kupi, taki przecież bogacz, ma kamienicę. I, co gorsza, na samolot zapożyczyły się ciężko u znajomych, obiecując zwrócić dług w naturze: jedni zamówili angielskie swetry, inni płaszcz czy materiały, i to wszystko brat miał tu nabyć. Ale on, poinformowany o tej kalkulacji, odmówił współpracy i nawet się bardzo obraził, że tak zaocznie skórę na nim sprzedano. I wtedy zrozpaczeni goście uciekli do Londynu. Osiadły u pp. Gieniów, pożyczły pod tego brata pieniędzy i u sąsiadów chciały pożyczać, bo tam co drugi dom polski. Aż w *week-end* zjechał p. Feliks: żeby ostrzec całą ulicę, że długów płacić nie będzie i odebrać paniom nocne koszule żony, które im pożyczyła, bo nie miały w czym spać. Tak się spotkało rodzeństwo rozdzielone wojną.

Otóż właśnie — kamienice w Anglii. Któż zliczy, ile one wytworzyły w kraju złudzeń, często z winy emigracji rozbudowującej fałszywe pozory? Na tle krajowego głodu mieszkaniowego list informujący o kupnie domu musi działać piorunująco. Pomysleć: nie żadne M-2 czy M-3, a cały dom! Cóż to musi być za bogacz! A bogacz, by nie umniejszać swego splendoru, nie wspomina o detalach: że ten dom wcale nie jego, bo przez 20 czy więcej lat będzie spłacał pożyczkę z ciężkim procentem, i że często trzeba w rudę wsadzić masę dodatkowej gotówki oraz własnej pracy (tak, tak — własnoręcznie, p. Alicjo!) nim nada się do użytku. I, dla zwiększenia swego splendoru, będzie tu sobie wszystkiego odmawiał, by nabyć cztery kółka i zgromadzić oszczędności, z którymi pojedzie do Polski się pokazać, szastać forszą i imponować: patrz narodzie na zagranicznego posesjonata i milionera! Sama widziałam, jak takie błazny kazały się adorować w warszawskich lokalach, prowadząc dla zafascynowanej publicz-

ności konferansjerkę: że u nas w Londynie/Manchesterze/Bradfordzie, to my jesteśmy przyzwyczajeni mieć wszystko, limuzyna pod bramą, ho ho! A że niektórzy zstępują jak wygłodniała horda, żeby przez parę tygodni nie wyjmować twarzy z półmiska, to i krajowcy opowiadają sobie o emigrantach uciężne kawałki. Takie są dodatkowe źródła fałszywych pozorów.

Widzi mi się, że w pobłażliwym stosunku krajowców do emigracji uważanej za wielkie, głupie dziecko, jest coś z przekonania, że „głupi daje — mądry bierze” i że „śmierć frajerom”. Wiąże się to z polskim kultem cwaniactwa i ideowo wywodzi ze sprzedaży chłopu kolumny Zygmunta. Jesteśmy uważani za bogatych, głupich i wzruszająco dziecinnych, którzy na wspomnienie starego kraju rzucają się opróżniać kieszenie. Czyż nie wdzięczny materiał dla cwaniaków? I tak już pozostanie, bo dotąd nie brak wśród nas takich, co zatykają oczy i uszy, i oburzają się na wszelkie sugestie, że w PRL wcale nie taka nędza jak na znanych im osobie sybirskich posiadkach. Nie, oni nadal niczego się nie uczą, bo jakby zwątpili w powszechność krajowej nędzy i męczeństwa, to runąby im na głowę ten światek przesądów i sloganów, który sobie przez długie lata wypracowali i w którym tak im wygodnie, myśleć więcej nie potrzeba. Straciliby rację bytu — i co wtedy? Wolą więc wysyłać kuzynom na święta mleko w proszku i tabliczki czekolady, mięsne konserwy i cytryny, które to luksusy reklamują tu firmy paczkowe jako „pomoc dla krewnych w Polsce”. Niech-no ich Pan spróbuje zapewnić, że krewni jedzą lepiej niż oni sami, to ogłoszą Pana wtyczką!

Tak, krajowcy całkiem słusznie wiele nam mogą zarzucić, nie tylko my im. Mnie osobiście najwięcej u nich irytują cztery rzeczy tak powszechne, że przybrały rozmiary epidemii: 1) Pomieszanie pojęć, które objawia się np. w tym, że bez cudzysłowu używają słów jak „socjalizm” (to u nich) i „kapitalizm” (to u nas), tak że często ma się wrażenie, że mówimy dwoma różnymi językami. 2) Pogarda dla własnego i cudzego czasu: np. jest rzeczą pospolitą w stosunkach służbowych czy towarzyskich spóźniać się na umówione spotkania, przy czym spóźnienie liczy się w godzinach i do głowy nie przyjdzie, że ofierze należy się jakieś wyjaśnienie czy choćby „przepraszam”. 3) Dawanie słowa na wiatr: *exemplum* solenne obietnice, które są natychmiast zapomniane. I wreszcie 4) beztroskie traktowanie cudzej własności, jak choćby moich bardzo mi potrzebnych notatek na tematy zawodowe, które trzy lata temu zostały wypożyczone „do poniedziałku” (i od tej pory po niedzielach następują wtorki), czy sukienki mojej siostry, wypożyczonej na londyńską tańcówkę (i to przez dobrze sytuowaną osobę), która to sukienka teraz robi furorę w Olsztynie. A jaki tego wszystkiego skutek? Ano taki, że

my, którzy po Październiku chcieliśmy zawierać przyjaźń z każdym przybyszem z kraju, teraz długo i uważnie obwąchujemy nieznajomych krajowców nim zdecydujemy, czy można ich zaprosić do naszego domu. Tak nam dali w kość. I, proszę zauważyć, że mówiąc o tych przybyszach pomijam drażliwą sprawę „pań na krótkim urlopie”, które na Poczytnych Łamach „tą drogą pragną poznać pana na stanowisku, zamożnego, z domem i samochodem”, i które są gotowe ślubować dożgonną miłość stołowej nodze, byle tu zostać na stałe, a w ostateczności nabywa się dla nich za 100 funtów lipnego małżonka. Ten frapujący temat dotąd leży odłogiem i może nim się potem zajmę.

A że przyjeżdżają również ludzie skromni, mili i honorowi, którzy nie podchodzą do nas ani uniżenie, ani pobłaźliwie, tylko zwyczajnie po ludzku i z którymi bez trudu znajdujemy wspólny język, a nie znajdujemy większych różnic światopoglądowych? Ależ oczywiście, i to jest odwrotna strona medalu, która jednak nie zmienia tej brzydkiej pierwszej. To ona jest powodem dość powszechnego zjawiska: że po wyjeździe krewnych emigrant przychodzi do siebie jak po tatarskim zagonie, obawia się bankructwa i ślubuje, że nigdy więcej. Co ostatnio uczynili pp. Gieniowie, którzy co roku zapraszali kogoś z krewnych. Są oni zamożni i hojni z natury, toteż każdego ekwipowali bogato, ale nie dogodzisz — każdy był zawiedziony. Ze jednak istnieją granice przyzwyczajenia, to wreszcie dobiła ich stara ciotka. Zjechała tu z potężną listą dezyderatów, „żeby mi się pobyt opłacił” (!) i z zastrzeżeniem, że wszystko ma być porządne, nie z masowych sklepów jak ten wasz Spencer. Nie pomogły perswazje, że p. Genia oraz księżniczka Anna noszą rzeczy od Spencera, ciocia była nieugięta. Nagarnęła wszelkiego dobra, jak ten mityczny smok, co leży na górze skarbów: dla siebie, dla przyjaciółek i na handel. Ale miara przebrała się dopiero, gdy w przeddzień wyjazdu zażądała dwu odcinków na męskie ubrania („tylko żeby była setka!”) — nie dla bliskich mężczyzn, bo ich nie ma, tylko dlatego, że „znajomi przylecą oglądać co przywiozłam, więc nie chcę się wstydzić”. I to wreszcie wykończyło pp. Gieniów. Przez parę tygodni byli wstrząśnięci i o niczym innym nie mówili, a p. Genia powtarzała w osłupieniu: — Boże tyż moj, coż tak ten naród zeświniął?

Jest to obserwacja socjologiczna pełna głębszych znaczeń.

Grażyna NOWAK

Wiersze

Czesław DOBEK

MODLITWA PRZED PISANIEM WIERSZY

Boże!

któryś mnie stworzył z ciała i krwi
dał mi oczy, uszy, nogi, ręce —
nie pozwól mi myśleć w czwartym wymiarze —
niech pękają w oknach mych fantastyczne witraże
i wiatr przewieje dom,
wyważy drzwi —
prawdziwy wiatr:
będący tylko ruchem powietrza,
niczym więcej.
Kieruj moimi krokami
do faryki po pracę,
do rzeźnika,
do piekarza
do sklepu z butami —
niech mam chleb,
buty,
mięso,
oliwę,
sałatę
i niech nie staje przed moimi drzwiami
tramwaj idący po chmurach
do szpitala wariatów.

Nie pozwól, żeby
 astrologowie na seansach
 oszukiwali mnie widmami
 z drutu i waty,
 daj mi kwiaty
 wyrośłe z gleby:
 daj mi
 śmiech na żywych ustach,
 zamyślenie nieobolale;
 daj mi
 mury, które mogą dotknąć,
 sosnę, którą mogę pogłaskać,
 rzekę, która nie płynie w pustkę,
 domy, które nie są z piasku,
 góry, które są ze skały.
 I daj mi wiersz
 jak skał tych boki szorstki
 mówiący o tym, co słyszę,
 błyszczący tym, co widzę
 toczący się strofami w przyszłość
 po twardym bruku glasgowskim —
 cieszący się słońcem i deszczem,
 i karuzelą ulicy,
 i rudym powietrzem,
 i domów zaciekami,
 i rumowiskiem stoczni,
 i dźwigów pajkami,
 i zielenią zwarzoną,
 i ludźmi,
 i sosną z Loch Lomond,
 i nowymi butami,
 i chlebem,
 i winem,
 i mięsem,
 i rzeką
 i tym, że już nie będę,
 jak jestem —
 kaleką
 bez miasta.

Glasgow, 1949.

Czesław DOBEK

Archiwum polityczne

Korespondencja z Rzymu

Abp Casaroli w Warszawie: fiasko, punkt „zwrotny” czy nadal martwy?

Obsypywany pochwałami prasy krajowej, szef dyplomacji watykańskiej spędził trzy pracowite dni w Warszawie* na rozmowach z delegacją rządową, z min. Spraw Zagr. Olszowskim, z dyr. Urzędu d/s Wyznań wicemin. Skarżyńskim i z min. Oświaty Kuberskim; odbył również „dłuższą rozmowę” z premierem Jaroszewiczem i był przyjęty przez przewodniczącego Rady Państwa prof. Jabłońskiego. W oświadczeniu nadanym przed wyjazdem przez radio watykańskie, abp Casaroli z góry zastrzegł się że jego misja nie ma na celu uzyskania „rezultatów spektakularnych”, lecz „pogłębienie dialogu, poważnego i lojalnego w ścisłym kontakcie z polskim episkopatem”. Po przybyciu do Warszawy określił swą pierwszą, oficjalną wizytę w PRL jako „punkt zwrotny w stosunkach pomiędzy Stolicą Apostolską i Polską” i nie ukrywał umiarkowanego optymizmu, prawdopodobnie nie tylko by zrobić przyjemność gospodarzom łakącym sukcesu dyplomatycznego i stworzyć dobrą atmosferę do rozmów, ale w nadziei wywiezienia z Warszawy konkretnych rezultatów (negując przedtem możliwość „spektakularnych rezultatów” miał na myśli nawiązanie stosunków dyplomatycznych, liczył jednak przynajmniej na „zinstytucjonalizowanie” kontaktów, o czym była mowa po listopadowej wizycie Olszowskiego w Watykanie i na ustalenie zarystów *modus vivendi*). Jak wygląda plon tej misji?

Oddajmy najpierw głos samemu arcybiskupowi. Po powrocie udzielił wywiadu telewizji włoskiej. Nie ma już mowy o „punkcie zwrotnym”: stwierdził jedynie, że chociaż „normalizacja jest procesem długim i złożonym”, uczyniono „pewien postęp w podję-

* Od 4 do 6 lutego trwała wizyta oficjalna, następne dwa dni Casaroli był gościem Prymasa Polski.

tym dialogu" o czym świadczy uzgodnienie odbywania „regularnych kontaktów”, uchylił się jednak od odpowiedzi na pytanie dotyczące terminu następnej fazy negocjacji. Na zapytanie odnoszące się do sporu o reformę szkolnictwa, odpowiedział natomiast, że nie idzie wyłącznie o zabezpieczenie nauczania religii, lecz również o to że „biskupi polscy mają motyw do niepokoju ponieważ nowy program wychowawczy jest ideologicznie zbyt zaakcentowany”. Ta dyplomatyczna formułka oznacza publiczne (po raz pierwszy) przyznanie, że episkopat, przeciwstawiając się próbie podporządkowania oświaty i wychowania urzędowej doktrynie etatystycznego „socjalizmu” według wzorców sowieckich, nie walczy z wiatrakami, lecz o uznanie pluralizmu wychowawczego i kulturalnego, zgodnego z Deklaracją Praw Człowieka i Kartą UNESCO, których sygnatariuszami są wszystkie państwa komunistyczne z ZSSR na czele. W tym samym wywiadzie, podsumowując wyniki (to znaczy brak wyników) swej misji, abp Casaroli oświadczył — odprowadzającym go na lotnisko — Prymasowi Polski i min. Olszowskiemu, wyrażającym przekonanie o koniecznej cierpliwości — „powiedziałem im że potrzeba także nieco niecierpliwości”. Jak to dobrze, że przynajmniej Olszowski jest cierpliwy! Przychodzi na myśl epizod, jaki relacjonuje Gustaw Herling w swych „Dziennikach”, kiedy nieżyjący już prof. W. Folkierski, min. Oświaty i Wyznań w rządzie londyńskim interweniował zaraz po wojnie w Watykanie przeciw wystąpieniu do Warszawy delegata apostolskiego. Ostrzegając Piusa XII, że *la cattolicissima e fedelissima nazione polacca* zrozumie ten gest jako pośrednie uznanie nowego porządku rzeczy w Polsce. „Nie o Polskę, tu chodzi, mój synu — odrzekł Pius XII — ale o Rosję. Chcielibyśmy nawiązać stosunki z Rosją, coż kiedy Rosja nie chce”. Folkierski, człowiek bardzo religijny, złożył pobożnie ręce i podniósł wzrok ku górze: „Opatrzności Boskiej niech będą dzięki, że przynajmniej Rosja nie chce”.

„Niecierpliwość” obecnego szefa dyplomacji watykańskiej, dalekie i przytłumione echo niewygaśniętych rachub dogadania się z Moskwą (normalizacja stosunków z Warszawą otwiera dziś drogę do porozumienia z Moskwą i przywódcy rosyjscy bacznie ten odcinek obserwują), stanowi wyraz rozczarowania z dotychczasowych prób przełamania impasu w jakim znalazła się tzw. polityka wschodnia Pawła VI, której mons. Casaroli jest nie tylko wykonawcą, ale i współinicjatorem (niektórzy twierdzą, że jest jej „głównym architektem”). Po niepowodzeniach na Węgrzech i Czechosłowacji, pozostaje Polska jako szansa stworzenia nowego modelu stosunków (model jugosłowiański, na jaki liczył Casaroli, nie udał się).

Upłynął już niemal miesiąc od powrotu abp. Casaroli i wciąż panuje przekonanie, że misja ta zakończyła się kompletnym fiaskiem. Takie jest przynajmniej ogólne wrażenie w zainteresowanych kołach kościelnych i politycznych. Zaczynają od zarejestrowania skrajnie negatywnych ocen. Tygodnik *Panorama*, zbliżony do Democrazia Cristiana, w nocy pt. „Kardynał zbuntowa-

ny... i Kardynał złożony z urzędu”, przedstawia zdymisjonowanie kard. Mindszentego jako „monit” dla Prymasa Polski. Jest to oczywiście interpretacja uproszczona, ale — jak dalej zobaczymy — nie pozbawiona podstaw. Oto fragment sprawozdania:

„Wieczorem 7 lutego, w katedrze św. Jana w Warszawie, mons. Casaroli, min. Spraw Zagr. Watykanu, zdał sobie ostatecznie sprawę, że nie będzie mógł wrócić do Rzymu z dobrymi wiadomościami oczekiwanymi przez Papieża. Tego wieczoru bowiem kard. Wyszyński — jak zawsze sceptycznie nastawiony do celowości watykańskiej polityki otwarcia wobec świata komunistycznego, ale po którym Stolica Apostolska spodziewała się wystąpienia odręgniowego dla ułatwienia misji Casaroli — w swej homelii był jeszcze bardziej stanowczy niż zwykle: powiedział, mianowicie, że katolicy mimo stanowienia większości w kraju nie posiadają równych praw w życiu publicznym i mocno skrytykował reformę szkolną, wykluczającą nauczanie religii. Kiedy mons. Andrzej Deskur, Polak, przewodniczący papieskiej komisji dla *mass-media* i członek delegacji watykańskiej, przetłumaczył słowa Kardynała, Casaroli zmroziło. Główny cel jego misji w Warszawie polegał na doprowadzeniu do trwałego porozumienia pomiędzy rządem a episkopatem. Olszowski dał jasno do zrozumienia, że jedyną przeszkodę w nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z Watykanem (a więc także w dojeździe do skutku wizyty Papieża) stanowi nieustanna i ostra krytyka polityki wewnętrznej rządu ze strony Wyszyńskiego. Swoim wystąpieniem, w czwartek 7 lutego, Wyszyński zatem nie tylko storpedował misję Casaroli, lecz również spowodował kryzys watykańskiej *Ostpolitik*... Kiedy we wtorek 5 lutego przyszła wiadomość, że Papież zdecydował usunięcie Mindszentego, atmosfera rozmów polsko-watykańskich stała się bardziej odprężona... Przedstawiciele duchowieństwa polskiego tłumaczą tę destytucję jako ostrzeżenie papieskie pod adresem Wyszyńskiego... Opor Wyszyńskiego i złożenie z urzędu Mindszentego wnieciły krytykę prawnicy watykańskiej przeciw polityce wschodniej Pawła VI-tego. Głównym obiektem tej krytyki jest mons. Casaroli, który wrócił w piątek (8 lutego) do Rzymu. W otoczeniu monsignora mówi się, że jest on bardzo zawiedziony, podczas kiedy wśród prawicowych kardynałów krąży ponownie uporeczywa pogłoska o nominacji Casaroli na jedną z włoskich stolic arcybiskupich (mówi się o Turynie jeśli kard. Pellegrino poda się do dymisji), a więc o jego zastąpieniu”.

Na przeciwnym biegunie odezwało się Radio Tirana w audycji polskiej, nadanej 9 lutego wieczorem. Oto fragment tej audycji:

„Znaczenie jakie przykładą rząd polski do wizyty szefa dyplomacji watykańskiej uwydatnia się jeszcze bardziej jeśli uwzględnimy bardzo ciepłe przyjęcie, które mu zgotowano. Serdeczne spotkania wysłannika papieskiego z przywódcami polskimi przeszły wszelkie oczekiwania... Casaroli pobłogosławił wszystkie zdradzieckie i antynarodowe czyny klik Gierka, kurs prowadzonej przez nią polityki zagranicznej, jak i wewnętrznej, antyludową politykę ucisku... Wizyta Casaroli odbywa się w czasie, kiedy klika Gierka zaktywizowała całą reakcję religijną w kraju w celu wyprowadzenia w pole narodu polskiego, wprowadzenia zamieszania do umysłów ludzi pracy... Przywódcy państwa, które zwie się komunistycznym, nie zawahali się wyrazić swego uznania Watykanowi... Stosunki między kliką Gierka a Watykanem zmierzają w kierunku szybkiego polepszenia i to nie ulega wątpliwości. Ich współpraca i sojusz opierają się na wspólnych interesach kontrrewolucyjnych, na nienawiści do socjalizmu. Współpraca ta rozwija się w ramach

prób czynionych przez kliki rewizjonistyczne celem wykorzystania religii do utrzymania własnych narodów w ryzach. Swojego największego poplecznika widzi Watykan w rewizjonistycznej klicie Gierka, z którą stosunki na przyszłość roją jak najlepsze widoki".

Sukces misji abp. Casaroli podkreśla również prasa PAX-u (wystawiając mu laurki pochwalne) — oczywiście, w przeciwieństwie do albańskiej wyroczni chińskiej, radując się z jej wyników „z pozycji sojusznika partii klasy robotniczej”. Sąd innych obserwatorów jest na ogół bardziej umiarkowany, wyważony i zgodny z faktycznym przebiegiem tej misji. Dobrze poinformowany, wytrawny specjalista d/s watykańskich rzymskiego dziennika *Il Messaggero* pisze:

„Rozmowy mons. Casaroli potwierdziły uporczywe trwanie dużych trudności w stosunkach pomiędzy Warszawą a Watykanem, pomimo deklarowanej z obu stron gotowości polepszenia ich także na płaszczyźnie praktycznej (ustanowienie regularnych kontaktów — jednak bez sprecyzowania ich formy). Na brak osiągnięcia konkretnych porozumień mógł wpłynąć przede wszystkim spór pomiędzy episkopatem a rządem warszawskim w sprawie nowej ustawy szkolnej... Główny problem jednak to stanowisko kard. Prymasa Polski, który zawsze utrzymywał, że układ pomiędzy Stolicą Apostolską a Państwem polskim 'nie może przechodzić ponad głowami biskupów'. Watykan uszanował to wymaganie. Nie ulega wątpliwości, że destytucja kard. Mindszentego, zdecydowana i ogłoszona akurat podczas misji mons. Casaroli w Polsce, utwierdziła stanowczość przekonania kard. Wyszyńskiego. Prymas Polski może powołać się na przykład Czechosłowacji i Węgier, by wskazać Stolicy Apostolskiej iż jakiegokolwiek złagodzenie czujności sprzyja ingerencji reżymu komunistycznego w wybór biskupów i duchownych według własnego upodobania. Również i trudności jakie wystąpiły ostatnio w stosunkach pomiędzy hierarchią jugosłowiańską a rządem belgradzkim (pomiędzy Belgradem a Watykanem istnieją normalne stosunki dyplomatyczne — przyp. mój) potwierdzają przezorność stanowiska kard. Wyszyńskiego”.

Ani kompletne fiasko zatem, ani tym bardziej sukces. Najbliższa prawdy ocena misji mons. Casaroli brzmi: *nadal na martwym punkcie*. Termin następnej rundy rozmów ma być dopiero ustalony. Kiedy delegacja warszawska zjawi się w Watykanie? Nie wiadomo — może w czerwcu, może na jesieni, ale nie wykluczone, że dopiero w przyszłym roku. Strona polska otrzymała memoriał watykański który „wymaga przestudiowania” (i konsultacji w Moskwie). Delegacja watykańska odniosła wrażenie że partner nieco „zmiękł” chociaż oficjalnym deklaracjom odpowiadającym towarzyszy nadal akcja nekająca Kościół w kraju, tolerowana, jeśli nie wręcz podsycana z góry. Przekonano się również, że mimo formalnego uznania przez rząd episkopatu jako trzeciego partnera w rokowaniach, Warszawa nie wyrzekła się rachub na wbijanie klina pomiędzy episkopat i Watykan, że chodzi jej o „rozegranie” Wyszyńskiego, to znaczy ograniczenie jego prestiżu i doprowadzenie do sytuacji węgierskiej (wymuszenie na Watykanie złożenia go z urzędu). Oskarżano Prymasa Polski o wysuwanie „nierealistycznych żądań”, „rozpalanie nastro-

jów antyrządowych”, „polityczną akcję wrogą polskiej racji stanu” (!). Casaroli dowiedział się ponadto z czysto technicznej ekspozycji reformy szkolnictwa ministra Oświaty, że po 30 latach PRL istnieją szkoły, w których jeden nauczyciel prowadzi równocześnie lekcje w dwóch klasach (często w jednej izbie), że poziom przygotowania w szkołach podstawowych jest tak niski, że powoduje trudności dostępu do szkół średnich. Po tym akcie oskarżenia (właściwie samooskarżenia) partii, dowiedział się również, że reforma przewiduje podania rodziców o zwalnianie dzieci na zajęcia pozaszkolne (popołudniowe), co oznacza, iż zezwolenia na uczęszczanie na naukę religii mają być udzielane na podstawie podpisów ojca i matki. Po październiku 1956 wystarczył podpis matki — dziś wymaga się również podpisu ojca (jeśli będzie nim członek partii może mu zabraknąć odwagi!). Episkopat nie zgadza się na tę dyskryminacyjną procedurę, umożliwiającą kontrolę administracyjną i niedopuszczalną presję psychologiczną. Casaroli jakoby zrozumiał tę zasadzkę i solidaryzuje się ze stanowiskiem episkopatu. Jego misja nie była zatem pozbawiona stron pozytywnych.

Zdaniem miarodajnych źródeł watykańskich najważniejsze osiągnięcie tej misji to stworzenie precedensu: rząd warszawski *nolens volens* musiał zgodzić się na dyskusowanie spraw wewnętrznych z przedstawicielem obcego państwa. *Jest to więc precedens bardzo istotny z szerszego punktu widzenia*: na konferencji genewskiej w sprawie bezpieczeństwa i współpracy europejskiej, państwa bloku sowieckiego negują dotąd postulat Zachodu dotyczący wolnego krążenia idei, informacji i osób, uznając zagadnienie praw człowieka i obywatela za ekskluzywną domenę suwerenności państwowej, uniemożliwiającą wszelką ingerencję obcą. W Warszawie krąży pogłoski, że Olszowski był po listopadowej wizycie w Watykanie ostro krytykowany w KC za dopuszczenie do tego, iż w komunikacie prasowym znalazł się zwrot o trosce Papieża o sprawy Kościoła i wspólnoty katolickiej w Polsce. „Ciemniaki” w KC widocznie są w stanie zrozumieć, że posyłając ministra Spraw Zagr. do Watykanu trudno było liczyć na to, że reprezentując 5-procentową mniejszość partyjną będzie on równocześnie rzecznikiem interesów wyznaniowych i kulturalnych całości narodu. Warszawa (a jeszcze wyraźniej Moskwa) zmierzała dotąd do ograniczenia rozmów z Watykanem jako Państwem, tj. do spraw pokoju i bezpieczeństwa (konferencja genewska). Watykan podkreśla natomiast zawsze, że Stolica Apostolska „nie jest państwem podobnym do innych”, tzn., że Papież jest także i przede wszystkim głową Kościoła Powszechnego, zwierzchnikiem wspólnot eklezjalnych w kilkudziesięciu krajach świata, uprawnionym więc tym samym do interesowania się (ingerencji) sprawami bezpośrednio dotyczącymi zarówno hierarchii, kleru i zakonów, jak i społeczności wiernych.

Misja abp. Casaroli nie była więc nieudana. Wprawdzie nie wydała konkretnych owoców, przyczyniła się jednak do wyklarowania sytuacji. Znikły iluzje — i to po obu stronach.

„Dotychczasowe doświadczenia” — powiedział mi pewien dyplomata watykański — „spowodowały *aggiustamenti* (przystosowanie — modyfikacje) w polityce wschodniej, w sensie większego liczenia się z stanowiskiem lokalnych episkopatów i uznania pierwszorzędności wymogu zabezpieczenia ich pozycji. Stoimy dziś wobec niezliczonych i piętrzących się trudności, ostatnio wobec groźby rozłamu w łonie episkopatu Hiszpanii (głównie z kraju Basków i Katalonii na tle konkordatu, tzn. frondy części episkopatu przeciwko profrankistowskiej polityce watykańskiej — przyp. mój) — byłoby szaleństwem ryzykowanie w tej sytuacji podkopywania zwartej postawy episkopatu Polski. Pozycja kard. Wyszyńskiego nie była nigdy dotąd tak mocna w Watykanie jak obecnie”.

Prawdopodobnie, uwzględniając praktyczne zastosowanie tych *aggiustamenti* w misji polskiej mons. Casaroli, dodano mu dla towarzysztwa mons. Poggi nuncjusza apostolskiego do specjalnych poruczeń. Na temat roli mons. Poggi kursowały różne hipotezy, m.in. wiążące tę nową funkcję i nominację z przewidywanym desygnowaniem mons. Casaroli na ważną placówkę diecezjalną (por. moja korespondencja w numerze wrześniowym *Kultury*). Pogłoski te zaczęły ponownie krążyć. Nie jest rzeczą łatwą przepuścić przez sito analizy, hipotezy, półprawdy i zwykłe plotki, zatrzymując jedynie informacje zupełnie pewne i tylko pełną prawdę. Muszę stwierdzić, że nic na razie konkretnie nie wskazuje na „niełaszkę” mons. Casaroli. Funkcja jaką sprawuje mons. Poggi jako doradca Casaroli jest skonstruowana bardzo elastycznie, dotąd jeszcze niesprecyzowana. Faktem jest jednak, że jest nieustannie konsultowany, bierze udział w planowaniu modyfikowanej *Ostpolitik* — faktem jest równocześnie, że rola mons. Casaroli w porównaniu z przeszłością jest wyraźnie *ridimensionata* (pomniejszona) aczkolwiek ponosi on nadal nie tylko główną odpowiedzialność za negocjacje z krajami komunistycznymi, ale jego działalność dyplomatyczna jest wręcz utożsamiana z watykańską polityką wschodnią. Nie ulega jednak wątpliwości, że akcja ta wywołuje wciąż silną i nieprzebiegającą w środkach opozycji w łonie Sekretariatu Stanu.

Ofiara racji stanu

Jeśli by już ktoś miał mimo wszystko nadal tego rodzaju wątpliwości, to musi wyrzec się ich po 5-tym lutym 1974, kiedy — nazajutrz po odlocie mons. Casaroli do Warszawy — komunikat watykański ogłosił destytucję kard. Mindszentyego jako Prymasa Węgier, oznajmiając *vacat* siedziby metropolitalnej w Esztergom (mianowano tymczasem administratora apostolskiego). „Ferment w Kurii rzymskiej”, „Klimat napięty w Watykanie”, „Krytyka *Ostpolitik* mons. Casaroli zaostroża się”, „Mindszenty polemizuje z Papieżem” — oto kilka wieloznacznych tytułów w najpoważniejszych włoskich organach prasowych. Jeszcze 20 stycznia informacje z Watykanu i Wiednia (gdzie od dwóch lat przebywa Mindszenty) stwierdzały, że Stolica Apostolska „odrzu-

ciła ponownie naciski rządu węgierskiego o dymisję Mindszentyego”. 8 lutego br. przypadała 25 rocznica skazania Mindszentyego w pokazowym procesie. Węgrzy nigdy nie odwołali fałszywych oskarżeń, będących podstawą jego uwięzienia i skazania. Watykan, przynajmniej formalnie, solidaryzował się z nim w żądaniu pełnej rehabilitacji. Sekretariat Stanu postanowił uprzedzić tę rocznicową datę, publikując w *Osservatore Romano*, łącznie z komunikatem o destytucji, list Papieża do Mindszentyego (w komunikacie była mowa o „wymianie listów” trwającej od kilku lat), gdzie wyraża „głęboki szacunek dla czcigodnej osoby pasterza, którego podziwu godne, nieustraszone i utkane z cierpień świadectwo jest stale żywe w naszym sercu”. Właściwe powody przyspieszenia tej decyzji były innej natury. Z Wiednia przyszła poufna wiadomość, że wkrótce mają się ukazać w pewnej zachodniemieckiej firmie wydawniczej pamiętniki Mindszentyego o treści wybuchowej i rzekomo zawierającej kompromitujące dla Watykanu dokumenty. W tajnym porozumieniu z roku 1971 kiedy kard. Mindszenty opuszczał, w towarzystwie austriackiego kard. Koeniga, siedzibę poselstwa USA w Budapeszcie (gdzie znalazł azyl po powstaniu w roku 1956) jednym z warunków uzgodnionych przez Watykan z rządem węgierskim było wyrzeczenie się przez Mindszentyego wszelkich wystąpień publicznych (łącznie z publikacją pamiętników). „Dyplomacja watykańska pragnie by miały możliwie jak najmniejszy rozgłos” — donosi korespondent wiedeński jednej z gazet włoskich — i dodaje: „Jaką wiarygodność będą miały — mówią w Watykanie — ostre ataki przeciw Pawłowi VI-temu, skoro będą płodem kardynała, którego Papież się wyparł?”. Watykan obawiał się na pewno, że publikacja tych pamiętników zaogni jeszcze bardziej sytuację i utrudni przełamanie impasu w stosunkach z Budapesztem (trwa od podpisania układu o *modus vivendi* w 1969 roku). Usuwać „główną przeszkodę” (według rządu węgierskiego) w procesie normalizacji stosunków, Watykan równocześnie chciał oczyścić pole do „dialogu” z Moskwą przed zapowiadaną wizytą min. Gromyki u Papieża.

Mindszenty został więc poświęcony na ołtarzu racji stanu

Interesujące są nie tyle motywy tej decyzji, łatwe do zinterpretowania, ile kulisy jej ogłoszenia, tj. moment wybrany (nazajutrz po wyjeździe Casaroli do Warszawy), co spowodowało „ferment” w Kurii Rzymskiej. Nie jest prawdą, jak podawała prasa komunistyczna, że protesty sprowadzały się jedynie do środowisk skrajnej prawicy i integralistycznych koł katolickich, których dziełem były obraźliwe, antypapieskie napisy rozklejone przy Via della Conciliazione. Pewne źródła watykańskie, niepodejrzane o stronniczość, zaatakowały *timing* tej decyzji, obciążając jednak nie mons. Casaroli, lecz czynniki w Sekretariacie Stanu, „zainteresowane w sabotowaniu polityki wschodniej i wy-

siłków" tegoż Casaroli. Abp Casaroli był w Warszawie kompletnie zaskoczony. Informacja jest w 100 % pewna. Zaskoczył go *timing* ogłoszenia tej decyzji i „niefortunna” redakcja komunikatu.

W kołach rządowych w Warszawie (i tym bardziej w Moskwie) przyjęto ten fakt z dużym zadowoleniem jako konkretny gest dobrej woli (tzn. ustępliwości) Watykanu. Prasa paxowska powitała go wręcz jako „pozytywny wkład” i z przejrzyście aluzją do osoby Prymasa Polski. Ludność Warszawy natomiast przed katedrą św. Jana urządziła kard. Wyszyńskiemu ostentacyjną owację, ignorując obecność mons. Casaroli (podobno *nota-bene* odezwały się „nieprzyjemne okrzyki” pod jego adresem). Z jak najbardziej miarodajnych źródeł dowiaduję się, że delegacja watykańska uznała przedwczesne ogłoszenie decyzji i „niezgrabnie zrehabilitowany” komunikat jako *sgambetto* (podstawienie nogi). Komunikat mianowicie sugerował, że destytucja Mindszಂತego nastąpiła za jego zgodą. Nie trudno było przewidzieć, znając bojowy temperament Prymasa Węgier, że nie będzie dyplomatycznie „patyczkować się” i zdezwuuje Watykan. Tak też stało się. Zdementował istotnie fakt dobrowolnego podania się do dymisji: „Decyzję podjęła Stolica Apostolska i na nią spada wyłączna odpowiedzialność” — stwierdza oświadczenie sekretariatu kard. Mindszಂತego i wyjaśnia motywy odmowy posłuszeństwa (akceptacji dymisji):

„Węgry i Kościół na Węgrzech nie są wolne. O nominacjach kościelnych decyduje nie hierarchia katolicka, ale reżym komunistyczny; desygnowanie tak zwanych 'księży pokoju' na odpowiedzialne stanowiska ogranicza kompetencje jurysdykcyjne Kościoła i podrywa zaufanie wiernych i duchownych do hierarchii”.

Zdaniem kard. Mindszಂತego linia polityki wschodniej abp. Casaroli „prowokuje nieuchronnie dezorientację i kryzys zaufania” wśród katolików węgierskich. Oświadczenie to wywołało natychmiastową ripostę watykańską w postaci „deklaracji werbalnej” (dokument ten był parafowany przez mons. Casaroli przed wyjazdem do Warszawy). Rzecznik watykański, prof. Alessandri, podał do wiadomości następujące motywy decyzji papieskiej „dotkliwej, ale koniecznej”: kardynał ma 82 lata, to znaczy przekroczył o 7 lat wiek, w którym kardynałowie są „proszeni” o zrzeczenie się swych stanowisk (nie są jednak do tego zobowiązani i w rzeczy samej większość kardynałów, zarówno kuralnych jak na stanowiskach duszpasterskich w świecie, wiek ten przekroczyła — przyp. mój); dalszy motyw: siedziba prymasowska Esztergom (archidiecezja obejmująca także Budapeszt) nie ma arcybiskupa od grudnia 1948 (data uwiecznienia Mindszಂತego) — należało zatem znormalizować sytuację, mianując zarządzającego diecezją administratora apostolskiego. Rzecznik spręczywał:

„Papież nie chciał obciążać duszy Kardynała decyzją, której Arcybiskup

nie czuł się na siłach sam pobrać. Stolica Apostolska po długim, dojrzałym i poważnym przemyśleniu osądziła, że może i powinna sama wziąć ją na siebie”.

Decyzja Pawła VI-tego nie ma precedensu w najnowszych dziejach papieżstwa. Kiedy Pius XI złożył z urzędu kard. Billot za poparcie „Action Française” (skrajnie prawicowa i faszystująca organizacja przed wojną), była to dymisja też narzucona, ale przyjęta przez zainteresowanego (*oborto collo*). Mindszಂತy natomiast nie poddał się „dotkliwej, ale koniecznej” decyzji. Narzucenie tej decyzji sprowokowało jego „rebelię” jak określa reakcję kardynała sprawozdawca watykański największego dziennika włoskiego *Corriere della Sera*. „Co nastąpi teraz w Rzymie i na Węgrzech?” — pyta ten sam sprawozdawca i dodaje: „jutro obie strony będą starać się osłabić dramatyczny charakter wydarzeń, ale ten absolutnie nowy fakt otwiera mroczne i niepokojące perspektywy”. Dziś Mindszಂತy, jutro może nim być arcybiskup Bilbao, mons. Anoveros, znajdujący się w areszcie domowym, dzielny obrońca autonomii kulturalnej i praw Basków (w chwili kiedy piszę, rząd hiszpański domaga się od Watykanu odwołania go, po nieudanej próbie zmuszenia go do ekspatriacji).

Gromyko w Watykanie: „dialog” czy monolog?

Wizyta min. Gromyki za „Śpiżową Bramą” 21 lutego jest czwartym z kolei spotkaniem z Papieżem (na sesji ONZ w 1965 i w Watykanie w kwietniu 1966 i listopadzie 1970). Głównym tematem obecnego spotkania była konferencja genewska w sprawie bezpieczeństwa i współpracy w Europie. Jak stwierdził rzecznik Watykanu, „Papież poruszył również problem sytuacji Kościoła na obszarze ZSSR”. Dla Watykanu uczestnictwo w konferencji genewskiej stanowi ważny kanał eksponowania humanitarno-organizacyjnych problemów związanych z „konsolidacją pokoju i współpracy w Europie na zasadach do przyjęcia dla obydwu bloków”. Gromyko miał wysłuchać „z dużym zainteresowaniem wyłożenia punktu widzenia Stolicy Apostolskiej”. Międzynarodowe źródła watykańskie tak komentują wizytę Gromyki: „Papież nie uchylił się i tym razem od dialogu z Moskwą m.in. w trosce o los katolików w ZSSR”. Od kilku lat Watykan usiłuje „dotrzeć” do tych spraw, by móc, choć częściowo, uregulować formy organizacyjne Kościoła (brak diecezji, parafii itp.) na Litwie, Łotwie, Białorusi i Ukrainie. Szczególnie palące jest położenie i potrzeby dwumilionowej wspólnoty katolickiej na Litwie, natomiast beznadziejnie przedstawia się sytuacja na Ukrainie, gdzie katolicy obrządku wschodniego (unicy) zeszli do katakumb XX-go wieku (spotykają się po kryjomu z duchownymi ukrywającymi swą tożsamość), a Watykan pokwitował likwidację Unii, tj. wchłonięcie katolickiego Kościoła ukraińskiego obrządku wschodniego do Cerkwi Wschodniej.

Sprawa normalizacji stosunków kościelnych na terenach ZSSR, zwłaszcza zaanektowanych po 1939 roku, w optyce watykańskiej wiąże się ściśle z dezyderatem władz warszawskich (głośno niewypowiedzianym) likwidacji prowizorycznego *status quo* kościelnego na szczątkowych obszarach trzech diecezji (lwowskiej, wileńskiej i pińskiej), znajdujących się w obrębie PRL. Dla Watykanu stanowi to wygodny argument, bo daje możliwość dyskusowania spraw organizacji kościelnej na dawnych terenach polskich wcielonych do ZSSR. Gromyko dał jakoby do zrozumienia, że ewentualne koncesje w tej materii na rzecz postulatów watykańskich są uwarunkowane postępiami konferencji genewskiej. Postępy te są zaś — jak wiadomo — są dotąd nikłe w Genewie i jeszcze bardziej nikłe na terenach sowieckich, zamieszkałych przez zwarte skupiska katolików. W ciągu ostatnich lat udało się uzyskać zgodę na nominację zaledwie dwóch biskupów (na Litwie i w Estonii). Tymczasem na Litwie wzrasta się fala oporu przeciw anty-religijnym poczynaniom lokalnych władz. Katolicy litewscy ślą protesty do Moskwy, do ONZ — jak dotąd bez skutku. Zdarzają się wypadki zamykania, a nawet burzenia kościołów po stwierdzeniu braku księdza. Z kościelnych kół litewskich w Rzymie donoszą, że niedawno zdarzył się wypadek iż wierni w pewnej parafii ukryli zgon proboszcza i nie notyfikowali faktu władzom administracyjnym w obawie o zamknięcie kościoła (trup rozkładał się przez trzy miesiące w zakrystii zanim władze dokonały makabrycznego odkrycia). Wątpić należy czy tego rodzaju niedyplomatyczne argumenty stanowiły przedmiot „dialogu” mons. Casaroli z min. spraw zagr. jednego z dwóch super-mocarstw.

W Watykanie wśród popleczników polityki wschodniej mons. Casaroli, panuje przekonanie, że nie należy zrażać się trudnościami choćby „dialog” był na razie tylko deklaracją dobrych intencji (w rzeczy samej ściślej byłoby nazywać go monologiem). Możliwość uzyskania polepszonych warunków duszpasterskich dla katolików w ZSSR — podkreśla się — będzie korzystna także dla wiernych innych wyznań (prawosławni, protestanci, buddyci, mahometanie itd.). „Przywódcy sowieccy — argumentują ci poplecznicy — śledzą z bacznością wszelkie przejawy polityki wschodniej Watykanu” (tzn. misję mons. Casaroli w Warszawie, destytucję kard. Mindszentego). Wiadomo że min. Olszowski nazajutrz po odjeździe mons. Casaroli udał się do Moskwy na „konsultacje”, gdzie przyjęto z zadowoleniem „mniejszy opór” kard. Wyszyńskiego wobec zarysowującego się porozumienia pomiędzy reżymem Gierka a Watykanem („zadowoleni” są też Casaroli i niektórzy jego współpracownicy). Nie brak jednak głosów sceptycznych, a nawet pesymistycznych i to na samej „górze” Sekretariatu Stanu. Jak pisze dobrze rozeznany publicysta katolicki, od dawna „zadomowiony” w Watykanie:

„Porozumienie całościowe — sądzi się w Sekretariacie Stanu — nie daje się bliskie, powstają nowe problemy obciążające hipoteką politykę

wschodnią mons. Casaroli na skutek usztywnienia ideologicznego, jaki notujemy w krajach bloku sowieckiego; jest rzeczą niemożliwą przewidywanie jak to usztywnienie można będzie w skali długofalowej pogodzić ze wzmożoną uwagą, z jaką Kreml odnosi się do postulatów watykańskich w dziedzinie potrzeb religijnych katolickich społeczeństw w Europie Wschodniej. Konferencja genewska, o której mowa w komunikacie prasowym po audycji min. Gromyki u Papieża, znalazła się w impasie, brzemieniem w niewiadome, podczas kiedy Moskwa, w przeciwieństwie do zasad jakie Zachód proklamuje w Genewie, dokonuje represji ideologicznej i politycznej, której ostatnią ofiarą padł Sołżenicyn”.

Trzeba tu zaznaczyć że Watykan nigdy nie wymienił tych represji dosłownie, okrywając je zawsze aluzyjną woalką. O Chile, Hiszpanii, Rodezji mówi Papież wyraźnie, po imieniu — Rosja jest tylko i to w najlepszym razie „pewnym krajem”. Watykan zaraził się niestety „technologicznym pojmowaniem dziejów”, o czym pisze wnikliwie Juliusz Mieroszewski w niedawnym szkicu. Nic dziwnego przeto, że kryzys zaufania do Stolicy Apostolskiej i do osoby Pawła VI ogarnia dziś nawet hierarchię kościelną i zakonną, nie tylko szerokie kręgi świeckich, wśród których nie brak nazwisk znakomitych katolickich teologów, naukowców, pisarzy i działaczy społecznych na całym świecie. Jeden z nich napisał niedawno pamflet, który puścił w obieg w odpisach wśród przyjaciół i znajomych w Rzymie (nie w obawie o odkrycie przyłbicy, lecz w pewności, że żadne pismo katolickie nie zechce tego umieścić, a w prasie laickiej nie mógł opublikować, bojąc się słusznie „strumentalizacji” antykościelnej i anty-watykańskiej). Oto zakończenie tego tekstu:

„Zaden wierzący nie potrafi nigdy zrozumieć *Ostpolitik* mons. Casaroli, na której ołtarzu poświęcono kard. Mindszentego. Osobą purpurata węgierskiego przez lata wymachiwano jak flagą na Zachodzie i w Watykanie jako promieniującą figurą nieustraszonego obrońcy wolności. Czy było to tylko wykorzystywanie człowieka i męczennika jako narzędzia powstrzymywania komunizmu od bram Zachodu? A jeśli tak nie było, to czy tymczasem Marks nawrócił Chrystusa? Wiemy oczywiście że tak nie jest, choć władza kościelna zapomina często Ewangelię i wymienia ją za miskę soczewicy! Nędza ludzka! Zamieszanie w porządku wartości! Kryzys społeczeństwa zginiętego i obłudnego, w którym Chrystus bywa bez trudu sprzedawany za baryłkę nafty!”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 5 marca 1974

Handel Wschód - Zachód

Gdyby władze sowieckie skazały Sołżenicyna na więzienie lub zesłanie, politykom zachodnim byłoby trudno poprzeć sprawę

kredytów dla Związku Sowieckiego. Jeżeli Moskwa utrudni emigrację Żydów, Kongres USA nie przyzna jej klauzuli największego uprzywilejowania. Jeżeli NRD będzie robiło złośliwe psikusy Berlinowi Zachodniemu, wówczas Bonn nie udzieli Kremlowi kredytów, wtedy ten z kolei spowoduje zaostrzenie stosunków między Europą Wschodnią i NRF, w wyniku czego załamie się *Ostpolitik* Brandta a wraz z nią i jego pozycja polityczna, jednocześnie brak kredytów zachodnich podważy pozycję... Breżniewa, na skutek czego... Nigdy jeszcze związek między tzw. czystą polityką i sprawami gospodarczymi nie był tak ścisły i wyraźny, jak obecnie.

Sołżenicyn został „tylko” wydany, Żydzi emigrują, NRD przysiadło, na Bliskim Wschodzie panuje spokój, w Wietnamie wprawdzie strzelają, ale nie ma już wojny — krótko mówiąc można prowadzić rokowania na temat odprężenia, współpracy gospodarczej i wielkich kredytów zachodnich dla Związku Sowieckiego. Ruch na arenie międzynarodowej jest olbrzymi: Arabowie z Arabami, Europejczycy z Europejczykami, Europa z Arabami, USA z Europą, Rosjanie z całym Zachodem. Związek Sowiecki pertraktuje obecnie z kim tylko się da, byle tylko był zasobny w kapitały, posiadał atrakcyjne licencje i wielkie *know-how*. Kreml żąda od Niemców, wymaga od Japończyków i prosi Amerykanów. Coraz energiczniej, natarczywiej, jak ktoś, kto zakochał się od pierwszego wejrzenia.

Handlarze nie są ideologami

Jest to, jak twierdzą niektórzy, znak nowej ery w stosunkach Wschód-Zachód. Ale z nowymi erami nigdy nie wiadomo, czy już nadeszły czy minęły. Żyjemy w czasach wielu nowych er w różnych rejonach świata, nas jednak najbardziej tu interesuje ta mająca nadejść nad Wschód i Zachód. Jak uczy propaganda sowiecka, kapitalista nigdy nie zmienia swej natury, a imperalista tym bardziej. Z tego wniosek prosty, że coś się musiało zmienić „w naturze” przywódców sowieckich. Wiadomo zresztą co i pod wpływem czego: stracili zaufanie do możliwości rozwojowych własnej gospodarki i nabrali szacunku do gospodarki zachodniej. Kreml uświadomił sobie z całą wyrazistością, jak szybko rośnie dystans dzielący gospodarkę sowiecką od gospodarki krajów zachodnich. Dopiero od tego czasu — mniej więcej od trzech-czterech lat — datuje się rosnące zainteresowanie Kremla dla rozwoju współpracy gospodarczej z Zachodem. Od tej pory granice Związku Sowieckiego są otwarte dla zachodniej technologii. Włoska firma Eni dostarczy urządzeń i maszyn dla zakładów chemicznych. Zachodnioniemiecka firma Siemens zbuduje jedną z największych w Europie walcowni blach aluminiowych na zimno. Ze Szwecji mają przybyć maszyny i urządzenia dla pięciu zakładów mleczarskich i siedemnastu zakładów produkujących konserwy mięsne. Amerykański koncern F.M.C. Corpora-

tion udzieli pomocy w rozwoju przemysłu spożywczego, opakowań i przechowywania gotowych wyrobów. Japońska firma Toshiba wybuduje fabrykę urządzeń klimatyzacyjnych dla użytku domowego. Brytyjska firma Prinex Limited dostarczy pełnej dokumentacji i pełnego wyposażenia dla przędzalni, tkalni i wykończalni tkanin z jedwabiu sztucznego. Zachodnioniemiecka firma Klimsch Company udzieli pomocy w rozwoju wysoko jakościowej reprodukcji offsetowej zdjęć kolorowych... To tylko nieliczne przykłady i dopiero początek — trwają jeszcze rokowania na temat wielkich kredytów zachodnich dla Związku Sowieckiego.

Moskwa, wyraziwszy zgodę na napływ zachodnich kapitałów i technologii, zaczyna również stopniowo, chociaż bez rozgłosu, godzić się na przyjęcie kapitalistycznej organizacji handlu. Dowodzi tego wyraźna zmiana stosunku krajów socjalistycznych do banków, jako narzędzia handlu zagranicznego. Z trzech starych sowieckich banków zagranicznych na Zachodzie jeden — Moscov Narodny Bank — założony został w Londynie jeszcze w 1914 r., drugi — Banque Commerciale pour l'Europe du Nord — powstał w Paryżu w 1921 r. i trzeci — Bank of Russia and Iran — założono w Teheranie w 1923 r. Potem nastąpiła długoletnia przerwa. Dopiero w 1963 roku nagle narodził się oddział Moscov Narodny Bank w Bejrucie, a w trzy lata później Wschód Handelsbank AG w Zurichu oraz (ciekawostka) mieszany bodaj bułgarsko-francuski Litex Bank w Bejrucie.

Następna przerwa była krótsza. W 1970 roku Rosjanie otworzyli bank w Singapurze, a od następnego roku socjalistyczne banki zaczęły wyrastać w przyspieszonym tempie: w Nowym Jorku i Wiedniu, w Zurichu i Londynie, w Paryżu i Frankfurcie nad Menem, a więc w głównych ośrodkach światowego kapitału. Jeszcze większą sensacją stało się przyspieszone zakładanie banków zachodnich w krajach socjalistycznych. Swoją filię w Moskwie otworzył jeden z największych banków USA — Chase Manhattan Bank i czołowy francuski bank komercyjny — Crédit Lyonnais. W stolicy Związku Sowieckiego mają powstać (albo już istnieją) filie wielkich banków zachodnioniemieckich i japońskich. Jeśli ta tendencja się utrzyma, to w niedalekiej przyszłości klub czołowych bankierów kapitalistycznych wzbogaci się o „sekcję” bankierów komunistycznych.

Rubel nie jest jeszcze walutą wymienną, giełdową, więc nie bierze jeszcze udziału w wielkich spekulacjach na światowych giełdach. Nie brak za to Rosjan przy spekulacjach złotem. Od paru miesięcy trwa *boom* na ten szlachetny kruszec, ceny idą w górę. Kapitalistów otrząskanych z wszelkimi możliwymi kombinacjami giełdowymi nie zdziwiła wiadomość, że w tym właśnie momencie handlowcy sowieccy zaczęli sprzedawać swoje złoto na rynku w Zurichu. Speculanci przyjęli też ze zrozumieniem fakt, iż Rosjanie prowadzą swoje transakcje z zachowaniem największej tajemnicy, bowiem wiadomość o napływie złota so-

wieckiego mogłaby wywołać spadek ceny kruszca, w czym ani Rosjanie ani wielcy spekulanci zachodni nie są zainteresowani.

W myśl dewizy, dobry zysk nie jest zły, handlowcy sowieccy starają się go osiągnąć każdą drogą i na czym tylko się da. Od paru lat Związek Sowiecki uchodzi za największego na świecie handlarza bronią! W tej dziedzinie wysunął się on na pierwsze miejsce — przed USA, Francją i Anglią. Związek Sowiecki sprzedaje do krajów Trzeciego Świata (nie licząc Bliskiego Wschodu) ponad 1200 samolotów bojowych, USA 788, Wielka Brytania 658 i Francja 271. Rosjanie sprzedają broń Palestyńczykom i irlandzkiej IRA, wciskają się z tym towarem często tam, gdzie jakiś kraj zachodni odmawia sprzedaży. Zgoła niedawno Amerykanie odmówili rządowi Peru sprzedaży czołgów — niemal natychmiast zastąpiły je sowieckie. W handlu dużo większą wartość ma kapitał od „Kapitału”.

Jak handluje

Kreml chce szybko, dużo, tanio i próbuje dyktować warunki. Oto, jak wyglądają od kulis takie rokowania. Niemcy potrafią budować super nowoczesne huty stalowe, jakich nie ma jeszcze w Związku Sow. Jesienią 1972 r. Rosjanie złożyli ofertę na ręce przemysłowca z Baden-Baden, Korfa: Niemcy sfinansują trzymiliardową (w markach) inwestycję, Rosjanie spłacą ją częściowo produktami zbudowanej huty. W maju 1973 roku Breżniew podczas pobytu w Bonn uzgodnił z Brandtem zasady transakcji. „Będzie to — jak powiedział Breżniew — początek wielkiego sowiecko-niemieckiego aliansu gospodarczego”. W grudniu podpisana została w Kolonii generalna umowa o budowie kombinatu hutniczego w Kursku. A potem rozpoczęły się robocze rozmowy z Korfem i... sprawa utknęła na martwym punkcie.

Rosjanie postawili kilka warunków. Zażądali, by dostawca licencji, *know-how*, maszyn i urządzeń (tzn. Korf) przyjął na siebie na kilka lat odpowiedzialność za jakość produkcji kombinatu hutniczego. Korf — zapewne w trosce o dobre imię swojej firmy — odmówił. Przedstawiciel sowiecki zareagował na to z oburzeniem: „Nie rozumiem Herrn Korfa — kto chce z Moskwą robić interesy, musi taki warunek zaakceptować”. Widocznie nie musi... Drugi warunek był zaskakujący: tyle lat ile będzie trwała budowa kombinatu, Niemcy będą dostarczać bezpłatnie informacje o każdym ulepszeniu, o każdym nowym wynalazku w dziedzinie hutnictwa. Prócz tego Niemcy mają dostarczyć wszystkie rysunki techniczne, nawet na najmniejsze śrubki, aby Rosjanie mogli potem we własnym zakresie produkować maszyny, urządzenia itd. Korf nie zgodził się na takie przywileje, byłoby to bowiem niezgodne z ogólnie przyjętymi zwyczajami w handlu światowym. I trzeci warunek: Niemcy muszą się zobowiązać, ile i jakiej stali będą gotowi przyjąć w okresie co najmniej pięcioletnim. Innymi słowy, Korf powinien swoje zamie-

żenia dostosować do pięcioletniego cyklu planowania sowieckiego. Planowanie Korfa jest niewątpliwie bardziej elastyczne, więc i ten warunek został odrzucony.

Podenerwowani Rosjanie złożyli wówczas ofertę Amerykanom, ale w taki sposób, żeby Niemcy o tym wiedzieli. Amerykanie oferty nie przyjęli dali jednak do zrozumienia, że w razie czego byliby skłonni sfinansować wspomnianą inwestycję. Wtedy Rosjanie powrócili do rozmów z Niemcami: „Widzicie, nie będziecie chcieli, znajdą się inni”. A ponieważ nie są pewni, czy Amerykanie przyjmą warunki odrzucone przez Niemców, więc na wszelki wypadek próbują własnych sił. W dwóch małych hutach w pobliżu Gorki i Kujbyszewa usiłują w drodze eksperymentów stworzyć technologię, którą Niemcy opanowali do perfekcji już wiele lat wcześniej.

Pertraktacje z Korfem błędą jednak na tle rokowań między Bonn i Moskwą o kredytach niemieckich. NRF udziela krajom zachodnim kredytów na 6%, a krajom zaoceanym — w ramach pomocy ekonomicznej — na 2%. Brandt i Scheel są skłonni przyznać Moskwie kredyty oprocentowane jedynie na 4%, ale Moskwa pragnie żądać przywileju, jaki posiadają kraje niedorozwinięte! I od tego uzależnia losy całej *Ostpolitik*, także swój stosunek do nabrzmiałego problemu Berlina Zachodniego. „Jeśli ustąpicie — miał się wyrazić dyplomata sowiecki — nadeprniemy na odcisk NRD”. Była w tym również i groźba: nie ustąpią, Moskwa napuści NRD i parę innych krajów satelickich.

Gdyby chodziło tylko o Związek Sowiecki, o kupienie sobie jego łaskawości, Brandt łatwo by ustąpił. Jeżeli jednak Moskwa otrzyma tanie kredyty, takiego samego przywileju zażądają od NRF inne kraje Europy Wschodniej, także kraje zachodnie, a przede wszystkim EWG. Taki rozwój wydarzeń, zresztą nieprawdopodobny, musiałby doprowadzić do załamania siły gospodarczej NRF. Rosjanie dobrze o tym wiedzą, ale nie obchodzą ich kłopoty jakie ma i może jeszcze mieć Brandt, albo tanie pożyczki i odprężenie, albo powrót do zimnej wojny...

Kredyty na kredyt

Bonn próbuje się ratować jak może. Zwleka i zarazem z Moskwą pertraktuje, jednocześnie Schmidt, minister finansów, usiłuje zmontować „procentowy front” spośród potencjalnych kredytodawców. W tym celu zaprosił na konferencję przedstawicieli USA, Kanady, Japonii, Wielkiej Brytanii, Francji i Włoch, na której zamierza proponować ustalenie jednolitej polityki kredytowej wobec Związku Sowieckiego. Czy i co z tego wyjdzie, nie wiadomo, gdyby jednak udało się osiągnąć jednolitą politykę w tej dziedzinie, Moskwa utraciłaby ważny atut w swoich rokowaniach i nie tylko z NRF.

Ale Kreml nie kapituluje, walczy o bardzo wysoką stawkę: o blisko dwadzieścia miliardów dolarów z USA, ponad sześć miliardów dolarów z NRF, co najmniej trzy miliardy dolarów

z Japonii itd. Za te kredyty mają być wybudowane kombinaty hutnicze, super nowoczesne elektrownie atomowe (zachodniemieckie), tysiące kilometrów rurociągów gazowych i kopalnie ropy na Dalekim Wschodzie. W jednej sprawie Rosjanie zmuszeni zostali do ustępstw. Obiecali mianowicie, że jeżeli Amerykanie zobowiążą się importować sowiecki gaz ziemny za dziesięć miliardów dolarów, to oni z kolei zaimportują amerykańskie towary i usługi o takiej samej wartości. Podobnych zapewnień udzielili także Japończykom.

Dopóki jednak „procentowy front” jeszcze nie powstał, Kreml stara się wygrywać jednych przeciwko drugim. I dlatego np. w Bonn usiłuje wywołać wrażenie, że jest bardzo pewny tanich kredytów amerykańskich — a w Waszyngtonie, że ma już prawie w kieszeni tanie kredyty NRF. Tłumaczy to niedawne harde przemówienie sowieckiego ministra handlu zagranicznego Patoliczewa, który zagroził Senatowi USA, że w przypadku nieomyślnych rokowań z Ameryką Moskwa zwróci się mocniej w kierunku innych krajów zachodnich. Dało to prasie zachodniej okazję do stwierdzenia, że te przebiegłe gierki moskiewskie można pokrzyżować, jeżeli partnerzy zachodni powiedzą zdecydowanie „nie”. A tego właśnie Kreml obawia się najbardziej.

Taktyka dyplomatów sowieckich w Genewie (konferencja w sprawie bezpieczeństwa europejskiego) i w Wiedniu (konferencja na temat rozbrojenia) oraz zachowanie się Kremla w okresie ostatniej wojny na Bliskim Wschodzie dały Zachodowi dużo do przemyślenia. Nawet niepoprawni romantycy polityczni zrozumieli, że odprężenie między Wschodem i Zachodem nie będzie żadną idyllą polityczną — odprężenie nie wyeliminuje rywalizacji i tarć między obydwoma blokami, stwarza ono jedynie nowe pole dla gier politycznych. Na Zachodzie rozumiano także, że cele Moskwy nie ulegną zmianie w klimacie odprężenia i najważniejsze: że natężenie agresji w dążeniu do ich realizacji będzie zawsze zależne od sytuacji panującej... na Zachodzie. I jeszcze jedno: dla wielu naiwnych stało się oczywiste, że Breżniew pragnie przy pomocy kredytów zachodnich dokonać modernizacji przemysłu, ale nie dopuści do reformy systemu politycznego i systemu gospodarczego. Innymi słowy, wymiana bankierów i fachowców — owszem, zachodnie kapitały — proszę bardzo, ale żadna jakaś tam swobodna wymiana informacji, kultury, żadne swobodne kontakty między narodami.

Wydarzenia ostatnich miesięcy musiały nasunąć liczne refleksje również przywódcom sowieckim. Kryzys energetyczny ujawnił bardzo czuły punkt Zachodu. Rozwój sytuacji na Bliskim Wschodzie potwierdza tezę, że obecność Związku Sowieckiego na tym obszarze może być trwała w warunkach wojny, a nie w czasie pokoju: Sadat już udowodnił, że aczkolwiek wojnę z Izraelem prowadził w oparciu o Związek Sowiecki — w walce o wygranie pokoju zamierza się oprzeć na Stanach Zjednoczonych. W tych warunkach i kiedy realizacja kredytów zachodnich przeciąga się, na Kremlu może zwyciężyć myśl, że właściwie całe to odprężenie

nie jest warte zachodnich kredytów, że należy dla własnych celów wykorzystać chwile słabości Zachodu wywołane kryzysem energetycznym i konfliktami socjalnymi. Jak potoczą się dalej stosunki między Wschodem i Zachodem trudno powiedzieć, ale cokolwiek się stanie... będzie ciekawe.

Gdzie jest Polska?

Jeszcze kilka miesięcy temu Warszawa usilnie zabiegała w NRF o kredyt w wysokości trzech miliardów marek, Bonn było już skłonne dać miliard. Nagle starania polskie zamarły. Rok czy dwa lata temu Warszawa pierwsza złożyła ofertę na budowę w Polsce elektrowni, która zaopatrywałaby Berlin Zachodni. Dopiero potem zjawili się ze swoją konkurencyjną ofertą Rosjanie. Przez jakiś czas trwała rywalizacja między Polakami i Rosjanami, wreszcie Polacy nagle się wycofali. Przychylny Polsce tygodnik *Die Zeit* pytał w końcu lutego: „Co się stało? Czy nastąpiła zmiana poglądów wewnątrz? W Warszawie zawsze było dosyć wpływowych ludzi skłonnych do rezygnacji z pieniędzy niemieckich. Zawsze mieli podstawy do mieszania takich pojęć, jak humanitaryzm i wymagania gospodarcze. Dlaczego jednak kierownictwu polskiemu wydało się to oczywiste dopiero w lutym 1974?”.

Pytanie uzasadnione. W połowie lutego minister Olszowski przeprowadził w Moskwie dwudniową rozmowę z Gromyko. Potem Warszawa zaprosiła sekretarza zachodniemieckiej partii komunistycznej, Miesę i urządziła mu demonstracyjne przyjęcie. Aczkolwiek jest to w NRF partia bez większych wpływów, Mies został z szumem przyjęty przez Gierka. Jednocześnie dano Bonn do zrozumienia, że już parokrotnie odkładana wizyta Gierka w Bonn może nie dojść do skutku również i w tym roku. Wreszcie 25 lutego na krajowej naradzie poświęconej handlowi zagranicznemu, Gierek uznał za wskazane ostrzec Polskę przed nasilającą się akcją dywersyjną Zachodu... I w to chwili, gdy Polsce tak bardzo zależy na kredytach zachodnich i w czasie, kiedy Rosjanie wylażą ze skóry, aby je uzyskać.

Czyżby Polska miała zamiar zrezygnować z kredytów zachodnich, a przynajmniej zachodniemieckich? Wygląda na to, że Moskwa musiała wywrzeć silny nacisk na Warszawę. Czy tylko z obawy o ewentualne zbliżenie Polski do Zachodu? Czy również i z chęci przechwycenia kredytów „przeznaczonych” dla Polski? Bonn jest wyraźnie rozczarowany chłodem Warszawy, a w prasie zachodniemieckiej mnożą się głosy, że jeżeli Polska przegapi okazję, to już za kilka miesięcy może zabraknąć dla niej kredytu — ta część zostanie przejęta przez Rosjan, albo pochłonięta przez wzrost kosztów stacjonowania wojsk USA, względnie przez dalszy skok płac w NRF. W każdym razie czas pracuje przeciwko kredytowi dla Polski. Ostrzeżenie Gierka o nasilającej się jakoby dywersji zachodniej dane w takim czasie i na takim forum pod-

buduje, być może, jego kapitał ideologiczny w Moskwie, ale osłabił pozycję przetargową Polski na Zachodzie. Ostatecznie można się domagać, aby Polska również w dziedzinie kredytów zachodnich wzięła przykład ze Związku Sowieckiego.

Antoni GUTOWSKI

Blisko-wschodnia kwadratura koła*

Czy rokowania w Genewie rozplącają węzeł gordyjski konfliktu na Bliskim Wschodzie? Sam fakt zebrania się przy wspólnym stole przedstawicieli Izraela i krajów arabskich jest — zdawałoby się — poważnym krokiem na drodze do pokoju. Istniejące do niedawna tabu krajów arabskich — nieprowadzenie bezpośrednich rokowań z Izraelem zostało przełamane. Chodziło tu — rzecz jasna — nie o względy protokolarne, ale polityczne, gdyż pojęcie bezpośrednich rokowań równoznaczne byłoby z uznaniem faktu istnienia państwa izraelskiego. Prezydent Sadat i król Hussein w różnych deklaracjach wyrażali już wprawdzie gotowość uznania *de jure* Izraela pod warunkiem powrotu do granic z 67 roku. Niemniej obecny udział delegatów Egiptu i Jordanii w rozmowach genewskich jest pierwszym w tej dziedzinie posunięciem konkretnym, które nie wywołało poważniejszych protestów w świecie arabskim. Niedawno jeszcze udział w tych rozmowach napiętnowany zostałby jako zdrada sprawy arabskiej. Ci którzy grozili fizyczną likwidacją tego rodzaju kapitulantów wobec Izraela — mowa tu o przywódcach bojowych organizacji palestyńskich — sami nie odrzucają już możliwości udziału w Konferencji genewskiej.

Zasadnicze stanowiska obu stron wydają się jednak nadal nie do pogodzenia. „Podstawowym warunkiem rozwiązania pokojowego” — twierdzą Izraelczycy — „musi być zapewnienie Izraelowi bezpiecznych i międzynarodowo uznanych granic”. — „Pierwszym warunkiem przywrócenia pokoju” — odpowiadają Arabowie — „winno być wycofanie wojsk izraelskich ze wszystkich okupowanych terytoriów”. Jedną z podstawowych trudności porozumienia w Genewie jest więc załatwienie sporu o granice.

Rząd izraelski nie określił dotąd pojęcia „bezpiecznych granic”. Jedyną konkretną wskazówką dla planów Tel-Awivu pozostaje projekt wicepremiera Ygona Allona. Przewiduje on włą-

czenie w granice Izraela co najmniej: inkorporowanej już formalnie wschodniej Jerozolimy, stworzenie w okupowanej Cisjordanii pasa bezpieczeństwa o szerokości 15 km. na zachodnim brzegu Jordanu — co zapewniłoby Izraelowi kontrolę nad całą Cisjordaną; dalej przyłączenie syryjskich gór Golanu; i wreszcie — wschodniego wybrzeża półwyspu Synajskiego aż do wzgórz Szarm-El-Szek, panujących nad cieśniną Akaba.

Między tymi sprzecznymi stanowiskami Izraela i Arabów nie widać jak dotąd możliwości kompromisu. Przykładem jest przede wszystkim sprawa wschodniej Jerozolimy — miejsc świętych zarówno dla chrześcijan (świątynia Grobu Pańskiego), Muzułmanów (Meczet Omara) i Izraelitów (Mur Płacz). Oddanie starej Jerozolimy jest nie tylko sprawą reprezentowanych w Genewie krajów arabskich, ale całego świata arabskiego czy nawet muzułmańskiego. Król Arabii Saudyjskiej Fajsal, odgrywający dziś obok prezydenta Sadata czołową rolę w obozie arabskim — przyjmując niedawno Henry Kissingera powiedział mu tonem feodального władcy: „Musisz Pan postarać się, bym już w przyszłym roku mógł odbyć dawno przeze mnie upragnioną pielgrzymkę do Jerozolimy”.

Obok sporu o terytorium — drugą zasadniczą trudnością przywrócenia pokoju jest problem Palestyńczyków — narodu bez ziemi — pierwotna i główna przyczyna konfliktu między Izraelem a światem arabskim.

Już przed październikową wojną izraelsko-arabską z różnych stron sondowane były możliwości rozwiązań kompromisowych. W sprawie Jerozolimy wentylowano różne projekty umiędzynarodowienia wschodniej części miasta, zmierzające do zapewnienia wyznawcom wszystkich trzech religii wolnego dostępu do miejsc świętych; jeśli chodzi o Golan — możliwości podziału tego górzystego obszaru między Izraelem a Syrią; w sprawie Szarm-El-Szek — ustanowienia w tym rejonie międzynarodowej kontroli dla zagwarantowania wolności żeglugi między jej portem Eilat a Morzem Czerwonym. Ostatnio zaczęły się wyłaniać kontury kompromisu w problemie palestyńskim. Przedstawiciele Organizacji Feddainów domagali się dotąd przekształcenia dzisiejszego Izraela na „państwo dwóch równouprawnionych narodów izraelskiego i arabskiego i trzech religii: muzułmańskiej, mojszowej i chrześcijańskiej”. Obecnie w obozie palestyńskim rozważana jest już koncepcja utworzenia mini-państwa palestyńskiego obejmującego Cisjordanę i strefę Gazy, połączonych bliżej nie sprecyzowanym „korytarzem” — terytorialnym czy komunikacyjnym.

W chwili gdy piszę te rozważania nie zanoszę na żadną ugodę w sporze o granice. Problem palestyński blokuje — jak dotąd — kataryczne *non possumus* ze strony Tel-Awivu. Kierownictwo izraelskie kwestionowało do niedawna nawet sam fakt odrębności narodowej Palestyńczyków, uważając ich za część składową narodu Jordańskiego. Dopiero ostatnio pani Golda Meir, przemawiając w Knesecie użyła terminu „Naród Palestyński” od-

* Pisane 28 stycznia 1974.

rzucając równocześnie kategorycznie możliwość stworzenia niezależnej Palestyny, choćby zredukowanej do Cisjordanii i strefy Gazy. „Między morzem Śródziemnym a pustynią — powiedziała Golda Meir — nie ma miejsca na trzy państwa, a tylko na dwa” — to znaczy na Izrael i Jordanię.

Utworzenie państwa arabskiego na części terytorium Palestyny nie jest bynajmniej nową koncepcją. W lutym 1947 roku Zgromadzenie ONZ uchwaliło podział jej na dwa państwa — izraelskie i arabskie. Kierownictwo izraelskie zaakceptowało wówczas niemalże z entuzjazmem tę decyzję, ale rządy arabskie odrzuciły ją zdecydowanie. Ten podział Palestyny był powodem pierwszej wojny izraelsko-arabskiej w konsekwencji uniemożliwiającej zakończenie tego blisko 30-letniego konfliktu między semitami. Dla wyjaśnienia tła tego sporu muszę tu zrobić przydługą dygresję historyczną.



Zacznijmy od zainspirowanej przez kierownictwo Ruchu Syjonistycznego deklaracji James Balfoura, ówczesnego ministra Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii, z listopada 1917 roku. Była ona pierwszym krokiem na drodze do powstania państwa izraelskiego w Palestynie. W liście tym lord Balfour zapewnił wszechstronne poparcie swego rządu dla stworzenia w Palestynie narodowej siedziby żydowskiej. „Rząd Wielkiej Brytanii” — zastrzegł się równocześnie Balfour — „wychodzi z założenia że realizacja tego celu nie może ograniczać praw obywatelskich i religijnych innych zamieszkujących ten kraj nie żydowskich społeczności”. Owe „nie żydowskie społeczności” — wśród nich w przygniatającej większości Arabowie palestyńscy — stanowili wówczas przeszło 90 % ludności Palestyny. Mniejszość żydowska liczyła niespełna 9 % ludności kraju.

Po przyznaniu Wielkiej Brytanii w 1922 roku tak zwanego mandatu nad Palestyną wzrasta stopniowo imigracja Żydów z Diaspory. Ci imigranci, wspierani hojnymi funduszami przez Agencję Żydowską i Hidastrud, zajęli wkrótce dominującą pozycję w życiu gospodarczym kraju. Doprowadziło to już w 1936 roku do pierwszych konfliktów zbrojnych między zgodnie dotychczas współżyjącą z sobą ludnością arabską i żydowską. Po zakończeniu drugiej wojny światowej nastąpiła druga — znacznie liczniejsza fala imigracji żydowskiej. Konflikty między obu społecznościami zaostrzały się coraz bardziej, doprowadzając do nowych niepokojów i starć zbrojnych.

Wówczas to, aby położyć kres zamieszkom, Zgromadzenie ONZ w listopadzie 1947 roku uchwaliło podział Palestyny na dwa suwerenne państwa. Powstać miało więc nieco większe państwo izraelskie — przeszło 15 tysięcy kilometrów kwadratowych — i arabskie na terytorium niespełna 12 tysięcy kilometrów kwadratowych. Jerozolima wraz z okręgiem, obejmującym między innymi Betleem pozostawać miała pod zarządem międzynarodo-

wym. W czasie debat nowojorskiego Zgromadzenia przedstawiciele krajów arabskich przeciwstawiali się samej zasadzie podziału Palestyny, proponując stworzenie jednego tylko Państwa Palestyńskiego, w którym zagwarantowane byłyby prawa mniejszości. Zdaniem Arabów „narzucony ludności Palestyny podział był pogwałceniem zasady samostanowienia”. Delegaci arabscy krytykowali nadto krzywdzący ich podział terytorialny. W granicach projektowanego państwa izraelskiego Żydzi stanowili niespełna połowę — 500 tysięcy — wobec 510 tysięcy Arabów. W państwie arabskim na 750 tysięcy Arabów miało znaleźć się niespełna 10 tysięcy Żydów. Dodajmy jeszcze że na umiędzynarodowionym obszarze Jerozolimy — liczącym przeszło 200 tysięcy mieszkańców, Arabowie mieli niewielką przewagę. Jednym z najbardziej zdecydowanych zwolenników podziału był ówczesny, i dotąd jeszcze urzędujący, minister Gromyko, który na zgromadzeniu ONZ ostro krytykował stanowisko zajęte przez rządy krajów arabskich.

14 maja 1948 roku ówczesny Przewodniczący Żydowskiej Rady Narodowej Ben Gurion ogłosił uroczyste powstanie Państwa Izraelskiego. Nowemu państwu groziły na wstępie konflikty zarówno wewnętrzne jak i zewnętrzne. W tej naprężonej sytuacji Wielka Brytania rzekła się przyznanego jej mandatu nad Palestyną pośpiesznie wycofując swoje wojska. Próby powstania zbrojnego Palestyńczyków i bezwzględne represje wobec tej ruchawki zbrojnej ze strony oddziałów Hagany wywołały interwencję zbrojną wojsk Syrii, Transjordanii i Libanu, wspartych przez oddziały Arabii Saudyjskiej. Rozpoczęła się wtedy pierwsza z czterech — najdłuższa i najkrwawsza — wojna izraelsko-arabska zakończona zwycięstwem Izraela. Dobrze wyszkolone oddziały Hagany już wówczas dysponowały przygniatającą przewagą lotniczą. Dwustronne zawieszenia broni zostały zawarte między lutym a czerwcem 1949 roku. Ustalone wówczas linie rozejmowe pozostały granicami Izraela do 1967 roku. Izrael zwiększył swoje terytorium o przeszło 5 tysięcy kilometrów kwadratowych głównie przez pozyskanie większej części Galilei wraz z Nazaretem która według projektowanego przez ONZ podziału przypaść miała państwu arabskiemu. Jerozolima została podzielona a niewielka część Palestyny — Cisjordania — połączona z Transjordaną.

Wojna z 48-go i 49-go roku prowadzona przez obie strony z wielką bezwzględnością pogłębiła jeszcze konflikt między Izraelem a Arabami. Przeszło 700 tysięcy Arabów palestyńskich bądź opuściło w popłochu swoje siedziby w obawie represji, bądź zmuszone zostało do ucieczki przez posuwające się na wschód oddziały Hagany. Zaledwie 160 tysięcy Arabów pozostało wówczas w granicach państwa izraelskiego. Liczba uchodźców palestyńskich, zasilona nową falą uchodźczą w czasie wojny 1967 roku, którzy schronili się głównie do Jordanii, a także do Libanu i Syrii — wynosi obecnie przeszło półtora miliona — szacunkowo licząc przeszło 2/3 ogólnej liczby Palestyńczyków.

Nasuwa się pytanie: Czy kraje arabskie nie popełniły błędu, odrzucając w 1948 roku zasadę podziału i upierając się przy koncepcji zachowania jedności Palestyny? Z perspektywy historycznej widać dziś, że ówczesne małe państwo izraelskie, powstałe w wyniku decyzji Zgromadzenia ONZ, traktowane było przez kierownictwo izraelskie jako prowizorium. Proklamowany przez Ben Guriona w maju 1948 roku niepodległy Izrael składał się z trzech niepołączonych ze sobą terytorialnych enklaw, a Jerozolima znalazła się poza jego granicami. Przywódcy izraelscy nie mogli pozostać przy tym rozwiązaniu z dwóch względów, dziś jeszcze decydujących o polityce Tel-Awivu. Pierwszy — to niedostatek ziemi — *Lebensraum* dla pomieszczenia w granicach państwa możliwie wielkiej części diaspory żydowskiej. Drugi to sprawa (strategicznego) bezpieczeństwa granic. W założeniach więc jego twórców Izrael skazany był na ekspansję. Cele te stale powtarzane są przez przywódców izraelskich. Golda Meir — na parę tygodni przed wybuchem wojny październikowej — w przemówieniu, wygłoszonym w Strasburgu wyrażała między innymi nadzieję, że znaczna część przeszło trzy milionowej masy żydowskiej, zamieszkującej obecnie Związek Sowiecki będzie mogła emigrować do Izraela.

Polityka rozszerzania granic Izraela reprezentowana jest z grubsza przez dwie tendencje: maksymalistyczną — partii zgrupowanych ostatnio w bloku wyborczym Likud — i bardziej umiarkowaną, której wyrazem jest projekt jednego z przywódców rządzącej Partii Mapan wicepremiera Allona.

Pomińmy tu koncepcje Wielkiego Izraela, wysuwane przez skrajnie nacjonalistyczne elementy Likudu — nie realne dziś, po nierozegranej wojskowo a politycznie przegranej wojnie październikowej. Nawet o wiele skromniejsze rewindykacje terytorialne projektu Allona przyniosłyby Izraelowi znaczne zyski terytorialne zapewniając mu — w rozumieniu jego autorów — większe bezpieczeństwo granic.

Realizacja tego planu przygotowywana jest faktycznie od dawna, jakby w przekonaniu że przyszły układ pokojowy z krajami arabskimi usankcjonuje te projekty. W ciągu ostatnich kilku lat powstawać zaczęły na terytoriach okupowanych kibuce a przede wszystkim ufortyfikowane osiedla izraelskie — tak zwane „nahalim”. Rzut oka na plan rozmieszczenia przeszło czterdziestu powstałych już izraelskich kibuców oraz nahalim wystarczy aby przekonać się, że kolonizacja ta ma nie tylko cele polityczne ale i strategiczne. Osiedla te zagęszczone są w czterech głównych konstelacjach. Pierwsza — na granicy wzgórz Golanu — osłania graniczącą z Syrią północną Galileję. Druga to pas ufortyfikowanych osiedli na zachodnim brzegu Jordanu. Trzecia rozciąga się na południe od pustyni Negewu, wzdłuż wschodniego wybrzeża półwyspu Synajskiego, prowadząc etapami do wzgórza Szarm-El-Szek, panującego nad cieśniną Akaba. Wreszcie czwarte zgrupowanie osiedli powstało w strefie Gazy nad Morzem Śródziemnym.

Wzmacnianie elementu izraelskiego na tych terenach idzie w parze z tendencją do zmniejszenia siły liczebnej Arabów przez sporadyczne stosowanie przesiedlania mieszkańców wsi na inne obszary, czy likwidację arabskich obozów uchodźczych. Metody te wywołują zresztą żywe protesty w samym Izraelu i nie mogły być stosowane na szerszą skalę. Równocześnie, jeszcze przed wybuchem wojny październikowej, mnożyć się zaczęły w prasie izraelskiej głosy wskazujące na ryzyko kolonizacji obszarów spornych i związane z tym poważne koszty, obciążające i tak już napięty budżet Izraela.

Niemniej, we wrześniu ubiegłego roku, rządząca partia Mapam wprowadziła do swojej platformy wyborczej — przeformowany przez Ministra Obrony Mosze Dayana — projekt radykalnego przyspieszenia budowy dalszych kibuców i nahalim na terenach okupowanych.

W krajach arabskich ta polityka faktów dokonanych wywołała poważne zaniepokojenie. Przedłużanie się trwającego od przeszło sześciu lat stanu „ani pokój ani wojna” wzmacniało coraz bardziej pozycję Izraela na zajętych terenach. Wpłynęło to niechybnie na decyzję prezydentów Egiptu i Syrii podjęcia nowej wojny przeciw Izraelowi.

Polityka rządu izraelskiego wydaje się źle skalkulowanym ryzykiem. Przywódcy izraelscy nie mogli liczyć na bierną aprobatę przez Arabów metody faktów dokonanych. Politykę ekspansji przywódców izraelskich trudno także pogodzić z założeniem Izraelskiego Państwa Narodowego. W razie realizacji planu Allona mniejszość arabska w rozszerzonych granicach wzrosłaby w Izraelu — licząc szacunkowo — do blisko 30 % i wzrastałaby nadal ze względu na znacznie szybszy przyrost naturalny ludności arabskiej w porównaniu z izraelską. Jak wyglądałby stosunek procentowy obu grup narodowych za lat 10 czy 20?



Czwarta wojna izraelsko-arabska obaliła tak długo utrzymywany w Izraelu mit bezpiecznych granic. Wspominał już o tym w interesującym i dobrze udokumentowanym artykule Tadeusz Nowacki w poprzednim numerze *Kultury*. Ani wąziutkie korytko Jordanu — rzeczki czy raczej strumyka — ani o wiele szerszy kanał Sueski przez który niemal bez strat przeprawiła swe czołgi armia egipska, ani wreszcie rzekomo trudne do zdobycia góry Golanu, które w pierwszych dniach wojny zajęły wojska syryjskie, nie stanowią pewnej osłony, a są co najwyżej rodzajem nowej linii Maginota na Bliskim Wschodzie.

Warto tu jeszcze przytoczyć trudny do zakwestionowania autorytet: opinie izraelskiego generała Peleda — jednego z autorów planu Wojny Sześciodniowej, cytowane przez Erica Rouleau na łamach paryskiego *Le Monde*. Oto kilka fragmentów jego wypowiedzi:

„Granice strategiczne? Chodzi tu — mówił Peled — o pojęcie mityczne, które nie ma żadnego sensu w świetle dzisiejszej wiedzy wojskowej i które zostało od A do Zet wykoncypowane przez politykujących generałów, którzy zgłosili się na służbę do aneksjonistycznych polityków. Generałowie ci zapomnieli chyba że dziś żaden kraj nie może się czuć bezpieczny dzięki swym granicom. Uważam — dodał Peled, że nasze własne granice sprzed 67 roku były dla nas strategicznie o wiele wygodniejsze niż te, które chciano by dla nas uzyskać”.

Zawodność owych gwarancji strategicznych generał Peled wykazuje na przykładzie jednego z epizodów wojny październikowej:

„17 października marynarka Egipska zablokowała południowy wylot Morza Czerwonego w cieśninie Bab El Mandeb przecinając nam drogę do Oceanu Indyjskiego. Panowanie nad wzgórzem Szarm el Szek okazało się więc niewystarczającą gwarancją. Dla zapewnienia morskich linii komunikacyjnych na Ocean Indyjski — dodaje Peled — trzeba było uciec się chyba do absurdu rozwiązania: Opanowania przez wojska izraelskie Jemenu Południowego”.

Czy po doświadczeniach ostatniej wojny rząd izraelski będzie obstawał przy żądaniu bezpiecznych granic, które — jak twierdzi generał Peled — uzasadniać może coraz to dalsze rewindykacje terytorialne? W każdym razie celowość i skuteczność dotychczasowej polityki kolonizacyjnej Izraela na terenach okupowanych znalazła się pod wielkim znakiem zapytania.

Według nielicznych zresztą głosów lewicy izraelskiej Izrael osiągnąć może bezpieczeństwo swoich granic tylko na drodze porozumienia czy ugody z sąsiadami arabskimi. To samo powtórzył król Jordanii Hussein w jednym z niedawnych przemówień. Czy porozumienie to jest możliwe?



Wracamy tu niejako do punktu wyjścia moich uwag. Semici zarówno Żydzi jak i Arabowie są z natury maksymalistyczni w polityce, nie skłonni do kompromisów. Izraelczycy nadal nie ufają Arabom i nie chcą czy nie mogą zapomnieć gróźb różnych fanatyków, typu oślawionego Szukeiri, którzy przed wojną 67 grozili „wrzuceniem Żydów do morza”. Sceptycznie przyjmują zapewnienia świeżej daty prezydenta Sadata czy króla Husseina wyrażających gotowość uznania państwa izraelskiego. Odpowiedzialnością za barbarzyńskie zamachy, organizowane przez skrajne odłamy palestyńskie, Izraelczycy skłonni są obciążać cały naród palestyński. Żyją w poczuciu stałego zagrożenia. Stąd zafascynowanie mitem bezpiecznych granic trzymilionowego państwa, otoczonego przez przeszło stumilionowy świat arabski. Wyniki grudniowych wyborów do Knesetu zdają się świadczyć że czwarta wojna nie wpłynęła na zmianę tych nastrojów. Wzmocniła raczej obawy i nieufność.

Odmienne były konsekwencje ostatniej wojny dla nastrojów

arabskich, przynajmniej w Egipcie. Sukcesy wojsk egipskich w wojnie październikowej, na które lekki tylko cień rzuciły niepowodzenia ostatnich dni — pozwoliły Egipcjanom wyzwolić się z kompleksu niższości wobec Izraelczyków, i jakby zapomnieć o haniebnej klęsce z 67 roku. Egipcjanie — w przeciwieństwie do Syryjczyków czy Algierczyków są narodem głęboko pacyfistycznym, pragnącym dziś bardziej niż kiedykolwiek korzystać z owoców pokoju. Zakończenie dwudziestopięcioletniej serii wojen i konfliktów z Izraelem i otwarcie Kanału Sueskiego — co przywróciłoby Egiptowi dochody z żeglugi stanowiące przed 67 rokiem czołową pozycję w dochodach skarbu egipskiego — powitane byłoby z radością chyba przez całe społeczeństwo egipskie. Bez zawarcia trwałego pokoju Egipt nie mógłby przewyciężyć chronicznego kryzysu gospodarczego, rozbudować przemysłu, podnieść stopy życiowej ludności i zmniejszyć ogromnego i rosnącego wciąż zadłużenia za granicą. Pokojowe nastroje większości narodu egipskiego pozwoliły swego czasu Sadatowi przyjąć pokojowy plan Sekretarza Stanu Rogersa, porzucony później przez Waszyngton, podjąć nieodwzajemnione zresztą próby zbliżenia do Stanów Zjednoczonych, zawrzeć przedwczesne — zdaniem wielu Arabów — zawieszenie broni z Izraelem i wreszcie — wbrew sceptycyzmowi wielu stolic arabskich — zgodzić się na bezpośrednie rokowania z Izraelem. Gdyby konflikt na Bliskim Wschodzie ograniczył się do sporu między Egiptem a Izraelem można by się liczyć z rychłym zawarciem pokoju. Sadat nie może jednak zdecydować się na separatystyczny pokój z Izraelem, gdyż to naraziłoby go na ryzyko „utrąty twarzy” i zantagonizowania wszystkich pozostałych krajów arabskich. Godząc się zresztą na udział w Konferencji Genewskiej Prezydent Egiptu podkreślił równocześnie potrzebę wzięcia w niej udziału — obok Jordanii i Syrii — także przedstawicieli narodu Palestyńskiego. Sadat nie zadowolony był ewentualnym zwrotem półwyspu Synajskiego czy otwarciem Kanału Sueskiego ale wraz z innymi krajami arabskimi — będzie się domagał powrotu do granic 67 roku.

Jeszcze bardziej niecierpliwie pragnie pokoju Jordania a w każdym razie król Hussein. Wrogiem numer jeden dynastii Haszemickiej jest nie Izrael, ale Organizacja Palestyńska. Jordani grozi utrata jedynej nieco bogatszej części — Cisjordanii. Nawet gdyby Izrael zrezygnował z tej prowincji odzyskanie jej przez Jordanię natrafi na wielkie trudności. Zgłaszają do niej pretensje Feddajni z którymi sympatyzuje znaczna część ludności Cisjordanii. Jak już mówiliśmy sprzeciwiły się temu kategorycznie Izrael, sądząc że łatwiej dojdzie do ugody z samym Husseinem. Tak więc Konferencja Genewska obok konfliktu Izraela z jego sąsiadami arabskimi będzie się musiała zapewne zająć tym imbroglio izraelsko-palestyńsko-jordańskim.

Nieco odrębne jest stanowisko Syrii. Jej Prezydent, Hafez Assad, zaskoczony rozejmem egipsko-izraelskim wbrew swej woli musiał zgodzić się na zawieszenie broni z Izraelem. Gdyby od-

mówił, Izrael mógłby przerzucić znaczną część swych sił z frontu sueskiego pod Damaszek. Wojskom syryjskim groziłaby niechybna klęska. Niemniej polityka Prezydenta Assada bliskiej współpracy z Egiptem wywołuje silną opozycję zarówno w kierownictwie rządzącej w Damaszku socjalistycznej partii Baath, jak i w Dowództwie Armii. Wojna październikowa pozostawiła w Syrii — w przeciwieństwie do Egiptu — głębokie ślady. Zbombardowanie Damaszku i zniszczenie przez lotnictwo izraelskie wielu — często największych — obiektów przemysłowych zaciążyło na nastrojach ludności.

Postarałem się zestawić różne dane i informacje na temat historii konfliktu izraelsko-arabskiego i możliwości jego rozwiązania. Zainteresowane strony rokują w Genewie przy udziale, czy pod patronatem Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego. Omówię możliwie krótko ten temat sądząc że zostanie on poruszony w innych artykułach. W chwili gdy oddaję go do druku — Sekretarz Stanu Kissinger przejął w swe ręce całą inicjatywę pośrednictwa, odsuwając w cień swego kolegę Gromkę. Jasne że Stanom Zjednoczonym zależy na możliwie rychłym położeniu kresu „konfliktom między semitami” które doprowadziły już do krótkiego ale gwałtownego kryzysu na linii Waszyngton-Moskwa.

Niemalą rolę gra w polityce Waszyngtonu chęć zataśmowania potoku miliardów dolarów w postaci pomocy wojskowej i innych kredytów dla Izraela. Waszyngton dąży do możliwie korzystnego dla Izraela, pokojowego załatwienia konfliktu, ale bierze pod uwagę wzmocnienie pozycji Arabów w wyniku wojny październikowej.

Mniej jasne jest stanowisko Moskwy. Jej politykę na Bliskim Wschodzie można by określić jako rodzaj kontrolowanej schizofrenii. Z jednej strony Kremlowi zależy na otwarciu Kanału Sueskiego i uzyskaniu wylotu na Ocean Indyjski. Nadto Kreml, który tyle już zainwestował w wojskową i gospodarczą pomoc dla krajów arabskich zmuszony jest kontynuować ją nadal w obawie że niektóre z nich — a zwłaszcza Egipt — w myśl „polityki huśtawki” zbliżą się do Stanów Zjednoczonych, czy wręcz przewedrują do obozu amerykańskiego. Egipcjanie wciąż nie żywią nadmiernych sympatii do protektorów północy. Nastroje nad Nilem niewiele zmieniły się od czasu wyproszenia przez Sadata z Egiptu sowieckich dowódców wojskowych.

Równie skomplikowany jest stosunek Moskwy do Tel-Awivu. Istnienie państwa izraelskiego leży w żywotnym interesie ZSSR. Dopiero konflikt izraelsko-arabski umożliwił Związkowi Sowieckiemu penetrację na pierwszo-planowy dla niego politycznie, strategicznie i gospodarczo obszar Bliskiego Wschodu. Izraelczykom z kolei ze zrozumiałych względów zależy na poprawie stosunków czy nawet zbliżeniu z Moskwą. Kreml zapewne może

z nimi łatwiej znaleźć wspólny język, aniżeli z nieobliczalnymi czasem i chętnie manifestującymi swoją niezależność arabskimi wyznawcami Islamu. I co najważniejsze. Dla Moskwy zawarcie trwałszego pokoju na Bliskim Wschodzie pociągnęłoby za sobą obok niewątpliwych korzyści jak najbardziej ujemne konsekwencje. Kraje arabskie, uniezależnione od wojskowej pomocy Kremla, mogłyby definitywnie wymknąć się spod jego wpływów.

Po tych rozważaniach na temat teraźniejszości kilka jeszcze słów o perspektywach przyszłości, choć rola proroka w polityce się nie opłaca — zwłaszcza gdy chodzi o Bliski Wschód. Gdy dwie strony rokują z sobą zgłaszają zawsze maksymalne postulaty przetargowe. Ale czy reguła ta może być zastosowana do partnerów Konferencji Genewskiej. Kraje arabskie niewątpliwie na serio traktują żądanie zwrotu przez Izrael wszystkich okupowanych terytoriów. Gotowe są może dyskutować szczegóły delimitacji granic, ale nie samą zasadę. Trudno też sobie wyobrazić że rząd Izraela — wbrew własnej opinii publicznej — wyrażonej w wyborach grudniowych do Knesetu, mógłby odwrócić o 180 stopni swoją politykę, rezygnując z zasady bezpiecznych granic „skapitulować przed Arabami”. Cóż stałoby się z powstałymi na terenach okupowanych kibucami i nachalim, i ich mieszkańcami? Jak rozwiązać problem Jerozolimy? W tej perspektywie osiągnięcie jakiegoś kompromisu w sporze na Bliskim Wschodzie zdaje się zakrawać na „kwadraturę koła”.

Mogłoby się wydawać, że w ciągu przeszło sześciu lat między trzecią a czwartą wojną izraelsko-arabską czas pracował dla Izraela, który bez żadnych przeszkód mógł umacniać się na okupowanych terenach. Obecnie po raz pierwszy w historii wojen arabsko-izraelskich wojska izraelskie starły się z godnym siebie przeciwnikiem. Kilka lat wystarczyło dla przekształcenia bezładnej masy Fellahów, pozbawionych dowództwa z prawdziwego zdarzenia na ujętych w karby dyscypliny odważnych, bitnych i dobrze na ogół dowodzonych żołnierzy.

Powtarzam tu dobrze znaną opinię prasy i specjalistów po to aby stwierdzić, że czas pracuje w istocie na rzecz obozu arabskiego. Arabowie dziś już są na drodze do uzyskania przewagi nad Izraelem nie tylko, jak dotąd — liczbą żołnierzy, samolotów czy czołgów, ale też jeśli chodzi o siłę bojową armii. Wydaje się że w interesie Izraela leży zawarcie możliwie rychłego trwałego pokoju z sąsiadami arabskimi, choćby kosztem daleko idących ustępstw.

Jeśli to nie nastąpi, naród izraelski zmuszony będzie na czas trudny do przewidzenia do egzystencji w warunkach obłożonej twierdzy, w której jedyną komunikacją ze światem są lotniska i samoloty, do straży z bronią w ręku na swoich granicach, do ponoszenia nadal rujnujących kraj ciężarów pogotowia zbrojnego, pochłaniającego blisko 50 % budżetu państwowego, do zacho-

wania trzyletniej służby wojskowej, ciężącej nad całym młodym pokoleniem z perspektywą, że jakieś trudne do przewidzenia wydarzenie wywołać może jeszcze jedną — piątą — wojnę ze światem arabskim.

Roman KRUKOWIECKI

Widziane z Brukseli

MIRAŻE I FATAMORGANY

Lot nr 442 Tel-Aviv - Paryż przebiegał zgodnie z rutyną. DC-4 Swiss-air'u trochę kiwał nad Morzem Śródziemnym, ale to normalne. — Za siedem godzin będę w Paryżu — pomyślał kapitan armii syryjskiej Abdul Azziz Kerine. Kolacja, nazajutrz dalej... Kapitan Kerine był przejęty powagą misji. Ahmed el She-ratabi, minister Obrony Syrii, jednego z dwóch latem 1948 roku niezależnych państw na Bliskim Wschodzie, powiedział mu w przeddzień: „Musimy być gotowi do złamania państwa żydowskiego od razu w dniu jego proklamowania. Potrzebna nam jest broń, musimy uzbroić Arabów. Dotychczasowe dostawy to zwyczajny szmelt, demobil, często niezdalny do użytku, a w najlepszym razie bez części zamiennych. Mamy nareszcie adres poważnego dostawcy i poważną ofertę. A oto lista zakupów: 10.000 karabinów, tysiąc karabinów maszynowych, auta pancerne...”.

W tym samym samolocie, kilka rzędów dalej za Kerinem czytał *Dawar* niejaki Jerzy Aleksander Uberal, dyrektor handlowy przedsiębiorstwa robót drogowych w Tel-Awivie. Dziwny dyrektor, w bagażu miał tylko biblię, Fausta, szczoteczkę do zębów oraz czek na milion dolarów. W jego palestyńskim paszporcie tylko zdjęcie i wiek odpowiadały prawdzie. W istocie bowiem Uberal nazywał się Ehud Avriel, był jednym z dowódców Hagany i też był przejęty swoją misją. W przeddzień odlotu Avriela wezwał Ben Gurion. „Mój drogi” — powiedział „stary”. — „Mamy sześć miesięcy czasu, Arabowie nie dadzą nam spokoju. Potrzebujemy broni. Oto adresy w Europie, a oto lista zakupów: 10.000 karabinów, tysiąc karabinów maszynowych, auta pancerne...”.

Kiedy w kilka dni później kpt. Kerine, odprowadzany przez gościnnych gospodarzy, opuszczał gmach dyrekcji firmy, z którą zawarł właśnie umowę na dostawę i transport do Syrii 10.000 karabinów Mauser E 18 oraz 100 aut pancernych MG 34, w drzwiach mignęła mu jakby znajoma twarz. Eh, gdzie tam, znajomy tu?! Niemożliwe...

Kilka godzin później Avriel też grzecznie żegnany wychodził przez te same drzwi. Miał w kieszeni podobny co Kerine kontrakt, czekiem na Union de Banques Suisses w Genewie zapłacić właśnie za 10.000 karabinów Mauser E 18 oraz 100 aut pancernych MG 34... Wychodząc zadowolony Avriel spojrzał raz jeszcze na tablicę i adres: „Zbrojowka Brno, dyrekcja w Pradze, ul. Belchrid 20...”.



Siedem lat później, maj 1955, Kair, przyjęcie w jednej z ambasad. „Panie Pułkowniku — zwraca się do Nassera ambasador ZSSR Daniel Sołod — czy mógłby mi Pan poświęcić chwilę uwagi?” „Kiedy” — pyta Nasser. „Zaraz, tutaj...” — odpowiada ambasador i bierze Nassera pod ramię.

„Czy Egipt chciałby otrzymać broń z ZSSR? — pada pytanie. — Czy Pan Pułkownik zna wielkość dostaw francuskich dla Izraela? Kreml spodziewa się szybkiej odpowiedzi”.

26 lipca przybywa do Kairu redaktor naczelny *Prawdy*, Szepiłow. Wizyta dyskretna, ale to właśnie Szepiłow a nie Sołod otrzymał odpowiedź Nassera. W rok później Szepiłow przybył do Kairu już nie jako dziennikarz, a jako minister spraw zagranicznych ZSSR. W dniu kiedy Egipt świętował wyjazd ostatniego żołnierza angielskiego, Szepiłow miał w kieszeni umowę o dostawach broni, mógł więc spokojnie powiedzieć na wiecu, że „ZSSR nie zamierza wywoływać wśród narodów arabskich wrogich nastrojów wobec mocarstw zachodnich”.

W tym momencie statki wyładowywały pierwsze skrzynie z bronią w porcie w Aleksandrii. Na skrzyniach nie było jednak napisów cyrylicą. Nadawcą była Zbrojowka Brno, Czechosłowacja...



18 lat później, centrum Londynu, dwa kroki od Picadilly, gdzie hippisi z całego świata wyśpiewują na fujarkach psalmy o wszechświatowym pokoju i braterstwie ludów. Pan E. H. Holden, dyrektor starej firmy „Cogswell and Harrison” nie przyjmuje byle kogo. Kiedy klient sprawia poważne wrażenie, proszony jest o pozostawienie karty i powrót po godzinie. Jeżeli wszystko się zgadza a referencje bankowe są wystarczające, wtedy p. Holden gościa przyjmuje i ofiarowuje czym chata bogata, od całej dywizji pancerniej i lotniskowca aż po najnowszy typ karabinu AK-47 firmy „Omnipol”. Tak zazwyczaj opanowany Anglik nie ma wprost słów zachwytu dla firmy Omnipol: „To są najbardziej mili ludzie jakich znam. A jak oni znają swój zawód?! Broń z Omnipolu dostarczana jest zawsze wraz ze wszystkimi akcesoriami, zapasowy magazynek, bagnet, przyrządy do czyszczenia, nawet sposób użycia w kilku językach. Dziś, na wszystkich frontach można przekonać się, że dzięki swej powadze i jakości swego sprzętu, Omnipol stał groźnym konkurentem dla największych dostawców broni...”. Zbyteczne do-

dawać, że karabin AK-47 i inny sprzęt tak godny zachwytu p. Holdena są produkcji Zbrojowka Brno, Czechosłowacja, a firma Omnipol jest tych zakładów przedstawicielstwem handlowym.

Spokój na trzy lata...

Handel bronią to oczywiście wcale nie monopol Czechosłowacji. Jest to jedyna dziedzina obrotów międzynarodowych, gdzie ani nabywca ani dostawca nie chwali się wysokością, warunkami, i innymi detalami zawartych transakcji. Trudno jest więc powiedzieć jak wysokie są obroty na tych specyficznych, hm, rynkach zbytu, sięgają one jednak setek miliardów dolarów.

15 państw jest dziś obecnych w światowym handlu bronią. Ku pamięci wymienimy je, w porządku alfabetycznym, aby się nikt nie obraził: Belgia, Chiny, Czechosłowacja, Francja, Holandia, Izrael, Kanada, NRF, Rep. Poł. Afrykańska, Stany Zjednoczone, Szwajcaria, Szwecja, Wielka Brytania, Włochy i ZSSR. Inna jest naturalnie kolejność jeżeli ułożyć tę listę według powagi i starszeństwa. Same tylko USA załatwiają ok. 40 % rynku przede wszystkim w kierunku swych atlantyckich sojuszników oraz kilku wiernych klientów w Azji, Afryce i Ameryce łacińskiej. 30 % potrzeb załatwia ZSSR oraz jego sojusznicy, przy czym nie wiadomo jak się dzieli *business*em, często bowiem Czechosłowacja, albo nawet Węgry czy Polska, firmują transakcje czysto sowieckie. Daleko poza super-potęgami wydzierają sobie trzecie miejsce Francja i Anglia. Reszta to pigmeje, chociaż nie bez pewnej dumy muszą podkreślić honorowe miejsce Belgii, która w wielu punktach globu lepiej jest znana z jakości małałalibrowych produktów fabryki FN aniżeli skarbów sztuki flamandzkiej.

Szersze tłumaczenie powodów zainteresowania rynkiem broni zakrawałoby na nieuprzejmość i obraziłoby mojego czytelnika. Stąd tylko zasadnicze elementy sytuacji.

Otóż, handel bronią to, po pierwsze, ważny czynnik gospodarki narodowej i to we wszystkich aspektach: inwestycje, zatrudnienie, eksport, postęp techniczny itd. Posłużmy się przykładem Francji, m.in. dlatego, że jest on łatwiejszy do ogarnięcia niż powiedzmy amerykański kolos i łatwiejszy do poznania niż sowiecki przemysł zbrojeniowy, który jest absolutnie tajny, ukryty w planie i w budżecie w kilkuset najrozmaitszych pozycjach.

Otóż w samej Francji 270.000 osób pracuje wyłącznie dla przemysłu zbrojeniowego, z czego 65.000 wyłącznie na eksport. Co to znaczy? To znaczy, że eksport broni wart jest 8 miliardów franków, że stanowi rocznie ok. 8 % całego eksportu Francji, a 25 % eksportu jej sprzętu mechanicznego, bo to się właśnie tak nazywa. Jest to jedyna gałąź przemysłu, która ma portfel zamówień pełny na trzy lata z góry, co jest niesłychanie ważne, jeżeli zważyć, że najcudowniejsze pomysły francuskiej myśli technicznej, jak np. ponaddźwiękowa Concorde, zostały zigno-

rowane przez uprzemysłowione kraje świata, a życzliwe zainteresowanie króla Fejsala i szacha perskiego nie wystarczą aby uratować przyszłość tej cud-maszyny. Nie można więc nie zgodzić się z francuskim ministrem wojny p. Galley, kiedy z mocą głosi: „Nie mam zamiaru zmniejszać naszego eksportu i skazywać na bezrobocie naszych robotników w imię zasad moralnych, których żadne państwo nie przestrzega...”.

Jakże zresztą można mówić o zasadach, kiedy chodzi o dewizy. I to jakie? Po to aby odrobić straty syryjskie z pierwszych tylko kilku dni wojny Fejsal przestał do Damaszku czekać na równy miliard dolarów, który zresztą powędrował bezpośrednio do kasy Gosbanku w Moskwie. Senat amerykański był hojniejszy i uchwalił doraźne kredyty w wysokości 2,5 miliarda dolarów na uzupełnienie sprzętu izraelskiego straconego w czasie wojny kipurowej. Jeden porządny samolot wojskowy kosztuje do 30 milionów dolarów. Według danych amerykańskich, zapotrzebowanie zachodniego świata na samoloty wojskowe do roku 1982 już dziś jest oceniane na jakieś 150 miliardów dolarów. Czołgi, tańsze od samolotów, ale idą za to jak bułki. Państwa arabskie straciły w ciągu 2 tygodni kipurowej wojny więcej czołgów niż ich wystąpił Hitler na Rosję w 1941 roku.

Na abu-dabijską głowę

Oczywiście, po to aby klasa robotnicza amerykańska, francuska czy sowiecka mogła żyć jako tako, bez widma bezrobocia, muszą tu czy tam wybuchać małe i większe, lokalne i nielokalne wojny, konflikty, sprzeczności interesów, gniew ludu, powstania, rewolucje, niesnaski, awantury, agresje, dywersje, wojny domowe i nie domowe, cywilne i wojskowe, wojny sprawiedliwe i niesprawiedliwe, zimne wojny, wojny gorące, wojny przewencyjne, wojny błyskawiczne, wojny zaskakujące, prowokacje, okupacje, braterskie interwencje, inwazje na zaproszenie i bez, ruchy ludowe, czyny zbrojne, pospolite ruszenia, zamachy stanu, starcia, kolizje, nieporozumienia, boje, bitwy, burdy, bitki, bijatki...

O to aby ich nie brakło stara się tzw. dyplomacja. I to jest właśnie drugi niezbędny czynnik rozwoju światowego rynku handlu bronią. Przyjrzyjmy się najbardziej dziś chłonnemu rynkowi dla „sprzętu mechanicznego”. Nie trzeba długo tłumaczyć dlaczego oba super-giganty uważają ich obecność na Bliskim Wschodzie za absolutnie niezbędną. Każde dziecko wie, że chodzi, po pierwsze, o połowę światowej produkcji ropy. Nie każde dziecko wie, że chodzi po drugie o Suez. Dla USA jest to łatwa łączność między 6 a 7 flotą oraz proste i tanie podróże wzdłuż granic wpływów ZSSR. Dla ZSSR to samo, tylko wprost przeciwnie. Zamiast 11.000 mil z Władywostoku czy 9.000 z Odessy czerwona flota będzie miała tylko 2.200 mil do Zatoki Perskiej, gdzie tyle powabnych okolic już od dawna przyciąga pożądlive spojrzenia burlaków znad Wołgi. Po trzecie, chodzi o pokój. A ten

jak uczy doświadczenie, może być tylko pokojem zbrojnym. Tylko równowaga sił zapewnia ład w tej okolicy i wyklucza niebezpieczeństwo bezpośredniej, oko w oko, konfrontacji superatomów.

Nic więc dziwnego, że, nawet bez wojny kipurowej, Rosja wydała na uzbrojenie Egiptu ok. 5 miliardów dolarów. To dużo czy mało? Odpowiadam, że cały Assuan i stalownia w Heluanie na dodatek, kosztowały 1,5 miliarda, a ile było o to krzyku.

Czy państwo znają Abu Dabi? Kto od razu wskaże to miejsce palcem na mapie? Otóż Abu Dabi leży nad Zatoką Perską i od niedawna zarabia bardzo dużo dolarów, albowiem gdzie emir by nie kopnął, tam wytryśnie nafta. Kraj ten, jeżeli można go tak nazwać, ma 80.000 mieszkańców i dochód narodowy na głowę mieszkańca 35 (słownie trzydzieści pięć) razy wyższy od obu pobliskich republik, i tej demokratycznej i tej arabskiej, Jemenu. Oczywiście, każdy już dopowie resztę. Wszystkie wysiłki i zasoby Abu Dabi, jak również Kuweitu, Arabii Saudyjskiej i innych sąsiadów naftowych, idą na pomoc dla arabskich braci, zdychających z nędzy w pobliskich Jemenach. Otóż, *sorry*, niezupełnie.

Abu Dabi nie ma wolnych rezerw, bo musiało zakupić ostatnio ok. 30 Miraży-5, wojskowych samolotów francuskich. W ten sposób Abu Dabi stało się super potęgą, albowiem ma więcej myśliwców bombardujących na głowę mieszkańca niż jakikolwiek inny kraj na świecie, USA, ZSSR i Izrael włącznie.

To już wydaje się dziwne, ale to nie wszystko. Trzeba bowiem dodać, że Abu Dabi nie ma ani jednego pilota, i że wobec tego na abu-dabskich Mirażach latają piloci... pakistańscy (też mużulmani, a to najważniejsze). A po co Abu Dabi Miraże i pakistańscy piloci? Po co mu naddźwiękowe maszyny, kiedy nie starczy terytorium nawet na start i abu-dabski Miraż sekundę po starcie już jest nad terytorium obcym, albo nad morzem. A po co nad morzem, kiedy tam nie ma wroga przeciw? Kuwejt także kupił ostatnio Miraże, ale i Fantomy, których w przeliczeniu na liczbę mieszkańców będzie miał więcej niż Izrael. Ostatnio obywatele Kuweitu już śpią już zupełnie spokojnie, albowiem ich emir zakupił właśnie... łódź podwodną. Brak tylko jeszcze załogi. Opowiadano mi o jednym szejku, który miał już własnego Miraża, brygadę czołgów, oddział Katiusz, marzył natomiast o wielbłądzie...

Budżet wojskowy Iranu wzrósł z roku 1972 na 1973 o 47 %. W latach 50-tych Iran wydawał rocznie 8,5 miliona dolarów na broń. W latach 60-tych doszedł do 150 milionów. W 1974 wydał... 2,5 miliarda dol. Czy będzie przez to spokojniejszy? Ba, można wątpić. Irak, niekoniecznie przyjazny dla szacha, też wydał dużo dolarów, tyle że do innej kasy, a Fejsal wydał na broń w 1973 roku o 40 % więcej niż w roku poprzednim.

„Musicie się bronić przed penetracją sowiecką” wołają Amerykanie. „Musicie się bronić przed penetracją amerykańsko-izraelską” wołają Rosjanie. „Musicie się bronić przed penetracją

izraelsko-amerykańsko-sowiecką” wołają hurtowo Chińczycy. „Musicie się bronić przed penetracją chińską” wołają zgodnie Rosjanie i Amerykanie. I szafa gra...

Skromny p. Cummings...

„Broń to odwieczny symbol ludzkiego szaleństwa. Naprzód, damy im łupnia! Oto hasło naszej cywilizacji. Dlatego mój zawód jest naprawdę wieczny...”. Słowa te należą do p. Samuela Cummings'a, urodzonego 45 lat temu w Filadelfii, obywatela do niedawna amerykańskiego, obecnie poddanego Monte Carlo, tamże zamieszkałego, z zawodu kupca. P. Cummings nie ma jednak zbyt często okazji rozkoszowania się przyrodą Riviery. Rzadko bywa w domu, podróżuje, wymaga tego jego zawód. Handluje mianowicie bronią. To może nie takie oryginalne, ale ów dżentelmen zasługuje na naszą uwagę, albowiem aczkolwiek prywatny handel bronią stanowi jedynie 10 % państwowego handlu bronią, to jednak owe 10 % to także miliardy dolarów rocznie, a p. Cummings załatwia sam 90 % tych 10 %.

Musi to więc być człowiek zdolny. Przyjrzyjmy mu się choćby z daleka, z bliska bowiem przyglądają mu się wszystkie kontrwywiady i wywiady świata. Tak się bowiem składa, że klienci P. Cummingsa to — jak mówią — głównie „zwycięscy dyktatorzy i optymistyczni rewolucjoniści”. Byli wśród nich i kubański Castro i dominikański Trujillo. „Dyktatorzy — mawiać zwykł p. Cummings, a jemu można wierzyć — mają wyrobiony zmysł porządku i zawsze w terminie płacą faktury”. Czasem dochodzi do sytuacji dwuznacznych. W 1955 roku kostarykańscy emigranci postanowili obalić przebrzydłego prezydenta Figueresa. Uzbrojeni w pistolety Beretta i karabiny maszynowe Madsen zostali jednak odparci przez siły rządowe uzbrojone w karabiny Garand M-1 i karabiny maszynowe Brownie kal. 30. Całe to uzbrojenie dostarczone zostało przez Cummings'a naturalnie, który natychmiast po ustaniu ognia zajął się uzupełnianiem braków w sprzęcie mechanicznym obu stron.

P. Cummings zaczął skromnie, jako funkcjonariusz CIA. Po czterech latach nienagannej służby uznał jednak, że to zajęcie nie ma przyszłości i uniezależnił się. Wiadomości zdobyte w ciągu czterech lat przydały się widać, bo od razu pierwsza transakcja potwierdziła słuszność obranej drogi. W 1953 roku Cummings „za ostatnie 25.000 dolarów” kupił 7.000 sztuk broni palnej od policji panamskiej. Sprzedał ją natychmiast za 75.000. W rok później, Cummings, a miał dopiero 25 lat, przejmuje cały zapas pistoletów marki Sten z magazynów US-Army. Kupuje po 50 centów sztuka, sprzedaje po 4 dolary. Bombową (słowo jak rzadko na miejscu) transakcję zawiera w 1958 roku. Kupuje 600.000 karabinów Lee Enfield od armii brytyjskiej po 28 centów sztuka. Po pewnym czasie zmodyfikowane za niewielką cenę Enfieldy, Cummings sprzedaje poprzez super-markety w USA

po... 25 dolarów sztuka. Ten człowiek nie zginie. I rzeczywiście, giną inni. „Interarms” przedsiębiorstwo Cummings'a w krótkim czasie zmonopolizowało prawie prywatny rynek broni. Jego żona, młoda i ładna (ja myślę!), oczekuje męża w luksusowym gniazdku w Monte Carlo i niczemu się nie dziwi. Ta nowoczesna Penelopa mówi tylko: „Taki sam zawód jak każdy inny”. Ostatnio Cummings widziany był w Bengla Desh. Kupił co się dało z demobilu po wojnie z Pakistanem. Zapłacił gotówką... A komu sprzedał? Czytajcie gazety, spójrzcie na mapę, gdzie się przecież biją...

AMX-30 po ile dzisiaj?

Dziennikarz francuski Yves Barraud też interesował się tematem. Spotkał, jak opisuje, anonimowego handlarza bronią.

— Pracuje Pan dla IRA?

— Nie, oni mnie nie potrzebują. Tysiące Irlandczyków w USA już się tym zajęły, tam przecież wolny handel bronią...

— A skąd pochodziła broń Japończyków w Lodd, od Pana?

— Od Palestyńczyków naturalnie. Oni zaś ją mieli z Omnipolu, albo od jednego z jego zachodnich pośredników. Tylko Omnipol sprzedaje bowiem sowieckie „Tokariewy” i „Kłasznikowy”...

— A Pan dla kogo pracuje?

— Dla tych co najlepiej płacą.

Ile płacą? Dla zainteresowanych podajemy ceny z sierpnia 1972 roku, należy więc wziąć poprawkę w górę uwzględniającą wzrost kosztów surowców, siły roboczej, no i inflację. Ceny podane są w pływających frankach francuskich, kandydaci z innych stref walutowych muszą więc przeliczać po kursie dnia. Wszystkie ceny są loco Francja, bez cła i podatków:

granat zaczepny	9 F.
pocisk 105 mm dla czołgu AMX-30	1.320 F.
rakieta p-czołgowa SS-11	12.500 F.
czołg AMX-30	2.000.000 F.
pojazd pancerny AML-90	550.000 F.
działo 155 mm	800.000 F.
fregata morska	470.000.000 F.
poławiacz min	57.000.000 F.
łódź podwodna 1200 ton	152.000.000 F.
helikopter ciężki Frelon-Super	17.000.000 F.
Mirage III (bez części)	7.500.000 F.

Koszt szkolenia obsługi tego sprzętu mechanicznego we Francji z uwzględnieniem naturalnie amoryzacji aparatów:

dowódca plutonu czołgów	138.000 F.
pilot Miraży III	3.600.00 F.
zastępca dowódcy eskadry Miraży	6.000.000 F.

Wszystkiego najgłośniejszego!!!

BRUKSELCHYK

Pisane 4 marca 1974.

P.S. Niektórzy czytelnicy pytają podejrzliwie jak należy tłumaczyć wyjątkową aktualność felietonu o międzynarodowych towarzystwach i przedsiębiorstwach pt. „Proletariusze wszystkich krajów łącznie się w pracy dla Forda”. Istotnie, tak się złożyło, iż felieton ten został natychmiast potwierdzony przez całą serię skandalicznych afer ujawnionych w towarzystwach naftowych. Wyjaśniam jednak, że fakt iż afery te wybuchły prawie jednocześnie we Francji, NRF, Włoszech i USA jest dziełem przypadku i że to nie felieton Brukselczyka dał sygnał wszczęcia śledztwa.

Nie odpowiadają też prawdzie twierdzenia jakoby Mao Tse-tung ostro zareagował na francuski film pełnometrażowy pt. „Chińczycy w Paryżu” dopiero po przeczytaniu felietonu „Ex oriente lux...”, z tej prostej przyczyny, że kiedy Mao protestował, to *Kultura* jeszcze się nie ukazała. Nie wiadomo zresztą dlaczego Mao mógł przypuszczać, że uda mu się zdjąć francuski film z francuskich ekranów nie okupując przedtem Francji. Gdyby przyjąć zasadę, że każdy zdejmując sobie film tylko dlatego, że mu się on nie podoba, to co mieliby „zdjąć” Cześci po obejrzeniu „L'Aveu” Londona, nie mówiąc już o ZSSR, Grecji i innych tygrysach z papieru...

W przypadku filmu „Chińczycy w Paryżu” nieporozumienie jest zresztą całkowite, a umieszczenie dowcipnego ale taniego reżysera Yanne między Konfucjuszem a Lin Piao na liście wrogów rewolucji kulturalnej, robi mu tylko reklamę i obniża rangę rewolucji kulturalnej. Film jest zresztą sympatyczny dla Chińczyków jako okupantów. Grzeszą oni jedynie słabością wobec dziewcząt francuskich i w ogóle społeczeństwa konsumpcyjnego, przekształcając Carmen na Car-ming i zamieniają małą czerwoną książeczkę na przewodnik Michelin. Film jest natomiast szalenie ostry wobec okupowanych Francuzów, o choczko — według realizatora filmu — kolaborujących i fraternizujących z okupantem. Obrazić się więc powinni nie Chińczycy a Francuzi. Czy to nie po francusku właśnie mówi się „śmiać się na żółto”...?

B.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

W ubiegłym miesiącu zakończyłem swoją notatkę o „sprawie Sołżenicyna” słowami: „Zupełnie nie można przewidzieć, co zrobi państwo sowieckie, by rozprawić się z człowiekiem, który się go nie boi”. Dziś już wiemy co państwo sowieckie zrobiło. 12 lutego Aleksander Sołżenicyn został aresztowany. Zamknięto go w moskiewskim więzieniu na Lefortowie, gdzie poddano go wszystkim — tak dokładnie przez niego opisanym — etapom więziennej procedury: rejestracji, rewizji osobistej, zmianie odzieży na więzienną. A następnego dnia wsadzonego w samolot i wywieziono w nieznanym kierunku. Dopiero gdy zobaczył z okienka lądującego samolotu napis Frankfurt nad Menem, Sołżenicyn zrozumiał, że został przywieziony do NRF. Po raz trzeci w swej historii, rząd sowiecki zastosował wygnanie jako metodę rozprawy ze swoimi przeciwnikami. W 1922 roku, z inicjatywy Lenina, deportowano z Rosji sowieckiej ponad dwustu najwybitniejszych przedstawicieli inteligencji: filozofów, historyków, pisarzy. Inicjatywę Lenina poparł gorąco Trocki, uzasadniając teoretycznie decyzję o wygnaniu, w artykule śmiało zatytułowanym: „Dyktatura! gdzie twój bicz?” W ciągu siedmiu lat znalazł się i bicz na Trockiego, którego wygnał Stalin. Liberalną inteligencję wygnano z Rosji sowieckiej w pięć lat po rewolucji. Sowiecka republika była jeszcze słaba i bała się ideologicznych przeciwników. Trockiego wygnano w dwanaście lat po rewolucji. Stalin nie czuł się jeszcze zupełnie pewien w swoim jedynowładztwie. Sołżenicyn został wygnany w 57 lat po rewolucji, kiedy zdawałoby się że nikt i nic na świecie nie zagraża już najpotężniejszemu państwu sowieckiemu. Zmuszając władze sowieckie do decyzji deportowania go, Sołżenicyn odniósł kolejne zwycięstwo: zmusił państwo sowieckie do przyznania się do swej słabości i do niezdolności — w przeszło pół wieku od zdobycia władzy — przeciwstawienia ideom wolności i sprawiedliwości, czego innego niż brutalną siłę.

Listy z poparciem decyzji najwyższych organów władzy pojawiły się we wszystkich moskiewskich gazetach jednocześnie z komunikatem Tassa o deportacji pisarza. Wiele z tych listów podpisali mieszkańcy miast położonych gdzieś daleko, skąd poczta do Moskwy idzie od siedmiu do dziesięciu dni. Tym razem listy przyfrunęły do stolicy w kilka godzin — jakby niesione na skrzydłach miłości do sowieckiej ojczyzny, skrzywdzonej przez Sołżenicyna.

Nikogo nie może zdziwić fakt, że podniosło się tak niewiele głosów protestujących przeciwko wygnaniu pisarza. Wiktor Niekrasow w liście *Komu to może służyć?*, rozdany korespondentom zagranicznym, opowiedział jak zmuszano go do podpisania oświadczenia potępiającego Sołżenicyna, uprzedzając go równocześnie, że w przeciwnym razie jego książki przestaną być wydawane. „Czy może szanujący się człowiek przyłączać się do chóru oszczerców?” — pyta autor *W okopach Stalingradu*. Pewne zdziwienie wywołał protest Jewgienija Jewtuszenki. Po wysłaniu listu z protestem do Breżniewa, Jewtuszenkę zaproszono — nie do KGB jak Niekrasowa — a na zebranie Zarządu Moskiewskiego Oddziału Związku Pisarzy, gdzie po ojcowsku zwoływano go za jego niewłaściwe zachowanie i zażądano, by Sołżenicyna potępił. Jewtuszenko odmówił i napisał nowy list, tym razem do *New York Times'a*. Jak zwykle u Jewtuszenki list był dwuznaczny. Przede wszystkim Jewtuszenko skarży się amerykańskiemu czytelnikowi, że urzędnicy sowieccy uważają go za osobę „politycznie podejrzaną”, jego — autora pieśni *Chotiat' li russkije wojny?* (Czy Rosjanie chcą wojny?), sławiącej heroizm narodu sowieckiego w czasie wojny, poematu *Bratskij GES*, sławiącego produkcyjne osiągnięcia klasy robotniczej, poematu *Uniwersytet Kazański* sławiącego tradycje rewolucyjne Rosji, „jego — autora wierszy o Wietnamie, czy o krwawych wydarzeniach w Chile”. Poeta skarży się, że „chcą usunąć go z ojczyzny sowieckiej sceny”, przyznaje, że czytał *Archipelag GUŁag* i że nie zgadza się z wieloma poglądami Sołżenicyna, ale „jak wielkie nie byłyby błędy Sołżenicyna — krwawe błędy okresu stalinowskiego nie dadzą się z nimi porównać”. Opowiada także o swoim zesłorocznym spotkaniu z młodzieżą na Syberii. W czasie dyskusji przy ognisku, osiemnastoletnia studentka wzniosła toast za Stalina. Wstrząśniętemu Jewtuszence wyjaśniła, że „w Stalina wierzył cały naród i z tą wiarą zwyciężył”.

Dwuznaczność listu i zachowanie Jewtuszenki są oczywiste: występując przeciw stalinowskiemu zbrodniom, przypominając swój wiersz *Naslednikom Stalina* (*Następcom Stalina*) stara się on za wszelką cenę zapomnieć o najważniejszej myśli *Archipelagu GUŁagu*, o tym, że wszystko zaczęło się jeszcze przed Stalinem, że wszystko zaczęło się od Lenina. Sankcje zastosowane wobec zbuntowanego Jewtuszenki (odwołano jego występ w moskiewskiej telewizji) znowu podniosły jego akcje na Zachodzie. Na posiedzeniu Związku Pisarzy, wśród oskarżeń o lekkomyślność i „niechęć wysłuchania koleżeńskich krytyki”, szczególnie

jeden zarzut zasługuje na uwagę. Urzędnik literacki Sergiusz Narowczatow zauważył: „Czy nie czas już, by Jewgienij Aleksandrowicz, któremu blisko do piątego krzyżyka, przestał bujać się na huśtawce, na której do dziś się kołysze?” A może to huśtanie przynosi korzyść narodowi sowieckiemu, a może Jewtuszenko już niedługo pojedzie na Zachód tłumaczyć błędy Sołżenicyna?

Orientując się jak długo cenzura przetrzymuje utwory literackie trudno przypuszczać, że czasopismo *Junost'* w lutowym numerze celowo wydrukowało wiersz Borysa Słuckiego *Nie zupełnie*. I choć to oczywiście zwyczajny zbieg okoliczności, trudno powstrzymać się od myśli, że poeta pisząc ów wiersz myślał o Sołżenicynie. Tym niemniej wydaje mi się, że są to najlepsze pod każdym względem słowa, którymi żegnano skazanego na banicję pisarza. Spróbuję przytoczyć ten krótki wiersz w całości:

*Zamordowany poniżeniem
A nie po prostu morderstwem
Niekiedy jednak powstaje
I grozi im wszystkim, wszystkim
Kto go poniżył, niszcząc
Przypuszczając, że to na zawsze.
U poniżonego
U rozdeptanego
Spotwarzonego
Oszeptanego
Jak drogocenny
Boży dar
Zostanie
Odważymy
Cios.
Zostanie słono-gorzki
Kwaśno-słodki
Niesmak w ustach
I zielony listek nadziei
Dążący ku górze.*

Ostatni tekst napisany przez Aleksandra Sołżenicyna na rosyjskiej ziemi, powstał w przeddzień aresztowania, jakby w przeczuciu tego co nastąpi. Po aresztowaniu żona przekazała go zagranicznym dziennikarzom. To, co Sołżenicyn napisał spodziewając się aresztowania, to apel o duchowe wyzwolenie. Jak możemy się im przeciwstawić? — pyta pisarz. Wydawałoby się, że brak nam sił, że nie mamy żadnych możliwości. „Nie, my możemy wszystko! — woła Sołżenicyn — ale oszukujemy sami siebie dla własnego spokoju. To nie ich wina, a nasza, tylko nasza”. Trzeba koniecznie uderzyć w samą podstawę fizycznego i moralnego ucisku. Za tę podstawę Sołżenicyn uważa kłamstwo „Kiedy gwałt wdiera się w spokojne życie ludzi, bezczelnie przynosi na swoim sztandarze słowa: 'Jam przemocli'. Ale przemoc szybko się starzeje. Po pewnym czasie traci pewność siebie. Żeby utrzymać się, musi wstąpić w sojusz z kłamstwem”. Sołżenicyn wzywa do odmowy udziału w kłamstwie i formułuje dziewięć

„Nie” wolnego człowieka: nie pisać, nie podpisywać, nie publikować niczego, co w najmniejszym stopniu zniekształca prawdę; nie kłamać, nie tylko w czasie prywatnych rozmów, ale i w publicznych wystąpieniach, na wykładach, na scenie; nie rozprzestrzeniać kłamstwa, czy tylko choćby zniekształcenia prawdy w twórczości artystycznej; nie przytaczać, ani ustnie ani pisemnie, żadnych cytat, żadnych dyrektyw, jeśli istnieją choćby najmniejsze wątpliwości co do ich prawdziwości; odmawiać uczestnictwa — wbrew woli — w demonstracjach, czy wiecach, nieść transparenty, czy plakaty jeśli się z nimi całkowicie nie zgadzamy; nie głosować „za” jeśli się gorąco nie popiera propozycji; nie głosować — ani jawnie ani tajnie — na ludzi niegodnych i budzących wątpliwości; odmawiać udziału w zebraniach, na których dokonuje się oceny różnych problemów w zniekształconej formie; wychodzić natychmiast z zebrania, czy przedstawień, na których wygłasza się słowa kłamliwe; nie prenumerować, nie kupować gazet i periodyków, w których informacja jest zdeformowana, lub prawda przemilczana. „Tak” — pisze Sołżenicyn — „na samym początku będzie ciężko... Ale dla każdego, kto chce być uczciwy, nie ma innego wyjścia”.

Tak dziwnie się składa, że kodeks moralny, sformułowany przez Sołżenicyna, w dużym stopniu przypomina myśli wyrażone przez Leszka Kołakowskiego w jego „Tezach o nadziei i beznadziejności”. Sołżenicyn nie znał artykułu Kołakowskiego, ale można przypuszczać, że podpisałby się pod wywodem polskiego filozofa: „Rozrost policyjnych metod rządzenia nie jest wynikiem zwiększonego oporu, lecz przeciwnie wynikiem jego braku”.

Bardziej znaczący dla postronnych jest inny tekst Sołżenicyna, opublikowany w marcu 1974 roku, ale napisany dużo wcześniej, na początku roku 1973, w formie *Listu do Przywódców Związku Sowieckiego*. Nie ma w tym liście niczego zaskakującego. Sołżenicyn dochodził do poglądów w nim wyrażonych poprzez swoje powieści i wyłożył je w pierwszym tomie *Archipelagu GUŁag*. W *Liście do przywódców...* poglądy te pisarz po raz pierwszy formułuje w pełni, w formie publicystycznej, nie pozostawiającej żadnych wątpliwości co do intencji autora. *List do przywódców...* — polityczny program, który wyrasta z refleksji o historii i losach Rosji pisarza, który sam ogłasza się rosyjskim nacjonalistą, spadkobiercą słowianofilów, proklamując, że „taki kolos jak Rosja, z tak szczególnymi duchowymi właściwościami i obyczajowymi tradycjami ma pełne prawo poszukiwania swej własnej drogi pośród ludzkości”. W tradycji zrodzonej z doświadczenia, „rosyjski nacjonalista” kojarzy się z pojęciem „rosyjskiego szowinizmu”. Od tego pojęcia Sołżenicyn jest jak najdalej.

W ciągu najbliższych 10-30 lat Sołżenicyn przewiduje dla swej ojczyzny dwa największe niebezpieczeństwa: wojnę z Chinami i „wspólną z zachodnią cywilizacją groźbę zagłady w ścisłości i smrodzie skażonej Ziemi”. I tylko jedno wyjście widzi pisarz z tej sytuacji — odwrót od ideologii marksistowskiej.

Prawie miliardowe Chiny napierają na całą Syberię, na którą

w pośpiechu wielkich społecznych spraw i kosmicznych przeobrażeń nie starczyło czasu. „To może stać się przyczyną wojny. Ale najpierwsza przyczyna grożącej wojny jest znacznie straszniejsza, ważniejsza i nieusuwalna — jest ona natury „ideologicznej”. Sołżenicyn uprzedza: „wojna z Chinami będzie kosztowała Rosję nie mniej niż 60 milionów istnień ludzkich... Po takiej wojnie naród rosyjski praktycznie przestanie istnieć”. Jeśli jednak przestanie istnieć waśń ideologiczna, „spór o to, kto wierniej rozumie, interpretuje i kontynuuje naukę Ojców Postępowego Światopoglądu”, to wojny chińsko-sowieckiej raczej nie będzie — utrzymuje Sołżenicyn.

Drugie podstawowe niebezpieczeństwo — to „ślepy zaulek zachodniej cywilizacji, do której i Rosja dawno zgłosiła swój akces”. Zgadzać się z tezami Teilhard'a de Chardin i „Klubu Rzymskiego” o nieuniknionej katastrofie w wyniku nieprzerwanego ekonomicznego rozwoju i w jego konsekwencji — masowej zagłady ludzkości w pierwszych dziesięcioleciach XXI wieku — Sołżenicyn uważa za konieczne wprowadzenie na świecie „ekonomiki regularnego wzrostu”. „Związek Sowiecki — twierdzi — ma pełne szanse, żeby przetrwać i ekonomicznie i fizycznie. Ale od możliwości ratunku odgradza nas Jedyne Postępowy Światopogląd: jeśli powstrzymamy się od dalszego rozwijania przemysłu, to co wtedy z klasą robotniczą, z socjalizmem, komunizmem, z nieograniczonym wzrostem wydajności pracy itd.”

Ratunek przed zagładą grozącą zachodniej cywilizacji Sołżenicyn widzi w działaniu podjętym w dwóch kierunkach. Pierwszy to „skoncentrowanie się na zagospodarowaniu (w ramach stabilnej, nieprogresywnej ekonomiki) rosyjskiego Północno-Wschodu; północno-wschodniej części Rosji europejskiej, północy części azjatyckiej oraz głównego masywu Syberii”. Na poszerzonych północno-wschodnich obszarach „jeszcze nie zniekształconych naszymi błędami”, Aleksander Sołżenicyn proponuje rozpocząć budowę nowej Rosji według rosyjskich wzorów. Ale by stało się to możliwe — tu Sołżenicyn wyznacza drugi kierunek ratunku — konieczne jest, aby Rosja „zrezygnowała z obcych jej, fantastycznych światowych celów”. Kierowanie się ideologią marksistowską, naśladowanie Zachodu, wszystko to zapędziło Rosję w ślepy zaulek ekonomiczny. Kierowanie się ideologią marksistowską w polityce prowadzi do rozprzestrzeniania się idei światowej rewolucji, do postawienia sobie niewykonalnych, niewypełnialnych i niepotrzebnych nam celów przewrodenia świata.”

Powrót w kierunku „Północno-Wschodu” powinien — zdaniem Sołżenicyna — „wcześniej, czy później doprowadzi nas do tego, byśmy przestali otaczać 'opieką' Europę Wschodnią. Nie może być także mowy o zatrzymywaniu siłą w granicach naszej ojczyzny jakiegokolwiek kresowego — 'ukrainnego' narodu”.

Niestety, pisarz ogranicza się tutaj tylko do jednego zdania nie precyzując co rozumie pod sformułowaniem „narodowości kresowej”. Jeśli przyjąć, że rozumie ten termin tak, jak sowiecka konstytucja, w której prawa federalne przysługują tylko republi-

kom mającym zewnętrzne granice, to w tym wypadku zwrot „narodowości kresowej” odnosiłby się do wszystkich sowieckich republik z wyjątkiem RSFSR. Sołżenicyn jednak jasno i dobitnie podkreśla: „Potrzeby wewnętrznego rozwoju są dla nas — jako narodu — nierównie ważniejsze, niż potrzeby zewnętrznego poszerzania naszej siły. Cała historia świata wykazuje, że narody, które budowały imperia zawsze ponosiły duchowe straty. Cele wielkiego imperium i moralne zdrowie narodu są sobie zawsze przeciwstawne. Nie mamy prawa podejmowania między-narodowych celów i płacenia za nie w chwili, gdy nasz naród znajduje się w takim moralnym spustoszeniu i dopóki uważamy się za jego synów”.

Ogłaszając, że jest „nacjonalistą, patriotą” — pisarz dochodzi do wniosku, że „patriotyzm oznacza zaprzeczenie marksizmu”, a zaprzeczenie marksizmu prowadzi do odrzucenia konieczności rosyjskiego imperium, konieczności, która tylko przeszkadza i która brzemienne jest w niebezpieczeństwie osłabiające naród i państwo. Pisarz wzywa „przywódców”: „Odrzućcie tę rozbitą ideologię! Ściągnijcie, zrzućcie z nas wszystkich tę przepoconą, brudną koszulę, na której już tyle krwi, że nie pozwala ona oddychać żywemu ciału narodu”.

Wzywając „przywódców” Związku Sowieckiego do wyrzeczenia się ideologii, Sołżenicyn od razu uprzedza i uspokaja swoich adresatów: „Nie zapomnieliśmy ani przez chwilę, że z was... krańcowi realściści... Jesteście wyłącznie realistami i nie dopuścicie, żeby władza wymknęła wam się z rąk... I, patrząc na wszystko realistycznie, trzeba przyznać, że jeszcze na długo starczy wam siły... Na długo — lecz nie wiecznie”. Przedstawiając swój „realistyczny program” Sołżenicyn ogłasza siebie „przeciwnikiem w ogóle wszelkich rewolucji oraz zbrojnych przewrotów — a więc także i w przyszłości: i tych których pragniecie wy (nie u siebie), i tych których się obawiacie (u nas). Dzięki studiom przekonałem się, że masowe krwawe rewolucje zawsze okazują się zgubne dla narodów wśród których się odbywają”. Odrzucając rewolucję jako środek przebudowy państwa i społeczeństwa, Sołżenicyn widzi przyszłość Rosji w ustroju autorytatywnym, opartym jednak na silnych podstawach moralnych. Swoje wnioski opiera na historii Rosji, „która nigdy nie miała tradycji demokratycznych i tysiąc lat żyła w ustroju autorytatywnym — i jeszcze do początku dwudziestego wieku potrafiła zachować fizyczne i duchowe zdrowie swego narodu”, gdyż znajdowała silne oparcie w prawosławiu.

Nie wykraczając poza ramy twardego realizmu pisarz zadaje pytanie: „Możliwe, że w wymiernej przyszłości — czy tego chcemy, czy nie, czy postanowimy tak, czy inaczej — Rosji i tak przeznaczony jest ustrój autorytatywny? Może tylko do takiego systemu Rosja dziś dojrzała?” Jeśli tak jest, to być może — proponuje Sołżenicyn — wystarczy, pozostawiając dzisiejsze kierownictwo, odbudować rzeczywistą władzę rad — takich jakie istniały do szóstego lipca 1918 roku, niezależnych od ideologii

i zacząć realizować konstytucję z 1936 roku, która — choć ani przez jeden dzień nie była przestrzegana, może nie jest „bezna-dziejna”. Jednak niezbędne jest — i to pisarz twardo stwierdza — rozstać się z ideologią, odrzucić zgubne dążenie do światowego przywództwa i zacząć realizować narodowe cele: uratować Rosję od wojny z Chinami i od technologicznej zagłady.

Program Aleksandra Sołżenicyna zawiera elementy, które mogą się wydać naiwnymi. Nie można jednak odmówić mu wielkiego znaczenia. Przede wszystkim jest to program realny. Po drugie, to program, który bierze pod uwagę nie tylko historyczne tradycje Rosji, lecz także nastroje szerokich warstw ludności, które ze strachem obserwują Chiny i ze wstrętem przyglądają się tak zwanym przyjaciółom na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Specjalnie ważne jest i to, że program odrzuca nową krwawą rewolucję, której Rosja boi się panicznie. Nie bez znaczenia jest propozycja zachowania znanych form ustroju państwowego — rad, a także konstytucji 1936 roku. W końcu, program Sołżenicyna wyraża rozpowszechniony we wszystkich warstwach ludności strach przed moralną pustką, w której żyje dziś naród rosyjski, odrzucający marksizm jako moralne oparcie.

Utalentowany pisarz Włodimir Maksimow, autor powieści *Siem dniej tworzenia* i *Karantin*, usunięty w zeszłym roku ze Związku Pisarzy Sowieckich, otrzymał w lutym 1974 roku zezwolenie na roczny wyjazd do Francji — takie samo zezwolenie otrzymali wcześniej Andriej Siniawski i Zores Miedwiediew. W czasie konferencji prasowej w Paryżu, Maksimow podkreślił: „Sołżenicyn znany był dotąd w kręgach inteligencji. Po wydaniu *Archipelagu GULag*, rozpowszechnionego przez radiostacje zagraniczne, zaczął być popularny wśród prostych ludzi...”. Można więc przypuszczać, że Program Sołżenicyna zdobędzie sobie podobną popularność.

ADAM KRUCZEK

Kronika czeska i słowacka

DWIE TENDENCJE W POLITYCE KULTURALNEJ

Na jesieni 1973 należy odnotować nawrót do represji w dziedzinie kulturalnej. W sierpniu ub. roku niespodziewanie składa „samokrytykę” poeta Miroslav Holub (patrz: *Kultura* nr 12/315); w jego ślady poszedł słowacki autor Pavol Stevček, były redaktor naczelný tygodnika *Kulturný Život*. Sam fakt składania publicznych samokrytyk to jeszcze nie nowego, ale zaskakujące w obu deklaracjach jest użycie tych samych zwrotów, jak „leżeje niedawnej przeszłości”, „otwarcie oczu”, jak wyrazy miłości do „wielkiej literatury rosyjskiej i sowieckiej”, jak wreszcie apel do innych

pisarzy o ściślejszą współpracę z sowieckimi kolegami. Nie trzeba oczywiście dodawać, że obie deklaracje zawierały identycznie niemal sformułowane wyrazy oddania wobec reżimu. Jedyną różnicą jest tylko to, że podczas gdy Stevček pisze wyłącznie o sobie, Holub denuncjuje innych. Istnieją zatem poważne przypuszczenia, że obie deklaracje powstały z tej samej inspiracji, jeśli nie były pisane tą samą ręką. Znany jest przypadek pisarza Oty Filipa, skazanego w roku 1970 na 18 miesięcy więzienia za „działalność wyrototową”, którego zmuszono do współdziałania w propagandowym filmie. Znów na łamach prasy partyjnej podnieśli głos amatorzy „pryncypialnych rozwiązań”. *Rude Pravo* zwracało wówczas uwagę na konieczność podporządkowania się artystów zasadom zwierzchnictwa partii, zaś twierdza ortodoksów *Tribuna* wręcz domagała się od twórców zdania rachunku za postawy i czyny w „latach kryzysu”.

Pisarze opozycyjni, nie mając żadnej możliwości wypowiadania się za pomocą krajowych środków przekazu, czynią to za pośrednictwem poważnych organów, głównie zachodnioeuropejskich. Podkreślają oni bowiem swą przynależność do kręgu kultury europejskiej. Ludvík Vaculík, w wydawczym dla tygodnika *Die Zeit*, podkreśla konieczność zachowania poczucia krytycyzmu — nie tylko w celu wypuklania stron negatywnych, ale również po to, aby umieć reagować na tendencje pozytywne, gdy takie wystąpią. Vaculík stwierdza dalej, że pisarz winien być gotów podjąć współpracę — gdy taka współpraca będzie możliwa. Pavel Kohout ze swej strony wskazał (w liście do nowego czeskiego ministra kultury Milana Klusaka), że sytuacja terroru sprawiła, iż w ciągu ostatnich czterech lat nie ukazało się żadne godne uwagi dzieło, a następnie potępił politykę represji wyrażającą się m.in. w konfiskacie zagranicznych honorariów.

Jak jednak wygląda obecne życie kulturalne w Czechosłowacji? Przede wszystkim uderza niewspółmierna ilość klasyków — i to zarówno na scenach teatralnych jak i w postaci drukowanych książek. Mimo zamknięcia słynnego teatru „Za bramą” Otomara Krejcy, nadal wystawiane są na wysokim poziomie — na scenach 17 teatrów — dzieła Szekspira, Molière’a, Czechowa, Ibsena, ale również Shawa, Somerset Maughama, Agaty Christie, Anouilh’a, Artura Millera etc. Autorów rodzimych mało, ale oprócz klasyków czeskich wystawiane było dzieło Bohuslava Martinu, który zmarł jako emigrant.

Dużą frekwencją cieszą się tzw. małe sceny (*Rococo, Lyra Pragensis*), znów pojawiają się nazwiska twórców dawniej odsuniętych (jeden z czołowych aktorów teatru Krejcy, Jan Trziszka, grał główną rolę w telewizyjnej wersji książki Helene Parmelin „Czarne i Białe”).

Określenie „mała stabilizacja” chyba dobrze pasuje do obecnego etapu naszego południowego sąsiada. Ostre strzelanie z ciężkiej artylerii wydaje się ustępować umacnianiom „zdobyczy”, a to z kolei oznacza bardziej spokojny ton, skoncentrowanie się na sprawach natury ogólnej, niekiedy teoretyzowanie. Ale, rzecz jasna, nie znaczy to, że w kraju zapanowała idylla. Tak dobrze niestety nie jest, i nadal spotkać można na łamach *Rudego Prava* czechosłowackiego ucznia pana Walichnowskiego — J. Bohatkę, który w serii artykułów stara się udowodnić, jak to syjonisci współpracowali z nazistami w czasie okupacji. Nie przemilczała również prasa czechosłowacka sprawy Sołżenicyna — ale o dziwo — przeważają materiały czysto rosyjskie, co mogłoby wskazywać na pewien opór w czechosłowackim kierownictwie. Tak samo prasa czechosłowacka chętnie publikuje głosy bratnich organów w tej sprawie — np. *Trybuna Ludu*.

Jak wspominałem, jednak coraz więcej jest „konsolidacyjnych podsumowań”, z których warto by wymienić opublikowany przez kwartalnik *Seszyty Notinarze* cykl wykładów dra Bohumira Bartosza na temat psychologii propagandy. Jest to dość obszerna praca, usiłująca w sposób teoretyczny uzasadnić sposoby oddziaływania na psychikę ludzką w celu kształtowania pożądanych postaw. Autor na wstępie zaznacza, iż celem oddziaływania jest nie tylko jednostka ludzka, wraz z określonymi postawami, ale również kształtowanie opinii publicznej która, jego zdaniem, nie jest tożsama z postawami jednostek. Opinia publiczna powstaje jako wynik działania politycznego, nie jest jednak odzwierciedleniem tych stanowisk, może natomiast przyczynić się do ich zmiany. Jest to przyznanie szczerze, jakiego trudno było się dotychczas doszukać i wypowiedziane w sposób bardziej lub mniej oficjalny, z zastrzeżeniem, iż skuteczność tego oddziaływania zależy od jego *statego* (podkreślenie moje — K.S.) charakteru. Bartosz pisze przy tym, że tak pojmowana opinia publiczna może doprowadzić do dymisji ministra, ale że należy stale ją kontrolować, bo może również doprowadzić do katastrofy, czyli „kontrrewolucji”.

Wiele miejsca poświęca Bartosz zadaniom kontrpropagandy, bo przecież „dywersja ideologiczna” istnieje, i jej wpływy należy izolować. Nie wyjaśnia jednak w jaki sposób chce oddziaływać na „ukryte postawy”, i jaką ma pewność, że właśnie owe „ukryte postawy”, z którymi chce walczyć, zostaną ostatecznie przezwyciężone.

Autor jest jednak szczery gdy stwierdza, iż skuteczność propagandy zależy od wewnętrznego przekonania jej realizatorów. Pisać należy zatem będąc wewnętrznie przekonany, a nie pod wpływem (tu Bartosz porusza szereg tabu) troski o utratę warunków egzystencji. Nie powinno się, zdaniem Bartosza, wyłącznie wyśmiewać, potępiać w czambuł etc., trzeba się bowiem liczyć ze stopniem przyswajalności przez odbiorców spreparowanej substancji. W sumie Bartosz nie jest żadnym odkrywcą, ale po latach szczucia widać u niego nutkę refleksji, a to właśnie wskazywałoby na nowy etap.

Karol SZWEDOWICZ

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Sprawy i troski

Emigranci w Australii

Żywoć emigranta nie jest łatwy i aby doń przywyknąć często potrzeba wielu lat.

Wybierając status emigranta można jednak w dużej mierze, ustrzec się od późniejszych rozczarowań jeszcze przed wyładowaniem w nowym kraju, przez przestudiowanie na zimno jak największej ilości informacji dotyczących kraju do którego planuje się wyemigrować. A w wielu wypadkach niestety tak nie jest.

Nierzadko dowiadujemy się z prasy czy też z rozmów prywatnych o wypadkach niezadowolenia i rozczarowania wśród nowoprzybyłych osiedleńców, ponieważ rzeczywistość z jaką spotkali się po przyjeździe do kraju osiedlenia nie jest taka, jak sobie pierwotnie wyobrażali, często formułując opinie na opisach zawartych w listach od stęsknionych, ale przywykłych do życia wśród obcych, członków rodziny, lub nawet na podstawie informacji, zaczerpniętych z reklamowych broszurek turystycznych. Stawne powiedzenie „jakoś tam będzie” również rzadko zdaje egzamin.

Nie dotyczy to rzecz jasna tylko polskich imigrantów. Tu, w Australii, za jednych z najbardziej utyskujących uważani są słusznie zresztą, imigranci z Wielkiej Brytanii, którzy zdawałoby się powinni czuć się tu najlepiej ze wszystkich grup etnicznych. Celem niniejszego artykułu jest przekazanie trochę informacji, mogących zainteresować tych, którzy mają zamiar na stałe osiedlić się w Australii.

Australia jako kraj osiedlenia w dalszym ciągu jest dla wielu atrakcyjna. Może nie w takim stopniu, jak w latach 1969 czy 1970, kiedy liczba nowych osiedleńców wzrastała o przeszło 180 tysięcy osób rocznie, ale jako kraj osiedlenia utrzymuje się nadal w czołówce światowej.

Obecny rząd labourzystowski wprowadził z początkiem roku bieżącego kilka zasadniczych zmian w polityce imigracyjnej

Australii. Przede wszystkim zniesione zostały ustawy utrudniające imigrację osób nie należących do rasy białej. Dawna dewiza *White Australia Policy* obecnie nie istnieje.

Druga, poważna zmiana dotyczy systemu rekrutacji imigrantów. Dawniej koncentrowano się na rekrutacji sił roboczych — obecnie stosowany jest system bardziej selektywny: zwraca się uwagę nie tyle na kwalifikacje fizyczne kandydata na imigranta, ile na jego powiązania rodzinne z mieszkańcami Australii, albo specjalną przydatność w ekonomii kraju.

Obecna polityka imigracyjna Australii sformułowana jest mniej więcej następująco. Ze względów humanitarnych pierwszeństwo ma łączenie rodzin, tj. kiedy mieszkańcy Australii chcą sprowadzać żony, dzieci lub swych rodziców. Wszyscy członkowie najbliższej rodziny sprowadzającego, aby otrzymać prawo wjazdu do Australii muszą mieć tylko dobre zdrowie i dobrą opinię.

Mieszkańcy Australii mogą również sprowadzać dalszych członków rodziny jak również osoby, których kwalifikacje zawodowe potrzebne są społeczeństwu australijskiemu. Pod uwagę będą również brane podania osób nie sponsorowanych przez mieszkańców Australii, które jednakże wykażą, że nie będą ciężarem dla społeczeństwa, będą mogły się dopasować do życia w społeczeństwie tutejszym, cieszą się dobrym zdrowiem i dobrą opinią oraz chcą osiedlić się na stałe w Australii i przyjąć obywatelstwo tego kraju. Należy tu jednak dodać, że — jak wywnioskować można z licznych wypowiedzi ministra imigracji A. Grassby — polityka imigracyjna zsynchronizowana będzie z wymogami australijskiego rynku pracy. Nie wyklucza to zatem możliwości sponsorowania imigrantów przez zakłady przemysłowe.

Obecny (tj. 1973-1974) program imigracyjny przewiduje przyjazd 110 tys. nowych osiedleńców. W liczbę tę wchodzi tak zwani *assisted migrants*, tj. tacy, którym rząd australijski pokrywa większość kosztów podróży — imigrant płaci tylko \$A 75 tytułem kosztów biletu — jak i ci, którzy sami opłacają podróż względnie korzystają z pomocy sponsorów.

Z pomocy rządowej w opłatach przejazdu do Australii korzystać mogą ci, których podania o *assisted passage* są aprobowane przez przedstawicieli australijskiego ministerstwa imigracji. Dodatkowe informacje dotyczące pomocy w opłatach przejazdu otrzymać można w australijskich biurach konsularnych.

Po wylądowaniu w Australii imigranci korzystający z *assisted passage* za stosunkowo niską opłatą otrzymają mieszkanie i pełne utrzymanie w hostelach imigracyjnych.

Hostele te przewidziane są na danie imigrantom schronienia do czasu znalezienia przez nich prywatnego mieszkania.

Ministerstwo imigracji zatrudnia również takich specjalistów jak socjologowie, pracownicy społeczni, tłumacze, nauczyciele języka angielskiego itp., którzy są do dyspozycji nowych osiedleńców. We wszystkich dużych miastach istnieje państwowe, bezpłatne pogotowie tłumaczy, z którymi można skontaktować się

telefonicznie. Takie instytucje jak np. banki, utrzymują specjalne biura doradcze dla imigrantów, w których zatrudniani są urzędnicy znający obce języki. Nowo przybyli mogą, w razie potrzeby, zwracać się o radę czy pomoc do organizacji społecznych, jak Katolickie Biuro Imigracyjne, Towarzystwo św. Wincentego à Paulo czy *Good Neighbour Council*. We wszystkich większych skupiskach działają polskie organizacje społeczne, zaś ich federacje w poszczególnych stanach Wspólnoty Australijskiej mają zazwyczaj referenta opieki społecznej lub biuro porad. Bardzo ważną rolę odgrywają również dwa tygodniki polskie, melbournski *Tygodnik Polski* i sydneyjskie *Wiadomości Polskie*, które oprócz informacji drukowanej, niezmiernie ważnej dla wszystkich nowo przybyłych, nie rzadko udzielają rad prywatnych. Specjalną rolę spełniają polscy księża, którzy będąc w stałym kontakcie z osiedleńcami, dobrze orientują się w potrzebach nowo przybyłych.

Jak wynika z powyższego, imigranci po przybyciu do Australii nie zostają na lodzie i wykazując minimum inicjatywy mogą skontaktować się z odpowiednią instytucją lub organizacją, która posłuży radą czy w razie potrzeby pomocą.

Opieka Społeczna

Każdy stały mieszkaniec Australii, bez względu na obywatelstwo, jakie posiada, może ubiegać się w razie potrzeby o następujące świadczenia społeczne:

Zapomogi dla bezrobotnych; Zapomogi dla chorych; Zasiłki dla dzieci; Zapomogi dla matek; Zasiłki dla sierot; Renty inwalidzkie; Renty wdowie; Renty starcze; Renty dla gruźlików; Renty dla samotnych matek.

Pierwsze pytanie, najczęściej zadawane w rozmowach na temat świadczeń społecznych, jest: jak długo trzeba przebywać w Australii, aby móc się o nie ubiegać?

Odpowiedź na powyższe pytanie zależy od świadczenia, o jakie się ubiegamy.

Na przykład o zapomogę dla matek mogą się ubiegać wszystkie matki zaraz po urodzeniu dziecka w Australii lub w drodze do Australii — jeśli mają zamiar osiedlić się w Australii na stałe.

Zapomoga ta wypłacana jest jednorazowo po urodzeniu dziecka i wynosi \$A 30.

Zasiłek dla dzieci wypłacany jest wszystkim stałym mieszkańcom Australii, którzy mają pod swoją opieką jedno lub więcej dzieci do lat 16 lub młodzież studiującą do lat 21, jeżeli obok studiów nie zajmują się pracą zarobkową. Wysokość zasiłku dla dzieci waha się w granicach od 50 c. (1 dziecko) do \$A 11 (6 dzieci) tygodniowo. Do zapomogi dla bezrobotnych i zapomogi dla chorych ma prawo każdy stały mieszkaniec Australii, jeżeli przebywa tu w chwili zgłoszenia się o taką zapomogę. Wysokość za-

pomogi zależna jest od dochodów tygodniowych petenta. Obecna maksymalna stawka wynosi \$A 3 tygodniowo dla osoby samotnej, \$A 40,50 dla mężczyzn mających na utrzymaniu nie pracującą zarobkowo żonę.

O rentę wdowią ubiegać się może każda kobieta, która będąc stałą mieszkanką Australii owdowiała, rozwiodła się, została porzucona przez męża na okres co najmniej sześciu miesięcy, albo której mąż został uwięziony na okres co najmniej sześciu miesięcy lub też został umieszczony w szpitalu dla umysłowo chorych. Niezbędnym warunkiem jest to, aby mąż ubiegającej się o wyższą rentę był również stałym mieszkańcem Australii. W innym wypadku rentę wdowią można otrzymać dopiero po pięciu latach stałego pobytu w Australii. W wypadku, gdy mąż zmarł za granicą, zaś żona stale mieszkała w Australii, otrzyma ona rentę wdowią natychmiast po złożeniu podania. Po dziesięciu latach stałego pobytu w Australii każdy, kto przekroczył wiek emerytalny (65 lat dla mężczyzn, 60 dla kobiet) ma prawo do otrzymania renty starczej. O rentę starczą można również ubiegać się, gdy w chwili osiągnięcia wieku emerytalnego mieszkało się w Australii bez przerwy przez np. 5 lat zaś z przerwami przez 15 lat, lub np. 8 lat bez przerwy, a 12 z przerwami. Innymi słowy: suma lat stałego zamieszkania i zamieszkania z przerwami musi wynieść dwadzieścia lat, poczynając od wymaganego minimum tj. pięciu lat. Ta sama formuła stosowana jest wobec osób ubiegających się o renty inwalidzkie pod tym jednak warunkiem, że petent stał się inwalidą w Australii. Obecna maksymalna stawka tygodniowa rent starczych, wdowich, inwalidzkich, zapomóg dla bezrobotnych, chorych itp. wynosi \$A 23, dla osób samotnych.

Piszę „maksymalna”, ponieważ wysokość świadczeń zależna jest od dodatkowych tygodniowych dochodów petenta lub jednego z małżonków. Stawka ta wynosi mniej więcej 1/5 przeciętnych poborów tygodniowych brutto mężczyzn w Australii.

Jak już wspominałem, celem tego artykułu jest tylko naświetlenie po krótko niektórych spraw ważnych dla wszystkich noszących się z zamiarem osiedlenia się wśród nas na Antypodach. Naświetlenie te opieram na oficjalnych publikacjach odpowiednich departamentów rządu federalnego.

Lecznictwo

W zasadzie osoby zarabiające na życie i utrzymywane przez nie rodziny nie są upoważnione do korzystania z darmowego leczenia. Z wyjątkiem stanu *Queensland* — gdzie mieszkańcy upoważnieni są do darmowego leczenia w szpitalach publicznych — opłaty lekarskie i szpitalne pokrywane są przez samych pacjentów z tym, że pobyt w szpitalu subsydiowany jest w pewnym stopniu przez rząd federalny. Aby ustrzec się od pokrywania z własnej kieszeni wysokich opłat za leczenie, mieszkańcy Austra-

lii ubezpieczają się w specjalnych organizacjach. Ubezpieczenia te nie są przymusowe, ale tylko ludzie nieroztropni nie korzystają z nich.

Do darmowego leczenia upoważnione są przede wszystkim osoby pobierające renty starcze, zaś osoby korzystające z takich świadczeń społecznych jak zapomogi dla chorych lub bezrobotnych, otrzymują pomoc rządową w postaci pokrycia premii ubezpieczeń lekarskich. Dla orientacji podaję opłaty za jeden dzień pobytu w publicznych szpitalach w stanie Victoria: w salach ogólnych \$A 20, na oddziałach pośrednich \$A 30, zaś w pokojach prywatnych \$A 40. Opłaty członkowskie ubezpieczalni społecznych wahają się w granicach od \$A 5,11 do \$A 7,80 miesięcznie dla osób samotnych, zaś dla osób mających na utrzymaniu rodziny od \$A 10,22 do \$A 15,60 miesięcznie. Ubezpieczenie takie pokrywa większość kosztów związanych z leczeniem i pobytem w szpitalu. Można ubezpieczyć się tylko na pokrywanie kosztów leczenia szpitalnego. Wysokość składki płaconej przez ubezpieczonego od \$A 2,60 do \$A 5,29 miesięcznie dla samotnych a \$A 5,16 do \$A 10,57 miesięcznie dla rodzin upoważnia go do proporcjonalnego zwrotu kosztów za pobyt w szpitalu.

Obecny rząd Partii Pracy zamierza wprowadzić ogólne, przymusowe ubezpieczenia lekarskie, które umożliwiłyby wszystkim mieszkańcom darmowe leczenie i pobyt w szpitalach publicznych na salach ogólnych. Propozycja ta spotkała się jednak ze stanowczym sprzeciwem ze strony większości lekarzy oraz właścicieli prywatnych szpitali. Wobec jej kontrowersyjności, decyzja w tej sprawie jeszcze nie zapadła.

Kwalifikacje zagraniczne

Przez wiele lat kwalifikacje zawodowe — tak uniwersyteckie jak niższe — zdobyte przez imigrantów za granicą nie były łatwo uznawane w Australii. Ostatnimi czasy nastąpiła pod tym względem znaczna poprawa. Stopnie uniwersyteckie uzyskane poza Australią są coraz częściej uznawane. Istnieją w tym celu specjalne komisje weryfikacyjne badające kwalifikacje zagraniczne. Ponieważ znajomość języka angielskiego jest nieodzowna do otrzymania odpowiedniej pracy rząd prowadzi liczne, bezpłatne kursy nauki języka angielskiego szczególnie dla osób z kwalifikacjami zawodowymi. Kursy prowadzone są przez specjalnie przygotowanych do tych zadań wykładowców australijskich. W okresie uczęszczania na kurs intensywnej nauki języka angielskiego, który trwa przez osiem tygodni 8 godzin dziennie, uczestnik otrzymuje specjalną zapomogę w wysokości \$A 33 tygodniowo.

Mimo stosunkowo nielicznych głosów sprzeciwu, hasło *Populate or perish* (załudnić lub zginąć) w obecnych czasach nie straciło znaczenia na aktualności. Rosnący przemysł, kopalnictwo, budownictwo potrzebują stale nowych rąk do pracy. Mimo zmiennej nieco polityki imigracyjnej władze podchodzą do zagad-

nienia tego realistycznie. Starają się pomóc nowoprzybyłym osiedleńcom i zachęcić ich do pozostania tu na stałe. Problem odpływu imigrantów jest studiowany przez władze bardzo dokładnie. Postulaty, wysuwane przez specjalne komisje badające problemy imigracyjne, są przez rząd brane poważnie i wprowadzane w życie. Zmiana procedury selekcji rekrutowanych imigrantów, pogotowie tłumaczy, czy wprowadzanie specjalnych programów nauczania dzieci imigrantów wpływają bezpośrednio z rekomendacji Komitetu dla Spraw Socjalnych przy powołanej przez rząd federalny Radzie Imigracyjnej. Komitetowi temu przewodniczył profesor Jerzy Zubrzycki z Australian National University.

Przez Australię przepływa obecnie fala nacjonalizmu, rząd stara się wzbudzić jak największe poczucie przynależności narodowej i niezależności państwowej. Rozpisano konkurs na nowy hymn narodowy, który ma zastąpić grany obecnie hymn brytyjski, rozluźnia się więzy z Wielką Brytanią, nie przyjmuje się odznaczeń nadawanych przez królową, w rodzaju tytułów szlacheckich i orderów cywilnych itp. Imigranci zachęceni są do przyjmowania obywatelstwa australijskiego. Osoby znające jako tako język angielski mogą dostać obywatelstwo po trzyletnim pobycie w Australii, w innym wypadku trzeba poczekać 5 lat. Nie trzeba zdać żadnych egzaminów, ani nawet składać przysięgi na wierność — wystarczy przyrzeczenie. Australijczycy przywykli już do różnorodnego tłumienia imigrantów, który jeszcze dziesięć lat temu tak ich raził. Drugie pokolenie powojennych imigrantów pokończyło już uniwersytety i obejmuje kierownicze stanowiska w handlu, przemyśle szkolnictwie, służbie państwowej i w wojsku. Australia może nie jest taką „ziemią obiecaną”, jaką przed laty dla wielu Europejczyków były Stany Zjednoczone, ale jest krajem młodym, prężnym i stale rozwijającym się. Krajem bogatym w dobra naturalne i przestrzeń. O wysokiej stopie życiowej. Nie należy jednak do typu *welfare state*, chociaż widoczne są tendencje rządu Partii Pracy w tym kierunku. A już na pewno ulice nie są „brukowane złotem”.

Jerzy DOBROSTANSKI

Melbourne, 27 listopada 1973.

Kraj

Którzy są...

1.

Ten „którego nie było” nazywał się Rafał Wojaczek. Pisał swoje strofy tanimi długopisami, które rozmazują tusz. Pisał żółcią i krwią serdeczną. Pisanie było jedyną jego prawdą. Był sam, bo cena jest zawsze taka sama. Nie jest moim zamiarem pisać o nim patetycznie, nie chciałbym pisać na klęczkach, bo to nie najlepszy punkt widzenia. Ale chciałbym powiedzieć coś o Wojaczku serio. Także o poetach pokolenia „70”. Bez wygłupów, bez min — bo tego jest zawsze za dużo.

Wojaczek był nihilistą. Nihilistą ostentacyjnym, bardzo wschodnioeuropejskim. Oznacza to tyle, że w każdym jego przekleństwie jest równocześnie modlitwa. Bo był to nihilista, który jednocześnie żarliwie szukał wartości. Katharystyczna funkcja tych wierszy jest niezwykle wyraźna.

Wojaczek był poetą antynomii. Z nich utkana jest materia jego wierszy. One też określają granice jego wyobraźni, nastawionej na nieustanne poszukiwanie, a przez to otwartej we wszystkich kierunkach. Bowiem Wojaczek wiedział, że każdy spokój jest kruchy i okupiony strachem, że każdą chwilę radości trzeba ocalać przed nadciągającym zewsząd żywiołem bólu. Świat Wojaczka jest rozchwiany, jest w ciągłym ruchu, stwarza się wciąż na naszych oczach, w dialektycznej walce przeciwieństw. Świat Wojaczka jest piękny „w bólu”. Równocześnie nie ma w tej poezji żadnych aksjomatów. Wszystko trzeba sprawdzić. Wszystkiego doznać, aby potem nazwać. Wyobraźnia Wojaczka jest sceptyczna, burząca, ale jest to równocześnie wyobraźnia potrzebująca pewności i tej pewności poszukująca. W tym świecie bez wartości, jedną z wartości elementarnych jest dla Wojaczka miłość; o miłości Wojaczek pisze często. O potrzebie miłości. O jej niemożliwości.

Bolesne napięcie wyczuwalne w wierszach Wojaczka wynika z chwiejnej równowagi antynomii. W niej właśnie znajduje wy-

raz psychiczna huśtawka poety — miłość dla Wojaczka jest czysta i brudna, jest radosna i boli, trwa i mija, jest wyrażalna i nie do wyrażenia. Antynomie są jednorodne, jak dwa ramiona huśtawki, jak świt, w którym trwa jeszcze noc razem z zapowiedzią nadchodzącego dnia.

Miłość jest dla Wojaczka jeszcze jedną próbą odnalezienia wartości bezwzględnej. Ale jak już powiedzieliśmy, miłość jest także niemożliwa. Niemożliwa jest ucieczka od siebie do innych, niemożliwa od innych do siebie. Krucha radość sąsiaduje ze strachem, intensywność istnienia ociera się o granice bólu, miłość jest siostrą śmierci, krzyk niezauważalnie staje się milczeniem, wszystko naznaczone jest ostateczną klęską i zniszczeniem, wszystko zmienia się w swoje przeciwieństwo, każda nazwa jest niedostateczna, niedoskonała. Zostają tylko kartki zapisane literami — jedyny ślad istnienia — istnienia, które jest nieustanną walką ze sobą, ze śmiercią w sobie, ze światem. Świadomość ze swej ludzkiej, ontologicznej ograniczoności nie zatrzymuje poety przed próbą jej przekroczenia. Idąc ku samozagładzie, modli się po drodze: „Wysłuchać się do ogluchnięcia / Wpatrzeć się do oślepienia / Wdyszeć się do beztchu w piersiach / Wmyśleć do unicestwienia”. W każdym niemal wierszu Wojaczka jest żarliwa — chciałoby się powiedzieć dziecinna — niezgoda na swoją ludzką kondycję. Każdy wiersz jest wyrazem buntu przeciw wszelkim koniecznościom. Tym koniecznościom, które wyznacza umowa społeczna i tym również, które wyznaczone są fizjologicznymi funkcjami ludzkiego ciała. Choć Wojaczek wchłania świat gwałtownie, żarliwie i pospiesznie, jest stale głodny. Świat pozostaje ciągle na zewnątrz, wciąż tak samo daleki, niewyraźny i nienazwany. „Żyję nie widując gwiazd / mówię nie rozumiejąc słów / czekam nie licząc dni / aż ktoś przebiję ten mur”.

Gorączka i napięcie wierszy Wojaczka czynią je podobnymi do wierszy Rimbaud'a, tego Rimbaud'a, który zaklina: „Anno, Anno poślę swój głód na twoim ośle...”.

Ostatni azyl Wojaczka to poezja. Może dlatego jego wiersze odznaczają się niebywałą dyscypliną formalną. Tu Wojaczek postępuje zupełnie inaczej niż jego rówieśnicy. Stosuje wyrafinowaną wersyfikację, rytmizuje wiersz w sposób wyszukany, często używa dystychu. Dlatego tak ważna „ręki pewność, bo śmierć za murem wzniesionym z dwuwierszy”.

Obsesja śmierci, na którą powołują się wszyscy którzy pisali o Wojaczku, nie jest w gruncie rzeczy żadną obsesją. Śmierć to dla Wojaczka ostatnia granica, wierna towarzysząca wszystkim, ważnych i błahych — życiowych poczynaniach. Całe prędkie, rozrzucone życie przebiega w cieniu jej nieustannej obecności. Powiedzieliśmy już, że dla Wojaczka poezja była ostatnim azylem. Bowiem Wojaczek miał świadomość wartości tego co pisze. Ale jak zwykle u niego wszystko było uwikłane w nierozwiązywalne sprzeczności. Więc Wojaczek wiedział też, że wszystko zostało już zrobione, bo przecież każdy poeta ma do napisania

tylko kilka dobrych wierszy. I wtedy właśnie i poezja okazała się niemożliwa. Samobójstwo Wojaczka okazało się konsekwencją tej gorzkiej wiedzy.

Niewiele więc sensu mają ekspiacyjne szlochy rozlegające się jak Polska długa i szeroka. To miernoty podbijają sobie bębenek, usiłując zdyskontować wspólnie wypite kieliszki wódki.

Wojaczek był samotny. Był jedyny. Ale w pewnym sensie stał się równocześnie symbolem kolejnego „straconego pokolenia” Polski Ludowej, pokolenia przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Wiersz Wojaczka „Apocalypsis cum figuris” dedykowany Grotowskiemu, mógłby w moim przekonaniu stać się wręcz manifestem tego pokolenia: „Sól w nasze oczy, cały wagon soli / by nie powiedział kto, że go nie boli. / Piach w nasze oczy, cały Synaj piasku, / by nie powiedział kto, że widzi jasno.”. Ten tak gorzki, drapieżny wiersz, autoironiczny i patetyczny zarazem, kończy dystych: „i salwę w płuca, albo sznur na szyję, / by nie powiedział kto, że jeszcze żyję”.

2.

„Sztuka / polega na tym, aby iść ocierając się / o granit gwiazdy, a nie wbijać jej sobie w usta / przemyte spirytusem” — pisał Julian Kornhauser. Tej sztuki Wojaczek nie znał, a może nie chciał jej znać, tak jak nie chciał się zgodzić na żalosne życie na niby, pospieszne i byle jakie. Ale ta niezgoda jest wspólna całemu pokoleniu. Zastługą najmłodszej generacji poetów jest to właśnie, że nie chciała ona przyjąć narzuconych zasad gry. Wyimany ukłonów i uśmiechów. Całego tego pojedynku na miny. Ta najmłodsza generacja poetów, szybko zauważyła, że ubranka w jakie ją stroją są przyciasne. Pękają w szwach. To pokolenie, nazwane umownie pokoleniem „70” stanęło przed tajemniczą rzeczywistością, która domagała się rozpoznania i nazwania. Młodzi poeci postanowili się zmierzyć z tą rzeczywistością z całą odwagą i bezkompromisowością, z całą prawdziwą, gorzką wiedzą, która została im dana. Postanowili nie oszczędzać rzeczywistości zmistyfikowanej, która atakuje nas nieustannie przez urzędowe środki przekazu, która przelewa się z radioodbiorników, telewizorów, ze stron gazet i czasopism, rozbrzmiewa z niezliczonych mównic, z których wygłaszane są okolicznościowe przemówienia. Postanowili obnażyć pustkę frazesu, radosny szczebiot bezmózgich propagandystów, radosną twórczość polityków, publicystów i działaczy. Chcieli osuszyć „to morze bałtyckie przelane do kara-fek na mównice”.

Poeci pokolenia „70” postanowili przeciwstawić się „życiu na niby”, pospiesznemu, przypadkowemu, byle jakiemu. Narzędziem poety jest język. Ci młodzi zaczęli więc od postulatu zmiany języka, także języka poetyckiego:

„Najpierw mówimy tym samym językiem,
co domagający się zmiany, zmiany

*języka i kaloryferów, ciepłej drugiej
zmiany i zmiany kołnierzyków, mówmy
tym samym językiem uczciwości
i demagogii, językiem który wrósł
w nasze przejmujące milczenie...*

(J. Kornhauser)

Zaczęli więc od demistyfikacji języka — ten używany przez poetów najmłodszej generacji stał się bardziej potoczny, kolo-kwialny. Zniknęły prawie zupełnie wyrafinowane metafory tak chętnie używane przez poetów starszych. Ich język przystaje znacznie lepiej do opisywanego świata. Jest wieloznaczny, dialektyczny, ale także bardziej konkretny. Chciałoby się powiedzieć, że język ten jest bardziej demokratyczny. Poeci najmłodszej generacji mówią dziś tym samym językiem co ich rówieśnicy. I jest tak dlatego, że chyba po raz pierwszy w historii powojennej Polski, świadomość tego pokolenia poetów wiąże się ze świadomością młodych w Polsce. Najmłodsi poeci są dziećmi tej samej rewolucji obyczajowej, która z opóźnieniem dotarła także nad brzegi Wisły, Bugu i Odry. Młodzi poeci, tak jak ich rówieśnicy w Polsce, New Yorku, i Londynie tańczą nowoczesne tańce, słuchają Boba Dylana i Jimmy Hendrixa. Są równocześnie otwarci. Odważni. Nieprzypadkowo świadomość tego pokolenia poetów wydaje się niebezpieczna dla żonglerów polityki kulturalnej PRL. Więc jest też młode pokolenie poetów przedmiotem rozlicznych manipulacji. Tomiki poetyckie wydawane są w śmiesznie niskich nakładach, moment debiutu jest sztucznie przesuwany. (O tych sprawach w prasie krajowej pisał najciekawiej Adam Zagajewski). Na druk wierszy w tygodnikach, miesięcznikach czeka się miesiącami, a niekiedy nawet latami, i powołanie do życia miesięcznika literackiego młodych „Nowy wyraz” niewiele tu zmieniło. (Choć niewątpliwie był to wyraz pewnego kompromisu między władzami, a młodymi pisarzami).

Młoda generacja artystów (dotyczy to nie tylko literatury, a także teatru i filmu) wegetuje na marginesie oficjalnego życia kulturalnego kraju. Nie może zaistnieć w pełni. Jest zawieszona między „chcieć” i „móc”. I równocześnie w pełni zdaje sobie sprawę ze swej sytuacji. Jest skazana na ciągłą niedojrzałość, na tymczasowość, na pozostawanie w cieniu „oficjalnego życia kulturalnego. Ale poezja pokolenia „70”, poezja dojrzała i odpowiedzialna rzuca społeczeństwu wyzwanie.

„Wam, którzy jesteście pod wpływem przemożnej logiki

[codziennosci

strachu

i podłości

Dalszego socjalistycznego rozwoju osobowości — życzy święty
[Mikołaj].

(J. Kornhauser)

Gorycz, ironia i autoironia tych wierszy wynikają ze świadomości własnej sytuacji. Barańczyk, Bierzyn, Krynicki, Kornhauser, Zagajewski, Kronhold to poeci o bardzo różnych temperamentach, indywidualnościach. Ich wiersze różnią się od siebie, ale mają oparcie we wspólnej wiedzy na temat świata, który ich otacza. Jest to, jak już powiedzieliśmy, świadomość gorzka i naznaczona klęską. Wszyscy ci ludzie żyli i dojrzewali w Polsce Ludowej. Uczęszczali do socjalistycznych przedszkoli i szkół. Studiowali na socjalistycznych uniwersytetach. Uczyli się teorii Marksa z tych samych podręczników. Ale nie tylko z podręczników, bo także na ulicach, gdzie od kul wyprodukowanych przez proletariatusz w socjalistycznych fabrykach umierali inni proletariusze. Patrzyli i mieli otwarte oczy. Dziś chcą wiedzieć, a nie wierzyć. Żądają prawa do nieufności i są nieufni choć nikt im tego prawa nie dał. Ciągłe zawieszenie między swoimi możliwościami i dokonaniem, marzeniami i rzeczywistością, beznadzieją i potrzebą nadziei, próbują nazwać, to co nie zostało jeszcze nazwane i gwałtownie domaga się nazwy. Próbuje więc rozpoznać rzeczywistość w jakiej przyszło im żyć, działać i wyciągać ostateczne wnioski.

„Mamy wszystko” — pisze w wierszu pod ironicznym tytułem „Młoda kadra w służbie kraju” Julian Kornhauser:

„stadiony

*na których z naszych
wysportowanych ciał układamy
piastowskiego orła zwróconego
na zachód, szkoły, w których
uczymy się na pamięć opisów
litewskiej przyrody i anioła
stróża nocnego z opaską ORMO
na rękawie, który jedno skrzydło
utracił na wojnie światowej”.*

Gorycz, która wynika z bezsilności jest zwykle najbardziej dojmującą. Doskwiera im niedosyt, który konstatują ze zjadliwą ironią, czy autoironią bo są na razie pozbawieni szans na wydobyć się ze stanu ciągłej tymczasowości. Ale równocześnie dysponują silną bronią — sceptycyzm i ironia pozwalają im walczyć przeciw fałszywym wiarom i żudnym nadziejom, pozwalają obnażyć wszystkie kłamstwa i pół-prawdy, pozwalają osaczyć konkretną rzeczywistość w jej konkretnym kształcie.

W jednym z tomików Rafała Wojaczka znajdujemy wiersz pt. „Modlitwa bohaterów”:

*„Na brednię naszą i na naszą nędzę
Na zatwardziałość w naszym szaleństwie*

*I na naszego głodu głośny krzyk
Na dom nasz który opuściły sny*

*I na znikomość wszelkich naszych prac
Na koszmar nocy i na bezsens dnia*

*Na naszych mistrzów bezradnych i smutnych
Oraz na sędziów ponuro okrutnych
Na nasze serca obrzękłe wątroby
Na nasze wargi popękane szorstkie
Na rozstrzęsione fatalnie ręce
Oraz na mózgi w daremnej mecie*

*I na te płuca co bez powietrza
Na strach bezsenny Na koszmarny zegar*

*Na wszystko co jest udziałem naszym
Błagamy wzgląd miej ironiczna Pani*

Tak modlą się zmęczeni bohaterowie w państwie, które — jak chce Julian Kornhauser — jest „najwybitniejszym poetą polskim”. Intelktualna siła tego hasła jest tak wielka, że cenzurze wydawało się zbyt słabe, aby mógł w cytowanym tu już kilkakrotnie tomie wyjaśnić bliżej co ma na myśli. W związku z czym wiersz będący kontynuacją tego hasła w tomiku się nie znalazł.

Już z kilku cytatów, które nie dają rzecz jasna nawet wyobrażenia o całości zjawiska nazwanego „poezją pokolenia 70” można się domyślić dla czego sternicy polityki kulturalnej nie kochają zbyt i nie rozpieszczają młodych poetów. „*Between reality and idea falls the shadow*” — powiada nie bez racji poeta. W sytuacji gdy przemożna logika codzienności skarła nas i zmusza do codziennych kompromisów, które łatwo mogą zamienić się w zwykłe świństwa — świadomość, która mechanizmy te rozpoznaje i nazywa jawnie, otwarcie i wprost musi być świadomością niebezpieczną dla obrońców istniejącego porządku rzeczy.

Młodzi poeci znaleźli wspólny język ze swoimi rówieśnikami, nie da się o nich powiedzieć, że siedzą zamknięci w wieży z kości słoniowej. Wprost przeciwnie. Czego więc więcej chcieć. Wydaje się że w ten sposób wychodzą oni na przeciw deklaracjom polityków od kultury, którzy wielokrotnie opowiadali się za sztuką realistyczną, zrozumiałą dla szerokich rzesz zwykłych obywateli.

Ciekawym przyczynkiem do tego o czym tu piszę jest historia *meeting'u* poetów młodego pokolenia, który odbył się na początku grudnia 1973 w Warszawie. Była to pierwsza konfrontacja na większą skalę młodych poetów z publicznością. Spotkanie dowiodło, wbrew temu co się powszechnie uważa, że jest jeszcze dość dużo ludzi, którzy interesują się współczesną poezją. Spotkanie to dowiodło także, że młodzi poeci i młodzi ludzie — którzy tłumnie stawili się w warszawskiej siedzibie Związku Literatów — potrafią się zrozumieć, że mówią tym samym językiem.

W spotkaniu wzięło udział kilkunastu poetów, jedni byli lepsi, inni gorsi, ale wszyscy mieli do powiedzenia coś ważnego. Atmosfera na sali była gorąca. Zabrakło krzeseł i wielu ludzi siedziało po prostu na podłodze. Zdecydowaną większość stanowili ludzie

młodzi i bardzo młodzi. Od pierwszej chwili między podwyższeniem, na którym siedzieli poeci, a salą wytworzyła się nie porozumienia. Jak powiedziałem reakcja była gorąca, świadcząca o wspólnocie myśli, przekonani. Wśród rozgorączkowanego tłumu można było więc wyraźnie dostrzec małe trzyosobowe łodzie składające się (od prawej do lewej, lub może od lewej do prawej) z panów Żałoskiego, Matuszewskiego i doc. Lama. Ci nobliwi dżentelmeni siedzieli sztywno, niby na kolejnym plenum poświęconym polityce kulturalnej. Czynili wszystko, żeby dać do zrozumienia, że oni są przeciw. Odważni ci kontestatorzy widocznie czegoś się bardzo bali. Nie wiem czego. Może Matuszewski rozmyślał ze smutkiem, że znowu nie ma czego wydawać. Może Żałoski zdumiewał się, że te niemowlaki dobiegające trzydziestki, lub ją nieznacznie przekraczające umieją już mówić, może doc. Lam myślał o kolejnym wykładzie dla cenzury na temat metafory w poezji. Nie wiem doprawdy o czym myśleli ci zacni, liberalni dżentelmeni i niewiele mnie to interesuje. Widziałem zaś słuchane twarze, słyszałem głośny śmiech. Rozumiałem, że to, co się dzieje, jest ważne i znaczące, że oto na naszych oczach odbywa się jakaś uroczystość. Bowiem radosne jest zawsze to, że ludzie myślą podobnie o tych samych sprawach. Na przekór, wbrew wszystkim, którzy chcieliby ich schować pod klosz, trzymać jak najdłużej w wyłęgarniach, żłobkach, przedszkolach, czy kołach młodych przy ZLP. Więc nie to spotkanie jest groźne. Groźne jest to, że w całej polskiej prasie spotkanie to nie zostało omówione, nie licząc drobnych, często kurtuazyjnych notatek oraz felietonu Bywalca w *Polityce*, którzy z niezrównanym dowcipem porównywał długość bród i włosów Krynickiego, Bierzina i Barańczyka, choć ten ostatni w spotkaniu nie wzięł udziału. Groźne jest również, że wieczór ten stał się przyczyną konferencji, narady, a może nawet spotkania na samym szczycie, na niedostępnych wyżynach KC. I tam właśnie jakiś towarzysz S., albo towarzysz W., albo jeszcze jakiś inny towarzysz, którego nazwiska nie znam, dąsał się, może nawet krzyczał i rzecz całą nazwał fermentem.

Towarzysze! Pójdźcie wreszcie po rozum do głowy, albo gdzie indziej. Ferment jest zawsze ożywczy, twórczy, konstruktywny. Bowiem nie ma konstrukcji bez destrukcji, jak wyraził się inny towarzysz — Mao. Ferment jest we wszystkim co żywe — w ludzkim organizmie i rozkwitających pąkach, w rzekach i na polach, w jadącym samochodzie i w sputniku. Nie ma go tylko w brudnych bajorach.

Może ten wieczór nie przejdzie do historii literatury polskiej. Nie będzie odnotowany jak wieczory „Pod Pikadorem” gdzie narodził się Skamander. Ale przecież zmanifestowało się tu nowe pokolenie poetów. Poetów wątpliwych i myślących. Szukających i nieufnych. Poetów, którzy mają swoich czytelników. Pokolenie, którego jednak ktoś potrzebuje. I tylko chyba to w całej tej sprawie wydaje się radosne.

Adam ZAWIEJA

Straty kultury polskiej

Irena Krońska

W nocy z 15 na 16 stycznia 1974 roku zmarła w Warszawie Irena Krońska, z domu Krzemicka, wdowa po Tadeuszu Juliuszu Krońskim, filolog, filozof, tłumaczka, wieloletnia kierowniczka Biblioteki Klasyków Filozofii.

Irena Krońska urodziła się w 1915 roku we Lwowie. We Lwowie, a następnie w Warszawie, studiowała filologię klasyczną i filozofię. Razem z mężem mieszkała w czasie okupacji w Warszawie, czynna w walce konspiracyjnej. Wywiezieni po powstaniu do obozu, pierwsze lata po wyzwoleniu spędzili w Paryżu, skąd wrócili do kraju w 1949 roku. W następnym roku powstała przy Państwowym Wydawnictwie Naukowym Biblioteka Klasyków Filozofii, seria wydawnicza, która miała udostępnić czytelnikowi polskiemu przekłady ważniejszych dzieł filozofii światowej, od starożytności poczynając. Była to jedna z tych inicjatyw kulturalnych, które cała polska społeczność akademicka powitała natychmiast i bez żadnych zastrzeżeń gotowością do współpracy. Komitet tej biblioteki, kierowany przez Tadeusza Kotarbińskiego, zajmował się ustalaniem planów pracy i oceną wyników, właściwa praca wydawnicza i redakcyjna spoczywała zaś na barkach Ireny Krońskiej. Tak było formalnie. W rzeczywistości jej głos i jej inicjatywa były kierowniczą siłą całego przedsięwzięcia we wszystkich sprawach. Wolno powiedzieć, że Biblioteka jest prawdziwie jej dziełem. Praktycznie wszyscy filozofowie polscy przyczyniali się do tej pracy jako przekładcy, redaktorzy, autorzy komentarzy i wstępów. Tym, którzy sami nie uczestniczyli w takich zajęciach, trudno przedstawić ogrom trudu, jakiego wymagało wydanie stu kilkudziesięciu tomów dzieł filozoficznych, tłumaczonych z wielu języków, opatrzonych mnóstwem historycznych, filologicznych i filozoficznych komentarzy. Krońska była jak nikt do tej pracy przygotowana; doskonale znała wielu języków — a nade wszystko Greki, którą

prawdziwie kochała — kojarzyła z ogromnym wykształceniem filozoficzno-historycznym. Ona ponosiła odpowiedzialność nie tylko za dobór tekstów, za jakość komentarzy i przekładów, ale też za żmudną pracę sprawdzania, poprawiania, redagowania, łowienia błędów. Głównie jej wieloletniemu trudowi i nieprzebranym nocom zawdzięczać trzeba owe tomy Platona, Hegla, Kanta, Descartes'a, Hume'a, Al-Farabiego i tylu innych, które weszły w obieg polskiej kultury.

Spotkała ją za to nagroda, jakiej należało oczekiwać. Po marcu 1968 (w 'roku zarazy', jak mawiała) została usunięta z pracy i pozbawiona środków do życia — w ramach generalnej czystki, przeprowadzonej w wydawnictwie. Drugi i trzeci tom wielkiego Słownika Filozofów, które sama redagowała, zostały złożone do kosza i nigdy nie pojawiły się w druku (tom pierwszy zdołała opublikować wcześniej). Pomogła jej redakcja *Twórczości*, gdzie dostała pracę i gdzie do końca — już powalona śmiertelną chorobą, w szpitalach oxfordzkich — pisała przeglądy (znakomite) niemieckojęzycznej prasy literackiej; do końca też pracowała nad swoimi przekładami Kafki, którego w ostatnich latach stała się znawczynią i wielbicielek.

Spędziła pracowite życie głównie jako tłumacz i redaktor. Sama publikowała niewiele. Oprócz przedwojennych rozprawek filologicznych ogłosiła piękną książkę o Sokratesie i kilka artykułów (m.in. w *Myśli Współczesnej* o przewrocie prawicowym w Atenach oraz w książce pamiątkowej ku czci Tadeusza Kotarbińskiego, o Marksie jako krytyku filozofii epikurejskiej). Miłość do kultury antycznej przechowała w niezmiętej świeżości do końca życia; jej nauczycielem w tej dziedzinie był głównie Stefan Ganszyniec. W filozofii uważała się za uczennicę Ingardena raczej niż Twardowskiego i szkoły Lwowsko-Warszawskiej; tradycja pozytywistyczna i analityczna w filozofii była obca jej duchowi; zbyt mocno obchodziły ją pytania metafizyczne, aby mogła przyjąć ową sceptyczną wstrzeźliwość, jaką ten styl filozofowania narzucał.

Sądzę, że nie sprzeciwiam się jej intencjom, gdy powiem rzecz taką. Irena Krońska należała przed wojną do lewicowej, demokratycznej i antyfaszystowskiej inteligencji; oświecony antyklerykalizm i niechęć do Kościoła stanowiły naturalne składniki tej postawy. Jednakże od kiedy ją znałem (tj. od 1950 roku) Krońska nigdy nie była ateistką w żadnym normalnym sensie słowa. W ostatnich latach natomiast uważała się za chrześcijankę w nieokrojonym tego wyrazu znaczeniu.

Ostatnie miesiące życia, od lipca do grudnia 1973 roku, spędziła w Anglii, dokąd przyjechała, aby przed spodziewaną śmiercią zobaczyć się z córką. Czas ten zeszedł jej głównie w szpitalach; choroba była już beznadziejna w momencie jej przyjazdu. Ostatniego grudnia wróciła do Warszawy, aby po dwóch tygodniach zakończyć życie, które od lat już było dla niej ciężarem, a z którym zmagala się z bezprzykładną dzielnością. Dla jej licz-

nych przyjaciół, po jej bezpowrotnym odejściu, otwarta się pustka, o której mówić nie ma jak, a może i nie warto, bo wszystkim jest znana.

Leszek KOŁAKOWSKI

Oxford, 21 lutego 1974

O Irenie Krońskiej

Moi znajomi z Polski zapewniali mnie, że w prasie czytają głównie rubrykę nekrologów. Dzieje się tak dlatego, że wiadomości jakie przynoszą gazety są na ogół mało pocieszające, jest jednak i inny powód. Krótkie wzmianki o tym że „żył, był”, „żyła, była” składają się razem na przegląd mnóstwa życiorysów w skrócie. W tych życiorysach znajduje odbicie historia całego społeczeństwa w naszym stuleciu i zarazem przypomniane są najrozmaitsze, często dość niezwykle, „prace i dnie” poszczególnych ludzi wykonujących różne zawody.

Grono osób które znały Irenę Krońską było szczupłe ale za to związane rodzajem spisku wierności i podziwu. Jej śmierć, 16 stycznia 1974 roku, w Warszawie, pozwoliła im sobie uświadomić, jak bardzo może ludzi łączyć zgodna ocena czyjegoś waloru, niezależnie od tego co ich poza tym dzieli.

Z krótkich nekrologów można się było dowiedzieć, że Irena Krońska, z domu Krzemicka, wdowa po Tadeuszu Juliuszu Krońskim, profesorze filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, była wybitnym tłumaczem i wydawcą tekstów filozoficznych; że jej zasługą było utworzenie Biblioteki Klasyków Filozofii pod egidą Polskiej Akademii Nauk; że była odznaczona dwukrotnie Złotym Krzyżem Zasługi i krzyżem kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Przyjrzyjmy się, co kryje się poza tymi suchymi danymi.

Krońska pochodziła ze Lwowa. Urodziła się w rodzinie polskiej, pochodzenia żydowskiego. Wychowanie otrzymała katolickie. Na uniwersytecie lwowskim studiowała filologię klasyczną i na krótko przed wybuchem wojny uzyskała w tej dziedzinie doktorat. W całym jej życiu widać dobroczynny wpływ łaciny i greki, jako języków które pozwalają uzyskać dystans wobec współczesnych nam nawyków myśli i stylu. Więcej też chyba te języki zaważyły niż jej biegła znajomość niemieckiego, francuskiego i angielskiego.

Składam tutaj krótkie sprawozdanie z dziejów burzliwej przyjaźni. Tadeusz Juliusz Kroński, zwany Tygrysem, należał przed

wojną do grupy młodych filozofów, wychowanków prof. Tatar-kiewiczza na uniwersytecie warszawskim. Najbliższym jego w tej grupie kompanem był Bolestaw Miciński. Dzięki Micińskiemu poznałem też Krońskiego, zaproszony na jego odczyt, bodajże w domu Micińskich, na temat filozofii czeskiej; wygłaszał ten odczyt po swoim rocznym pobycie w Pradze. Z czeskimi filozofami oboje Krońscy podtrzymywali później serdeczne stosunki. Irenę poznałem dopiero w Warszawie pod niemiecką okupacją i wtedy to rozwinęła się przyjaźń, przerwana następnie zagubieniem się i odzyskana kiedy po wojnie Krońscy odnaleźli się w Paryżu, po czym znów przerwana, na bardzo długo, aż wreszcie, dopiero w ostatnich latach, znów bliska, bardziej może nawet niż kiedykolwiek serdeczna, choć oparta tym razem tylko na wymianie listów. Przyjaźń była burzliwa, bo przeplatały się w niej zbieżności i rozbieżności powołań, a jej rozwojowi nie ułatwiały nasze dość gwałtowne temperamenty i zaborczość właściwa obojgu Krońskim. Ta zaborczość, tak duża że zarówno moja żona jak ja musieliśmy godzić się na zazdrośną kontrolę — czy czasem nie dopuszczamy się zdrady, tj. nie zaczynamy kogoś innego bardziej lubić — prowadziła niekiedy do awantur, tym bardziej komicznych, że sceną ich była Warszawa wojenna.

Owdowiawszy w 1958 roku Krońska z pietyzmem przygotowała do druku i wydała prace męża, wśród których najbardziej może obiecująca była książka napisana podczas wojny, *Faszyzm a tradycja europejska*, niepozbawiona dzisiaj aktualności (przekład czeski ukazał się w roku 1967). Niemniej dokonania własne Ireny wydają się być większe niż dokonania Tadeusza Juliusza. Takiego wydawnictwa jak Biblioteka Klasyków Filozofii nigdy Polska nie miała, bo wykształceni czytali teksty filozoficzne po niemiecku, francusku albo rosyjsku. Kiedy w nagrodę za sto kilkadziesiąt tomów wydanych przez Krońską zastosowano paragraf aryjski i pozbawiono ją warsztatu pracy, przyjęła to jak przystało na filozofa, który nie powinien przecie zarzucać stołowi że jest stołem ani nosorożcowi że jest nosorożcem.

Krońska przechodziła wiele wewnętrznych przemian, od nich jednak ważniejsza jest dominanta widoczna we wszystkim co robiła. Kto wie czy wymiar historyczny, urzeczona heglizmem, polityczne porywy nie pozostały dla niej dziedziną umysłowej gry, stąd nie łatwo było dogrzebać się jej prawdziwej myśli ukrytej za „postawami” traktowanymi przez nią z przewrotnym nieraz humorem. Jej dominanta była etyczna i ona to coraz wyraźniej się ujawniała. Był okres kiedy hegliańskie pokusy stanowiły po temu przeszkodę i warto tutaj podkreślić, że Krońska przywiązywała szczególną wagę do tych swoich artykułów, w których pod koniec życia dała wyraz sympatii do myślicieli od Hegla jak najdalszych, np. kiedy pisząc o Güntherze Grass stawiała wielkiego obywatela miasta Gdańsk, Schopenhauera.

Ulegając urokowi Krońskiej niejedną z nas powodował się potrzebą znalezienia kogoś w pełni zasługującego na hołdy. Tutaj

był człowiek dla którego naprawdę największe znaczenie miały myśl i słowo. Na pierwszym miejscu u Krońskiej stała sprawa stylu ale pojmowanego zupełnie inaczej niż zwykło się styl pojmować w dwudziestym wieku. Ze względu na jej (greckie) utożsamianie dobra i piękna, styl stawał się kategorią etyczną i dlatego jej ocena nowoczesnej literatury musiała być nieprzychylna. Co nie znaczy zresztą, że nie wprowadzała tutaj ścisłych różnic. Jej pisarze dwudziestego wieku to Proust i Kafka — którego listy zdążyła przetłumaczyć i przygotować do druku na krótko przed śmiercią. Sądom jej należało ufać. Jeżeli Krońska powiedziała, że jakiś utwór nie jest „sentymentalny” to znaczyło że był dobry. „Sentymentalizm” stylu (oznaczał w jej ustach przeciwieństwo klarowności i ładu) wskazywał bowiem na fałsz moralny. Naszym rozmowcom o skazie sentymentalnej — czy romantycznej — zawdzięczam zrozumienie maksymy Heraklita: „Sucha dusza jest najmądrzejsza i najlepsza”. Sucha bynajmniej nie w znaczeniu braku uczuć, ale jako mozartowskie przeciwieństwo duszy wilgotnej. *Nota bene* według tego kryterium cała dzisiejsza literatura sadystyczna i rozpaczliwa musi wyglądać na twór dusz już nie tylko wilgotnych ale wręcz mokrych, choćby maskowały to chwytły rzekomo „męskie”, brutalność słownictwa itd.

Dziewiętnasty wiek kształcił swoją młodzież w gimnazjum klasycznym, z dużą dozą łaciny i greki, ale niewiele to Europie pomogło. Nie każdy więc użytek zrobiony ze starożytności jest równie dobry i wątpliwe czy po prostu reformując naukę języków dałoby się przywrócić zagubione poczucie miary. Przykład Krońskiej wskazuje jednak, że przy spełnieniu pewnych warunków solidne podstawy wychowania humanistycznego chronią od wielu błędów, nie pozwalając na nieodpowiedzialne użycie słów, tak typowe dzisiaj dla różnych głupawych awangardyzmów i dla dziennikarstwa. Przeglądy literackich czasopism austriackich i niemieckich, jakie Krońska w ostatnich latach ogłaszała w każdym numerze *Twórczości*, pozostają wzorem trafnego rozeznania w zamęcie zjawisk współczesnych i wstrzemięźliwego ale zawsze wyraźnego osądu.

W jesieni 1973 roku Krońska przyjechała z Warszawy do Oksfordu, gdzie musiała zaraz poddać się operacji, i w niewiele dni później, drugiej. Ale choroba była nieuleczalna i chora co do jej przebiegu nie miała złudzeń. Przez kilka miesięcy wymienialiśmy listy i oto kilka z nich wniosków. Jeżeli ktoś, bardzo cierpiąc, wyraża się z miłością i wdzięcznością o swoich lekarzach i pielęgniarkach, a swoim zachowaniem się budzi w nich równie serdeczne uczucia; jeżeli, wiedząc, że koniec jest kwestią miesięcy albo tygodni, ledwo zdolny poruszać się o kulach, organizuje sobie pracę, czyta, pisze, byle zdążyć zrobić jak najwięcej — jest w tym taka wzniosłość jaka jest nam dostępna, wzniosłość wewnętrznej pogody. Krońska była przerażona duchową sytuacją świata, choć do końca chciała rozumienia wydarzeń. Nie jest dla nikogo sekretem, że w ostatnich latach była wierzącą i prak-

tykującą katoliczką, co zresztą nie stanowiło niespodzianki, jako że zgadzało się z zacytowanym przez oboje Krońskich greckim egzemplarzem Ewangelii a również z wiarą Krońskiego w nieśmiertelność duszy. Ale świadomość, że Watykan, podrywając zaufanie do tradycji, przyczynia się do ogólnego rozpadu wartości, bardzo Krońską niepokoiła. Zarzucenie przez Kościół łaciny, zapewne najmniej uzasadniona i najmniej konieczna z wprowadzonych zmian, miało dla niej sens symboliczny. Wyraziła też w testamencie życzenie, aby msza żałobna za nią została odprawiona po łacinie, co zostało (w kościele Zbawiciela w Warszawie) spełnione.

Śmierć Krońskiej nastąpiła w parę tygodni po jej powrocie z Anglii. Otaczali ją przyjaciele, tak że musiała sama bronić się przed nadmiarem wizyt, żeby mieć czas na czytanie i korekty, czuła więc, że jest kochana i ceniona, również przez młodszych od siebie i młodych. Zgon nastąpił prawie nagle, tak że nie spełniły się obawy długiego, powolnego dogorywania. Przede wszystkim jednak to zjednoczenie umysłów, mało nieraz do siebie podobnych, w kulcie jednej osoby, skłania do myśli optymistycznych. Widocznie jest jakaś stałość natury ludzkiej i podstawowe pojęcia nie ulegają zmianie, jeżeli widok czyjegoś dobrze przeżytego życia jest taką i więzią i pociechą.

Czesław MIŁOSZ

O Izydorze Dąmbskiej

W styczniu 1974 roku obchodziła siedemdziesiąte urodziny Izydora Dąmbaska, jedna z postaci najjaśniejszych — bo tak to chyba należy wyrazić: określenie „światłany” — choć właśnie tutaj nie byłoby może nadużyciem języka i frazesem — jest zbyt patetyczne i jakoś nie pasuje do tej osoby tak prostej i skromnej — w polskim życiu intelektualnym i moralnym — od lat 1930-tych do dnia dzisiejszego. I ten jubileusz nie powinien przejść bez echa ani w kraju, ani na emigracji.

Należę do grona starych przyjaciół pani Izy — bo tak zwykliśmy ją nazywać — którzy utrzymują z nią stały kontakt i żywo się interesują jej losem i jej działalnością jako drogiego człowieka i jako uczoney. Ale — *hic et nunc* — daleko od kraju i od większych bibliotek — nie mam możliwości zebrania dokładniejszych danych biograficznych i doksograficznych i sprawdzenie tego, co przechowane jest w mojej pamięci, muszę więc ogra-

niczyć się do charakterystyki raczej ogólnej i bardziej impresyjnej niż merytorycznej; nie będzie to więc ani artykuł monograficzny, ani — broń Boże — okolicznościowa laurka, lecz nota informacyjna dla tych czytelników *Kultury*, którzy nie zetknęli się osobiście z Jubilatką, a nie będąc z zawodu filozofami, nie mieli okazji zapoznać się z jej działalnością naukową w tej dziedzinie: piśmienniczą i dydaktyczną.

Izydora Dąbska pochodzi z rodziny ziemiańskiej o znakomitych tradycjach. Filozofię studiowała we Lwowie, na uniwersytecie Jana Kazimierza, pod kierunkiem Kazimierza Twardowskiego, który wywarł na nią — podobnie jak na wielu swych uczniów — żeby wymienić tylko Tadeusza Kotarbińskiego — ogromny wpływ, jako uczonego i jako człowieka. W przeprowadzonej chyba przed dwoma laty przez czasopismo *Znak* ankiecie pt. „Czy mogę wymienić postać, która była i jest dla mnie wzorcem?” jednym z respondentów była prof. Dąbska. W swojej wypowiedzi stwierdziła bez wahania — uzasadniając dlaczego — że dla niej takim wzorcem był i pozostał jej mistrz uniwersytecki. Nie należę do osób, które osobiście zetknęły się z Twardowskim lub kiedykolwiek znajdowały się w orbicie jego oddziaływania; jego poglądy filozoficzne, które znam tylko z lektury, są mi raczej niesympatyczne, a ze wszystkiego co o nim wiem od jego bezpośrednich uczniów, układa mi się obraz, który dla mnie nie ma cech charyzmatycznych, ani — co najdziwniejsze — tych które widzę u Izy Dąbskiej i za które tak bardzo ją lubię i cenię. Może z wyjątkiem jednej, i to istotnej — mianowicie charakteru: ze wszystkiego, co o nim wiem, wynika niewątpliwie, że Twardowski był człowiekiem o silnym charakterze, nieskłonny i niezdolny do kompromisów tam, gdzie szło o sprawy sumienia i przekonań i takim człowiekiem jest też Iza Dąbska. Tylko, że gdy u niego ta cecha — chyba nawet dominująca — łączyła się z surowością, ze sposobem bycia paternalistycznym, autorytatywnym, wręcz despotycznym — zaś pani Iza — przy całej swojej niezłomności — jest uosobieniem skromności, łagodności i dobroci; jest bardzo chrześcijańska, bardzo ewangeliczna, mimo że filozoficznie reprezentuje raczej postawę sceptyczną. Właśnie sceptycyzm — zarówno starożytny, jak i XVII-wieczny czy współczesny — był i jest nadal wyróżnionym przedmiotem nie tylko jej zainteresowań i studiów (ogłosiła liczne rozprawy z tej dziedziny, a przed kilku laty wydała krytyczny, znakomity przekład traktatu greckiego sceptyka Sekstusa Empirika „Przeciwko logikom”), lecz stanowi jej filozoficzne credo. I jest faktem godnym przypomnienia — zwłaszcza że komuniści często oskarżali ją o fideizm a nawet dewocję — że gdy przed II wojną światową Władysław Witwicki, jeden z jej nauczycieli, z którym była bardzo zaprzyjaźniona, nie mógł znaleźć w Polsce wydawcy na swoją wyraźnie ateistyczną, a skądinąd naukowo nieprzekonywującą książkę „Wiara oświeconych” (to już mój dodatek i moja ocena, mimo całego mego sentymentu dla Witwickiego i jego pamięci) — ogłosił ją we Francji, a osobą

która mu ją przetłumaczyła na francuski była właśnie Izydora Dąbska.

W latach poprzedzających wybuch wojny Izydora Dąbska — po uzyskaniu doktoratu z filozofii i złożeniu wymaganego wówczas tzw. egzaminu nauczycielskiego — pracowała w szkolnictwie średnim, utrzymując jednocześnie najżywszy kontakt ze środowiskiem uniwersyteckim, biorąc czynny udział w pracach obu seminariów filozoficznych UJK (którymi po przejściu na emeryturę i rychłej też śmierci profesorów Twardowskiego i Wartenberga, kierowali Kazimierz Ajdukiewicz i Roman Ingarden) i w działalności lwowskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Filozoficznego oraz publikując rozprawy i artykuły w czasopiśmie wydawanych przez PTF we Lwowie i w Warszawie. Była też związana z jedyną w swoim rodzaju i niezmiernie dla naszej kultury zasłużoną Oficyną Filomaty, stworzoną właściwie z niczego i prowadzoną przez prof. Ryszarda Ganszyńca, hellenistę, a także mediewistę i religioznawcę. Prof. Ganszyńiec za cel życia postawił sobie odrodzenie starożytności klasycznej — i to w naszym kraju — i cel ten realizował w sposób imponujący, dzięki swej olbrzymiej wiedzy. Dla *Biblioteki Filomaty* Dąbska napisała pierwszą swoją książkę — raczej popularną niż erudycyjną — ale mimo to solidnie udokumentowaną — była nią monografia o Platonie. Ta książka, oddana do druku w 1939 roku, ukazać się już nie zdążyła, bo wybuchła wojna. Zachowały się jednak u autorki szpalty, które miały długą i burzliwą historię: już to otrzymywały *imprimatur* i szły do składu, już to wydawały się aktualnemu cenzorowi podejrzaną i były wycofywane z drukarni niemal w ostatnim stadium produkcji. Dopiero mniej więcej przed rokiem — „Platon” Izydory Dąbskiej wyszedł w formie książkowej, pod egidą jednego z prowincjonalnych towarzystw naukowych i w minimalnym nakładzie — ale jednak jest dostępny w księgozbiorach prywatnych i publicznych. Do samego tekstu autorka nie wprowadziła żadnych zmian czy uzupełnień, choć od chwili jego napisania minęło ponad trzydzieści lat, w czasie których oczywiście wzbogaciły się i literatura i wiedza o Platonie; chciała zachować go w takiej formie, w jakiej go pierwotnie napsała. Ale dodała cenny suplement, dający przeгляд recepcji Platona w literaturze polskiej na przestrzeni wieków, aż do dnia dzisiejszego.

Lata wojny i okupacji Dąbska spędziła we Lwowie, pomagając wszystkim tym, którzy najbardziej potrzebowali pomocy. Od chwili gdy i na tym terenie zorganizowała się Armia Krajowa wstąpiła natychmiast w jej szeregi. W tym okresie nasz kontakt był przerwany i nie jest mi wiadome, czy, i w jakim stopniu, mogła się wówczas zajmować także pracą dydaktyczną i naukową; znany mi jest tylko jeden dokument, świadczący że doświadczenia walki podziemnej znalazły bezpośredni wyraz z jej refleksji filozoficznej: jest nim niewielka, ale bardzo ciekawa, dotychczas nie opublikowana rozprawa, mówiąca o tym, jakie konse-

kwencje teoretyczne — tj. filozoficzne i praktyczne — tj. moralne, i jakie niebezpieczeństwa pociąga za sobą konieczność zachowania anonimowości i występowanie tylko pod pseudonimem; także niebezpieczeństwa polegające na tym, że gdy występuje się pod pseudonimem — słabnie poczucie osobistej odpowiedzialności za czyn i za słowo. Myślę, że warto, by nad tym problemem zastanowili się wszyscy ci, którzy z takich lub innych powodów, najczęściej polityczno-policyjnych, piszą nie pod własnym nazwiskiem.

Po wojnie Dąbska habilitowała się i jako docent, a następnie profesor, prowadziła wykłady z historii filozofii i filozofii systematycznej, aż do czasu czystki na uniwersytetach, zwłaszcza na wydziałach humanistycznych, kiedy to wielu wybitnym naukowcom odebrano *veniam legendi*. W najtrudniejszych latach ery stalinowsko-bierutowskiej pracowała na skromnym etacie w Bibliotece Miejskiej (dziś Bibliotece PAN) w Gdańsku. Te lata gdańskie pod wieloma względami — i politycznymi i bytowymi — niełatwe, nie były jednak stracone dla jej rozwoju naukowego. We wspianym księgozbiore Wolnego Miasta Dąbska — choć nie to należało do jej obowiązków „etatowych”, których *nota-bene* nigdy nie zaniedbywała — odkrywała istne skarby: rękopisy i starodruki będące dokumentami osiągnięć polskiej myśli filozoficznej, zwłaszcza logiki, w epoce Odrodzenia i w późniejszych stuleciach oraz ścisłych związków Gdańska z Rzeczpospolitą także w dziedzinie życia umysłowego i naukowego. Owocem jej prac i odkryć archiwalnych są publikacje i odczyty z historii filozofii i logiki. Obok tych zajęć Dąbska nadal prowadziła systematycznie badania w dziedzinach sobie najbliższych: metodologii nauk, logice i teorii poznania, historii filozoficznego sceptycyzmu; prowadziła prywatne seminarium dla swoich dawnych studentów (do jej uczniów należy m.in. Zbigniew Herbert); wygłasza odczyty w Polskim Towarzystwie Filozoficznym, które dzięki temu, że nie było właściwie instytucją, lecz wąskim gronem ludzi przeważnie starszych, interesujących się filozofią, pozabawionych szerszego oddziaływania, przetrwało wszystkie czystki i burze w stanie nienaruszonym (prezesem PTF jest po dziś dzień prof. T. Kotarbiński, prezesem Oddziału Warszawskiego — prof. Nina Kotarbińska, Oddziału Krakowskiego — prof. Dąbska); brała czynny udział w pracach Biblioteki Klasyków Filozofii, jako członek jej komitetu redakcyjnego i tłumacz kilku książek z tej serii. Przez cały ten czas nigdy nie ukrywała swoich przekonań, zarówno w kwestii polskiej, jak i w kwestiach filozoficznych; zdecydowanie odmawiała udziału we wszelkich masówkach, pochodach i tym podobnych imprezach, które Biblioteka Gdańska musiała urządzać, podobnie jak wszystkie instytucje w kraju. Autorytet nie tylko naukowy, lecz przede wszystkim moralny p. Izy Dąbskiej budził respekt nawet u ludzi fanatycznych lub tchórzliwych i choć nie mogła liczyć na pracę bardziej odpowiadającą jej wysokim kwalifikacjom, na stanowisku które zajmowała, zostawiano ją w spokoju. A przecież każdy

kto zachowywał się i wypowiadał jak pani Iza, mógł obawiać się poważnych sankcji i trzeba było niemałej odwagi cywilnej, żeby zdobyć się na taką postawę i konsekwentnie ją utrzymywać.

Po Październiku Dąbska — choć nie od razu i nie bez trudności — odzyskała katedrę uniwersytecką i spełniło się nawet to, czego bardzo pragnęła: otrzymała profesurę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tutaj w krótkim czasie zgromadziła wokół siebie grono uczniów, wśród nich wielu, którzy już dziś wykładają na wyższych uczelniach, i pewną ilość wiernych, którzy przejęli od niej nie tylko wiedzę, ale i etykę naukową i po prostu ludzką. W Krakowie związała się też bliżej ze środowiskiem *Znaku* i w miesięczniku noszącym tę samą nazwę oraz w *Tygodniku Powszechnym* publikuje swoje artykuły — choć nie za często, gdyż większość jej publikacji to prace o charakterze czysto naukowym, specjalistycznym.

Gdy w połowie lat 60-tych klimat w Polsce stawał się coraz zimniejszy uznano na górze, że wykłady i seminaria prof. Dąbskiej oraz jej głos na Radzie Wydziału są wysoce niepożądane i niewygodne; szczególną rolę odegrał tu — jak się wydaje — krakowski KW PZPR, któremu jej autorytet moralny szczególnie był niemiły. Po raz drugi odebrano jej katedrę i możliwość pracy dydaktycznej, którą tak bardzo lubi; tym razem zrobiono to w rękawiczkach, ale nie mniej skutecznie: pani Iza została przeniesiona do PAN-u z tytułem i uposażeniem profesora oraz możliwością — a nawet formalnym obowiązkiem — pracy naukowej, ale uprawianej indywidualnie i bez kontaktu z młodzieżą.

Niezwykłą siłę charakteru wykazała Izidora Dąbska w marcu 1968 roku i w ciągu całego tego polskiego „roku zarazy”. Ekipa moczarowska ze swoimi hasłami nie tylko antysemickimi, ale także „narodowymi” i nawet delikatnie „katolickimi” („Polak-katolik”) sądziła, że może liczyć na przychylną reakcję ludzi skrzywdzonych w latach 50-tych, kiedy to ofiary obecnej nagonki — różnej maści „rewizjoniści” i „syjoniści” — były w wielu wypadkach żarliwymi i gorliwymi wyznawcami obowiązującej doktryny i wykonawcami drakońskich posunięć jej wyznawców. Rudymmentarna psychologia, której Moczar kazał uczyć swoich policjantów i agentów, obejmowała również środowisko naukowe. W licznych niestety przypadkach rachuby policyjno-politycznych psychologów okazały się trafne. Taką „psychologiczną” metodę próbowano zastosować również wobec Izy Dąbskiej. To delikatne bądź co bądź zadanie wykonać miał Jan Szewczyk, jej uczeń jeszcze z gdańskiego okresu, a potem regularny student na Uniwersytecie Jagiellońskim, którego przed marcem nikt nie podejrzewał o ubeckie powiązania. On to usiłował pani Izie „wytłumaczyć”, że studenci, którzy są teraz bici (rozmowa miała miejsce w Krakowie, w momencie jednej z najbrutalniejszych szarż policji i ormowców), zostali wprowadzeni w błąd i wykorzystani przez tych samych ludzi, którzy w okresie stalinowskim prześladowali i usuwali z uniwersytetów zasłużonych profesorów i prawdziwych patriotów. Dawał też do zrozumienia, że „na gó-

rze" myśli się o przywróceniu jej katedry uniwersyteckiej. Spokoił się oczywiście z jednoznaczną odprawą i nigdy już nie ośmielił się swoich sugestii powtórzyć. Natomiast pani Iza — protestując w ostrych słowach przeciwko brutalnej akcji przeciw studentom — wystosowała list do ministra Jabłońskiego na który nigdy nie otrzymała odpowiedzi — chyba że za odpowiedź pośrednią można uznać liczne szykany paszportowo-wyjazdowe, które spotykały ją regularnie.

Gdy w ramach akcji oczyszczania ośrodków filozoficzno-socjologicznych prof. Baczko, długoletni kierownik Zakładu Historii Filozofii Nowożytnej PAN, został zmuszony do podania się do dymisji, osobą, która na radzie naukowej Instytutu Filozofii i Socjologii PAN — gdzie dymisję tę trzeba było formalnie przyjąć do wiadomości i zatwierdzić — zażądała aby ustępującemu kierownikowi Rada wyraziła na piśmie podziękowanie za jego działalność na tym stanowisku (dając tym samym do zrozumienia, że dymisja ta nie była dobrowolna i że nakaz przyszedł z góry), była oczywiście prof. Dąbska. Jej autorytet moralny jest tak wielki, że wniosek przeszedł i to dużą większością głosów. Po usunięciu mnie z Biblioteki Klasyków Filozofii — Izydora Dąbska była — obok prof. Kotarbińskiego, który na znak protestu natychmiast ustąpił ze stanowiska członka-założyciela i przewodniczącego komitetu redakcyjnego BKF — jedyną osobą, która z tą samą co i Kotarbiński motywacją, zrzekła się członkostwa komitetu.

Dla osób, którym było dane zetknąć się osobiście z Izą Dąbską, jej nieugięta postawa w Marcu, kiedy to infekcji uległo wielu intelektualistów i uczonych, od których można było oczekiwać większej odporności, była naturalna. Jeżeli tutaj wspomnę o jej postawie podając kilka konkretnych faktów, to jedynie dla uzupełnienia dokumentacji owych czasów, która wciąż jeszcze wydaje mi się niedostateczna. I o jeszcze jednym znanym mi fakcie, o którym wie zapewne niewiele osób, nawet w kraju, chcę tutaj powiedzieć, ponieważ jest on szczególnie charakterystyczny dla jej moralnej osobowości. Otóż, jeszcze na długo przed Marcem, czasopismo *Fakty i Myśli*, wydawane przez PAX, ale utrzymane na stosunkowo wysokim poziomie, rozpoczęło serię zeszytów monograficznych, z których każdy omawiał twórczość jednego z wybitnych współczesnych filozofów polskich. Jeden z tych zeszytów poświęcony był Romanowi Ingardenowi i trzeba obiektywnie stwierdzić — niezależnie od tego, co myśli się o PAX-ie — a ja myślę o tej instytucji oczywiście jak najgorzej i nie jestem w tej opinii odosobniona — że był to zeszyt pożyteczny i dobry, zawierający artykuły napisane przez ludzi ze wszechmiar kompetentnych i zasługujących na zaufanie. Podobny zeszyt, poświęcony Izydorze Dąbskiej, był już niemal gotowy do druku, gdy wybuchł Marzec w którym PAX — jak wiadomo — był najbardziej zaangażowany i po którym obiecywał sobie bardzo wiele — wręcz coś w rodzaju polityczno-ideologicznego kondominium. Pani Iza, choć dobrze znana i ceniona

w środowisku filozoficznym — i to zarówno w Polsce, jak i za granicą* nie należała jednak nigdy do uczonych, o których wiedzą ludzie spoza jej profesji.

A zresztą nawet w literaturze filozoficznej nie było dotychczas próby przedstawienia całokształtu jej dorobku naukowego. Toteż ten zeszyt *Faktów i Myśli* byłby pierwszą poważną publikacją monograficzną poświęconą Dąbskiej, zwłaszcza, że redakcja pisma zwróciła się z prośbą o artykuły do jej uczniów i to do najwybitniejszych. Z uwagi jednak na rolę, jaką PAX, a także i pismo *Fakty i Myśli*, odegrały w okresie przed i po-marcowym, prof. Dąbska poprosiła swych uczniów, aby wycofali swoje artykuły i zeszyt, który miał być jej poświęcony, nie ukazał się.

Irena KROŃSKA

Londyn, grudzień 1973

* Zwłaszcza we Francji, gdzie wiele publikowała w fachowych czasopismach i od lat opracowuje dział polski dla wychodzącej w Paryżu międzynarodowej bibliografii filozoficznej i od niedawna jest członkiem Institut International de Philosophie.

TOM 239 — WITOLD GOMBROWICZ

VARIA

Ostatni X-ty TOM „DZIEŁ ZEBRANYCH”
zawiera całą przedwojenną twórczość K. Gombrowicza
wraz z dużą powieścią pt. OPĘTANI

Str. 544.

Cena F. 50,00.

Kronika kulturalna

Jerzy Żuławski 1874-1915

Tego roku upływa sto lat od urodzenia Jerzego Żuławskiego, pisarza którego przedwczesna śmierć w szpitalu polowym w Dębicy, w 42-gim zaledwie roku życia, zgasiła jeden z największych talentów, jakie wydała Młoda Polska. Jerzy Żuławski był człowiekiem o niesłychanej energii życiowej, o całkowicie zachodnim światopoglądzie i wszechstronnym wykształceniu. Narciarz i taternik pierwszej marki, był równocześnie wielkim znawcą światowej filozofii, literatury i sztuki. W jego ogromnej bibliotece w zakopiańskiej willi, w której się wychowałem, znaleźć można było wszystko od Arystotelesa, Apulejusza i Cyserona, poprzez Świętego Tomasza z Akwinu, Spinozę i księdza Wujka, do najnowszych pisarzy owego czasu, oraz znakomych monografii artystycznych, które były moim pierwszym kontaktem ze sztuką.

Zważywszy jego młody wiek, lista utworów mojego ojca była zaiste imponująca. Zaliczyć do nich należy przede wszystkim poemat sceniczny „Eros i Psyche”, napisany w 1904, którego tematem są ni mniej ni więcej tylko dzieje ludzkości a który został potem przerobiony na libretto do opery Różyckiego; znakomite dramaty, takie jak „Wianek mirtowy”, „Gra”, „Donna Aluika”, „Za cenę też”, „Ijola” albo „Koniec Mesjasza”, grany przez teatr Habima na całym świecie i uważany przez żydowskich krytyków za najwnikliwszą rekonstrukcję historii fałszywego proroka Sabatai Cwi; gruby tom esejów pod tytułem „Miasta umarłe”, cztery tomy poezji, no i szereg rozpraw filozoficznych, takich jak „Przed Zwierciadłem Prawdy”. „Profesor Butrym” była ostatnią jego powieścią.

Ale najbardziej znanym utworem Jerzego Żuławskiego stała się trylogia powieściowa — „Na Srebrnym Globie”, „Zwycięzca” i „Stara Ziemia” — która nawet w ówczesnej epoce kompletnej izolacji polskiej kultury była tłumaczona na język rosyjski i niemiecki.

„Niesłychane, nieprawdopodobne wynalazki i odkrycia upływającego stulecia stawiają nas wobec problemu, który dumą lecz zarazem i strachem przejść musi człowieka. Pędzimy naprzód krokiem tak hyżym, że straciliśmy już wszelką miarę szybkości tego postępu. Nic nam się już nie wydaje nieprawdopodobne, nie niemożliwe... Nie wiadomo dokąd dojdziemy, ale to pewne że bardzo wysoko — aż po kres ludzkich możliwości jeśli ten istnieje w ogóle. Ale któż za lat kilkaset zdolny będzie objąć umysłem całokształt wiedzy ludzkim umysłem zdobytej? Czy ta wzrastająca potęga ducha nie będzie musiała przesiłić się wreszcie w jakiś sposób katastrofalny [...]”.

Tak pisał w „Starej Ziemi” Jerzy Żuławski charakteryzując prawidłowo sytuację, która dopiero teraz staje się aktualna. Warto przypomnieć, że „Na Srebrnym Globie” wyszło w roku 1903, „Zwycięzca” w 1910, a „Stara Ziemia” w 1911, a zatem w okresie maksymalnego optymizmu jeśli idzie o ocenę zdobyczy naukowych, w epoce powszechnej wiary w postęp przez wielkie „P”.

Tymczasem cała trylogia owiana jest egzystencjalnym pesymizmem. Mój ojciec był nie tylko pisarzem o niezwykle precyzyjnej wyobraźni, ale także myślicielem o niepospolitej umysłowości. Dzięki potędze swego intelektu umiał trafnie wydedukować z ówczesnego stanu wiedzy przyszłe wypadki, które warunkują dziś naszą rzeczywistość.

Alle trylogia Jerzego Żuławskiego nie jest *science fiction*. Jest czymś o wiele więcej — jest próbą historiozoficznego spojrzenia na losy człowieka. Na księżycu powstaje nowa ludzkość, aby powtórzyć wszystkie błędy i wszystkie szaleństwa popełnione na rodzimej planecie.

Ojciec mój był doskonale obeznany z ówczesnym stanem astronomii, ale dla celów literackich przyjął hipotezę, że po drugiej — nieznannej wówczas — stronie księżyca jest powietrze zdolne do utrzymania życia — że tylko „Wielka Pustynia” — to jest strona stale zwrócona ku Ziemi — została przez jej przyciąganie odarta z atmosfery. W ten sposób ojciec mój mógł rozwinąć swój pogląd na historię cywilizacji, która na Księżycu zaczęła się niejako od początku.

Jedyny pozostały przy życiu członek pierwszej, niezdolnej do powrotu na Ziemię wyprawy kosmicznej, której potomkowie zaludnili Księżyc, jest przez skarłatych mieszkańców księżycowej osady uznawany za istotę nieśmiertelną, za boga, który przybył ze świętej gwiazdy świecącej nad Wielką Pustynią i na nią pewnego dnia odejdzie. Ale kiedy dopełni się miara niesprawiedliwości i krzywdy, ten „Stary Człowiek” powróci w chwale jako młody wybawiciel, aby uwolnić ludzi od jarzma wspaniale scharakteryzowanych księżycowych pierwobyłców, Szernów. Tak więc powstaje na Księżycu religia oczekiwania na Zwycięzcę i kiedy w kilkaset lat po pionierskiej wyprawie straconców pojawia się na Księżycu następna wyprawa — przybyły mieszkańiec Ziemi uznany zostaje za boga, który powrócił, aby wypełnił się proroctwa świętych ksiąg księżycowego ludu.

Historia jego zwycięstw nad Szernami, jego tragicznej walki z ludzką złością i głupotą, jego upadku i męczeńskiej śmierci

stanowi fascynujący temat drugiej części trylogii pt. „Zwycięzca”. Książka kończy się trzema różnymi wersjami tych wydarzeń, spisanych przez jego uczniów, przeciwników i wreszcie obiektywnego rzekomo historyka księżycowego. Wszystkie wersje, każda na swój sposób, są fałszywe rzucając bolesne światło na wartość ludzkich dokumentów historycznych i na powstawanie mitów eschatologicznych.

Ale trylogia na tym się nie kończy. Dwóch księżycowych uczonych, należących do nieprzejednanych wrogów Zwycięzcy, ludzi nie wierzących w jego ziemskie pochodzenie, opanowuje tymczasem jego pocisk kosmiczny i ku swemu przerażeniu ląduje na Ziemi, która — jak niezbicie udowadniał na Księżycu — jest planetą nie zamieszkałą, nie nadającą się do utrzymania inteligentnego życia organicznego.

Ta część trylogii nosząca tytuł „Stara Ziemia”, jest pełna tak zdumiewająco trafnych spojrzeń w przyszłość, że trudno naprawdę uwierzyć, iż została napisana na długo przed decydującymi odkryciami w dziedzinie fizyki — na wiele lat przed wynalezieniem bomby atomowej. Ojciec mój mówi w tej książce o posiadaniu przez uczonych wynalazku, który — przytaczam dosłownie — „rozbija to skupienie sił, które nazywamy materią”. Bohater „Starej Ziemi” za pomocą tego wynalazku może „rozbić atom na części składowe powodując wybuch zdolny do zniszczenia całych miast i kontynentów”.

Wizja ostatecznej katastrofy jest zupełnie jasno sformułowana w umyśle autora tej niezwykłej trylogii. Jest to ni mniej ni więcej tylko samobójstwo ludzkości. Posłuchajmy wyjątku:

„Piorun, grom jakiego od początku świata nie rzuciła wola świadomej istoty. Cała Europa, dosłownie cała Europa, miasta, lądy, góry — nawet woda i powietrze — wszystko to w jednej chwili zamieni się w potworną masę wybuchową. Każdy atom rozluźniając się na cząstki pierwotne działa jak nabój dynamitowy... Czy nie rozumiesz, że taki straszliwy wybuch musiałby zepechnąć Ziemię z jej orbity, jeśli by jej wręcz na kawałki nie rozerwał?”

Nikt przed Jerzym Żuławskim nie przewidywał takiej możliwości — możliwości która dzisiaj zaciemnia ciężką chmurą widnokręgi naszego myślenia, naszej sztuki, literatury i polityki. „Stara Ziemia” kończy się rewolucją przeciwko nauce, prowadzącej do takich katastrofalnych konsekwencji. Rząd Opiekunów (to słowo tak dziś popularne na Zachodzie także po raz pierwszy pojawia się w trylogii Żuławskiego), Rząd Opiekunów Zjednoczonych Stanów Europy zamyka wszystkie uniwersytety, rozwiązuje towarzystwa naukowe i likwiduje wszelkie laboratoria doświadczalne. Śmierć wiedzy, która zaczęła zagrażać istnieniu ludzkości...

Nikt też przed moim ojcem nie sformułował w polskiej literaturze tak jasno pesymistycznego poglądu na dzieje cywilizacji. Jego krytyczny umysł umiał wyciągać wnioski z reformatorskich utopii. Ustami jednego z bohaterów „Starej Ziemi” ojciec mój mówi:

„Dla ustroju społecznego nie zrobić nie można. Społeczeństwo nie jest wytworem rozumnym i dlatego doskonałe nigdy nie będzie. Wszelka utopia, od najstarszych platońskich poczynając, poprzez ciąg wieków aż po dzień dzisiejszy — wszelkie utopie to są domy z kart nie dbające o prawo ciężkości. Z chwilą gdy się rękę do dzieła przyłoży widzi się nowe zło, które na miejscu dawnego, usuniętego, powstaje. Współzycie ludzi doskonałe, ustrój idealny — to problemy z natury swej niemożliwe do rozwiązania”.

Przypominam, że słowa te były pisane przed rewolucją rosyjską, przed faszyzmem i przed Hitlerem.

Jest w tym wszystkim głęboki sceptycyzm jeśli idzie o ludzką naturę. Ale ojciec mój w głębi duszy był trochę mistykiem. Doktorat z filozofii ścisłej na uniwersytecie w Bernie szwajcarskim otrzymał *summa cum laude* za pracę o Spinozie „Das Problem der Kausalität bei Spinoza”. Filozofia metafizyczna była podstawą jego światopoglądu. Stąd jeden z uczonych w „Starej Ziemi” nie mogąc rozwiązać zagadki istnienia, powraca do chrześcijańskiej kosmologii, zawartej w pierwszych słowach Ewangelii Świętego Jana: „Na początku było Słowo”.

Rozmiar problematyki poruszonej przez mego ojca w tej trylogii jest zaiste olbrzymi. Pokazuje on nam tragiczne skutki kolonizacji innych ciał niebieskich, podjętej pochopnie przed rozwiązaniem problemów dręczących ludzkość na Ziemi, tłumaczy nam strukturę religii, mówi o bezcelowości rewolucji społecznej, o niemożliwości opanowania całokształtu ludzkiej wiedzy, a wreszcie pokazuje nam wizję zagłady, śmiertelną groźbę postępu technologicznego.

Ojciec mój przerastał intelektualnie swoje środowisko. Jego umysł wybiegał poza epokę. Był on jedynym pisarzem Młodej Polski, poza Stanisławem Brzozowskim, którego więcej obchodziły sprawy ogólnoludzkie niż problemy czysto polskie, a przez to w jakiś sposób prowincjonalne. I dlatego prawdopodobnie nie był rozumiany przez przeciętnego czytelnika.

Marek ŻUŁAWSKI

„Abel min broder”

Mam przed sobą album — 24 czarnobiałych reprodukcji (gwaśne?, lavis?) Teresy Lewandowskiej — wydany w Sztokholmie przez *Amnesty International*.

Tytuł szwedzki: „Abel mój brat”.

„Rzeczywistość z pogranicza życia i śmierci” tak określa treść

tej serii szwedzki krytyk Bernhard Turschys. Opowieść o agonii Żydów, o zagładzie Żydów i ich męce w ostatniej wojnie światowej.



Należę do generacji malarzy dla której sztuka, mogąca służyć wyłącznie jako ilustracja więcej lub mniej ważkich czy wzniosłych wydarzeń była z punktu podejrzenia. Walcząc o jakość malarstwa, *jako malarstwa*, nie dopuszczaliśmy w naszej sztuce podporządkowanej najwyższemu chociażby celom, aby jej język malarski był zatracony czy sfałszowany na służbie tematu.

Ta walka na noże z „literaturą” w mojej generacji była u nas konieczna aby zdobyć na nowo świeżą zdolność *rozróżnienia* na czym polega istota malarstwa zagubionego w powodzi dzieł „Salonów”, sztuki historycznej, realistycznej, wzniosłej czy „wytwornej”.

Ta generacja dla której kamieniem probierczym był Cézanne swoją rolę odegrała, dziś należy do przeszłości.

Ale Braque pisze słusznie: „Każdej zdobyczy odpowiada strata równoznaczna — to prawo kompensaty”. Plastyka coraz bardziej obojętna na wszystko, co przedstawia, przechodząc różne fazy, dotarła do sztuki coraz całkowicie abstrakcyjnej.

Szedłem niedawno w pośpiechu po Rue de la Seine, ulicy paryskich galerii rzucając okiem poprzez szyby w głąb paru z nich pełnych mniej lub więcej abstrakcyjnych płócien. Sam byłem w tych dniach gwałtownie wczytany w dwie książki „Archipelag Gułag” Sołżenicyna i „Zasypie wszystko, zawieje...” Odojewskiego. Nagle prawie fizycznie poczułem się patrząc na te obrazy — a były tam także obrazy dobre — jak w lodowatej pustyni. Sztuka „rozrywką znudzonej materii”? Węć nigdy już nie zaistnieje malarstwo *pełne*, jak Goyi, Daumier’a a idąc jeszcze wyżej Mistrza Piety z Villeneuve?*

Ten album czarno-biały Teresy Lewandowskiej otworzyłem prawie niechętnie — biorąc go z biblioteki Kultury. Dał mi chyba pierwszy raz przeżycie tak jednoznaczne świadectwa a zarazem niczym nieskażonego dzieła sztuki.

Wszystko, czy prawie wszystko, co widziałem w sztukach plastycznych na temat losu Żydów, tragedii getta dawało mi prawie że uczucie świętokradcze, do tego stopnia próby przekazu wyrażonego sztuką były niewspółmierne z faktami: im bardziej starały się wyrażać tym gorsza była sztuka! Wtedy gdy niezliczone z tych czasów fotografie i filmy pozostawiały zawsze wrażenie niezatarte. O co tu chodzi?

Plansze Teresy Lewandowskiej bez stylizacji przekazują oszczędnymi środkami grozę istnienia.

„Krwawe plamy na śniegu” — dwie postacie zaledwie kreską

* Cóż dały memu malarstwu lata wojny i Rosji — nie; kiedy przeżył stamtąd mnie dusiły, napisałem *Nieludzką ziemię*, nie nie namalowałem.

oznaczone na tle śnieżnej przestrzeni z grupą w tle domów w ogniu i czarnym dymie. „Herrenvolk” — cztery postacie białoszare, jak połamane manekiny z czapami na głowach, jakże wyraziste (czym wyraziste?) w swej tępcie okrutnej nad gwałtowną czernią jamy, gdzie świecą zwalone trupy, szkielety, znów wyrażone paru, zaledwie przypominającymi szkielety i czaszki, białymi plamami.

Stary człowiek prowadzący dzieci na śmierć i nad ich głowami w zmroku cztery twarze w czapkach SS-mannów — „Janusz Korczak — ostatnia droga”. Wśród mniejszych formatów, o wielkiej również sile ekspresji — jak to „Pocieszenie” — schyłona kobieta obejmująca dziewczynkę. Znów scena wyrażona wyłącznie paru nieśmiałyymi kreskami i grą paru walorów.

Cóż mogą wyrazić te słowa bezsilne. Te obrazy zamykają mi usta, tracę wszelką potrzebę formalnej oceny dyskusji — przekaz przeżycia tak silny, wydobyty środkami tak oszczędnymi, prawda tej sztuki, mówi sama za siebie.



Dziś, kiedy Izrael przeżył nowy upust krwi i kiedy cała jego przyszłość zdaje się zagrożona, teka Teresy Lewandowskiej jest również przypomnieniem niewymiernej ceny jaką ten naród, to młode państwo zapłaciło za swoje istnienie.

Józef CZAPSKI

Sprawy conradowskie

Nieraz już pisałem w *Kulturze* i gdzie indziej, o postępującym wzroście zainteresowania Conradem od czasu ostatniej wojny — zjawisku dla czytelników polskich na pewno nie obojętnym. Za każdym razem pisząc mniemałem, że zainteresowanie to dosięga chyba już szczytu i że zwykłą koleją mód literackich musi nastąpić odpływ. I za każdym razem myliłem się; przypływ trwa. W tej chwili można być pewnym że w każdym razie nie ustanie obecnie, gdyż w bieżącym roku przypada 50-lecie rocznica śmierci wielkiego pisarza, już od dawna uroczyste przygotowywana.

Nie sposób omówić w krótkim sprawozdaniu przejawów tej zdumiewającej popularności pisarza, należącego przecież do minionej już epoki. Ograniczę się więc tutaj do odnotowania tylko najważniejszych elementów.

Najlepszą miarę rozwijającego się wciąż zainteresowania naszym wielkim rodakiem jest najnowsza bibliografia conradowska Teetsa i Gerbera, która liczy nie mniej niż 670 stron i prawie 2000 pozycji.

Żołony przez prof. E. Bojarskiego w 1968 roku kwartalnik *Conradiana*, poświęcony wyłącznie informacjom i studiom o Conradzie, przeszedł od przeszłego roku pod opiekę teksańskiego uniwersytetu w Lubbock (Texas Tech. University) i wychodzi teraz w pięknej, drukowanej szacie w miejsce początkowych zeszytów, odbijanych na cyklostylu. Własne pismo, to zaiste przywilej, jakiego doczekało się niewielu z pisarzy*.

Przeglądając wspomnianą wyżej bibliografię, widzi się, że najżywszym ośrodkiem kultu Conrada — bo kultem trzeba to nazwać — są dzisiaj Stany Zjednoczone. Tam spotyka się większość nazwisk głośniejszych dziś w conradystyce, jak A. Guerard, T. Moser, D. Hewitt, E. Knapp Hay, R. Penn Warren, I. Watts, F. Karl. Uniwersytety amerykańskie produkują co roku dziesiątki tez habilitacyjnych na temat pisarza. Ten conradowski wyż ma niestety jedną skazę: zbyt wiele wkłada się do poważnej conradystyki śmiecia, produkowanego z czysto koniunkturalnych lub ambicyjnych względów. Lecz jest to nieunikniony skutek popularności i nie może zmniejszyć wagi samego zjawiska.

Rok 1972 widział aż dwa zjazdy, poświęcone Conradowi, jeden w Anglii, drugi w Polsce. Pierwszy odbył się we wrześniu 1972 roku, w Londynie i zgromadził około 50 uczestników z Ameryki i Europy, w tym szereg asów conradologii. Wygłoszono nie mniej niż 20 referatów. Co mnie — który brałem udział w tym kongresie — uderzyło w przeciwieństwie do dawniejszych spotkań z zagranicznymi conradystami, to rosnące zainteresowanie polską stroną w Conradzie. Wypytywano pilnie mnie i innych obecnych polskich conradystów na ten temat, a ponieważ przyniosłem swoją świeżo wydaną książkę „Conrad, człowiek, pisarz, Polak”, zasypano mnie pytaniami, kiedy książka ukaże się w angielskim tłumaczeniu, zamawiając ją z góry. Wyczuwało się wyraźnie, że wśród conradystów innych narodowości dojrzeła przekonanie, iż nie można Conrada w pełni zrozumieć bez poznania jego polskiego podłoża.

Bezpośrednio po konferencji londyńskiej nastąpił międzynarodowy zjazd conradowski w Polsce, na który udali się niemal wszyscy wybitniejsi uczestnicy zjazdu w Londynie. Wziął w nim udział także starszy syn Conrada, Borys. Kongres obradował wprawdzie w Warszawie potem w Krakowie, a skończył się wycieczką nad polskie morze. Mimo początkowych trudności organizacyjnych zjazd był, według relacji zagranicznych uczestników, na ogół dużym sukcesem.

* O prof. Bojarskim i jego czasopiśmie pisałem już w *Kulturze* przed kilkoma laty. Ten Amerykanin polskiego pochodzenia, który czuje się na wskroś Polakiem, rozwija od dawna zdumiewającą energię i zapał w propagowaniu sprawy Conrada. Będzie o nim w tym sprawozdaniu jeszcze mowa.

Nie koniec na tym. Na obu zjazdach — londyńskim i warszawskim — zdecydowano i omawiano już teraz sprawy następnego międzynarodowego zjazdu w 1974 roku z okazji 50-lecia śmierci Conrada. Zjazd ten ma odbyć się w Anglii, w Canterbury, stolicy hrabstwa Kentu, w którym Conrad przemieszczał niemal przez całe swoje angielskie życie i gdzie umarł. Przewodnictwo komitetu organizacyjnego objął ze strony angielskiej prof. Norman Sherry, najwybitniejszy dziś conradysta w Anglii, ze strony amerykańskiej Elizabeth Knapp Hay, a z polskiej prof. Przemysław Mroczkowski. Czytelników polskich powinno zaciekawiać, co w sprawozdaniu o przygotowaniach do tego zjazdu pisze jedna z członkin komitetu organizacyjnego Juliet McLauchlan: „Ponieważ Conrad żył przez tyle lat w Kencie i kochał Anglię niemal w równym stopniu jak swój kraj rodzinny (*he loved England second only to his native land*) angielscy członkowie komitetu zaproponowali, by konferencja odbyła się na uniwersytecie Kentu w Canterbury”. Jakże to odmiennie od niektórych polskich odezwań z jakimi można spotkać się do dzisiaj, pomawiających Conrada o zupełne wynarodowienie!

Pierwsza próba związania ludzi zainteresowanych Conradem w zorganizowane stowarzyszenie wyszła ze strony polskiej. W 1948 roku grupa Polaków w Londynie założyła „Klub Miłośników Conrada”, stawiając sobie jako cel szerzenie znajomości Conrada wśród swoich i obcych, zbieranie i zabezpieczenie wspomnień i pamiątek po nim, zwłaszcza związanych z jego polską przeszłością, nawiązanie kontaktu z conradystami zagranicznymi i krajowymi, a nawet zakupienie domu, w którym umarł, na conradowskie muzeum.

A obecnie powstaje już międzynarodowe stowarzyszenie, „International Joseph Conrad Society”, którego zarówno inicjatorem jak tymczasowym prezesem jest znowu zdumiewający Bojarski. Przed rokiem rozstał on do wszystkich wybitniejszych conradystów projekt statutu tej organizacji, a we wrześniu 1973 ukształtowała się już w Londynie angielska gałąź stowarzyszenia: „Joseph Conrad Society (United Kingdom)” z wspomnianym poprzednio prof. Normanem Sherry jako prezesem. Cele stowarzyszenia są podobne jak naszego „Klubu Conrada” z tym, że dodano punkt o potrzebie poznawania polskiego zaplecza pisarza przez zaznajamianie się z wszystkimi aspektami polskiej kultury.

W Polsce 50-ta rocznica śmierci Conrada znalazła także szeroki oddźwięk. Na zjazd w Kencie wybierają się prawie wszyscy polscy conradysty. Prof. Zdzisław Najder przygotowuje na ten rok wydanie swej długo oczekiwanej biografii pisarza. Prócz tego rozpoczęto pod redakcją tegoż prof. Najdera pierwsze pełne wydanie wszystkich dzieł Conrada. Wydawnictwo ukazuje się w nakładzie 20-tysięcznym; wydano już więcej niż połowę tomów. Zdaje się, że nawet odgórne opory, powstrzymujące dotychczas druk głośniejszej rosyjskiej powieści Conrada „W oczach Zachodu” zostały wreszcie przewyciężone i powieść może się w końcu uka-

że. Nieobecność tego wspianego dzieła w zbiorowym wydaniu byłaby zaiste nie do obronienia!*

Oto pobieżny obraz. Pozostaje odpowiedzieć, skąd bierze się obecnie ta zdumiewająca popularność Conrada? Może będzie najlepszą odpowiedzią, jeśli zakończę zdaniem angielskiej conradystki, M. C. Bradbrook z jej doskonałego dziełka „Poland's English Genius”:

„Szczególne dzieje jego ojczyzny, jego rodziny i jego własne sprawy, że Conrad poznał grozę życia podobną do tej, jaką my obecnie przeżywamy — i dlatego jest on pisarzem, który należy nie do przeszłości, lecz do przyszłości”.

Wit TARNAWSKI

* Niestety W oczach Zachodu i kilka esejów Conrada cenzura zatrzymała. (Red.).

Stypendia „Polonia Technica”

Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich Inżynierów w Stanach Zjednoczonych, POLONIA TECHNICA, INC., uchwaliło przyznać na rok akademicki 1974/1975 stypendia studentom Polakom, matrykulowanym na wyższych uczelniach zagranicznych (poza Stanami Zjednoczonymi A.P. i Kanadą) i studiującym nauki techniczne lub im pokrewne, jak matematyka, fizyka, chemia, ekonomia przemysłowa. Wysokość stypendiów zostanie uchwalona przez Komisję Stypendialną Stowarzyszenia.

Zainteresowani studenci winni nadesłać w terminie do końca czerwca 1974 roku podania pod adresem:

Polonia Technica, Inc.
Komisja Stypendialna
36 West 56 St., Apt. 1 C
New York, N.Y. 10019, U.S.A.

Do podania należy załączyć życiorys, zaświadczenie uczelni o przyjęciu na rok akademicki 1974/1975 (wydział i rok studiów), oraz referencje dwóch osób, znających osobiście kandydata.

Zaświadczenie uczelni dla kandydatów, ubiegających się o stypendia nie po raz pierwszy, winny zawierać wykaz egzaminów, złożonych w 1973/1974 roku. Podania winny być indywidualne; podania grupowe nie będą rozpatrywane.

Zawiadomienia o wynikach podań wysłane zostaną z końcem lipca br.

ZAZRZĄD „POLONIA TECHNICA, INC.”
W. J. KLIMKIEWICZ
Przewodniczący Komisji Stypendialnej

Sprawy (nie tylko) wydawnicze

„Krytyka” i krytyka

Wpływ „Archipelagu GUŁag” na czytelnika nie da się porównać z oddziaływaniem propagandowym wszystkich razem wziętych dotychczasowych relacji o systemie policyjnym w ZSSR. Od paru miesięcy dziesiątki milionów ludzi na obu półkulach — nie wyłączając ZSSR, Polski i Finlandii — czyta lub słucha Sołżenicyna.

Wpływa na to nie tylko treść książki, jakże często odległa od obiektywizmu historyka, ale przede wszystkim pasja Sołżenicyna dotarcia do samego dna zaropiałej rany. W pamięci czytelnika pozostaje nie opis, nie relacja legionu świadków — ale krzyk protestu przeciw groźbie deprawacji pokolenia, narodu.

„Krytyka” pozytywna

W kampanii prasowej przeciwko Sołżenicynowi chodzi m.in. o wywołanie wrażenia, że nie potępia się krytyki systemu, a tylko jej formę; cynicznie zachwala się natomiast krytykę „pozytywną”, mini-krytykę ku chwale Nieomylnych Rządzących. Jeśli o krzywdach i o walce ze złem — to tylko o imperializmie, Chile i — ostatnio — o Chinach. Na domowy użytek krytyka musi być obłaskawiona. Jeśli chcesz coś zganić — to tylko na tle entuzjazmu dla całości. W ZSSR ograniczenie publicznej krytyki doprowadzone jest do absurdu: gromić wolno tylko to, co już zganili przełożeni; krytykować wolno dopiero wtedy, gdy już „władza” się tym zajęła, winni zostali ukarani i skrytykowany stan rzeczy naprawiony. Obywatel oburza się wówczas wespół z dziennikarzem na sprawców czynu niegodnego, ale podziwia nieomylną, karzącą rękę Partii i Rządu.

W Polsce po Grudniu 1970 cały chyba rok trwał czas obračunku. Krytyka dotyczyła wtedy okresu „minionego”. Ale już

plenią się znowu grzeczne, przyzyczne słówka „krytyki pozytywnej”. W styczniu słuchałem znamiennego felietonu radiowego Andrzeja Szczypiorskiego. Wykpiwał on wielogodzinne zebrania, na których każdy mówca „zgadza się z referentem” po czym długo i kwieciste powtarza wyświechtane frazesy, cytując obficie co godniejszych dygnitarzy. Szczypiorski zwraca się co prawda do dygnitarzy najniższej rangi, ale jego apel dotyczy zapewne wszystkich. Chodzi o umożliwienie szerszej krytyki i zwalczanie wiernopoddanych deklaracji.

Luzy cenzury i dygresja

A więc zachęta do krytyki? Zachęcają do niej również nie spodziewane luzy cenzury i samocenzury. Wolno na przykład pisać bez inwektyw o pisarzach emigracyjnych. Już dwukrotnie czytałem w prasie krajowej o Gombrowiczu jako pisarzu wybitnym, a raz nawet o „ogromnym wpływie, jaki jego dzieła wywierają na młodzież literacką”. W styczniowym numerze *Miesięcznika Literackiego* rzeczowy artykuł o współczesnej poezji polskiej przynosi obszernie cytaty z dzieł Miłosza. Bez komentarzy przytacza się jego ocenę Leśmiana, drukowaną w „Prywatnych obowiązkach”^{*}. A przecież niewiele lat temu umieszczenie Miłosza w Słowniku Biograficznym polskiej literatury współczesnej spowodowało zakaz sprzedaży wielotomowej publikacji w kraju i przeznaczenie całego nakładu... na eksport.

Młodzież literacka — posucha po debiutach

Wspomniałem o młodzieży literackiej — stała się ona modnym tematem dyskusyjnym prasy społeczno-kulturalnej. Już przed laty Bratny alarmował: nie ma interesujących debiutów, młodzi „wiedną” po pierwszych próbach druku. Kij w mrowisko wsadził chyba J. Maciejewski (*Literatura*, 1973, nr 42); obrazu dopełnił list (do tegoż pisma) anonimowego Młodego Pisarza. Państwowy mecenat wyraźnie zawodzi. Stosunkowo łatwo udaje się młodemu kandydatowi „załapać status pisarza” (Bratny, 1970): coś mu gdzieś wydrukowano, przyhołubiono do Koła Młodych, przyznano raz i drugi stypendium, zaproszono na wieczór autor-ski. Więc już zaczyna się tryb życia pisarza, ale lata mijają i możliwości druku i stałe dochody z honorariów pozostają w sferze marzeń. Związek Literatów się „postarzał” — spośród 1200 jego członków tylko kilku jest w wieku poniżej 30 lat. Maszynopisy czekają latami nie tylko w wydawnictwach, ale nawet w redakcjach czasopism.

^{*} Czesław Miłosz, *Prywatne obowiązki*, Instytut Literacki, Biblioteka „Kultury”, tom 215, Paryż, 1972.

Alarm został ogłoszony. Ukazanie się „Almanachu Młodych 1973” (Iskry, grudzień 1973) z utworami 99 pisarzy dało asumpt do konsylium i próby diagnozy; w 3 numerze warszawskiego tygodnika *Kultura* Henryk Bereza, Roman Bratny i Janusz Głowacki stwierdzają groźby „katastrofalnej przerwy w dopływie młodych sił literackich”. Bereza wskazuje na dwa źródła tego stanu rzeczy. Pierwszą przyczynę kryzysu w literaturze polskiej widzi on „w doświadczeniach historycznych drugiej połowy lat sześćdziesiątych. To... musiało się odbić na twórczości pisarzy najmłodszych, ponieważ — jak wiemy — ich udział w doświadczeniach historycznych tych lat był niemały, a więc i nie bez konsekwencji”. Drugą przyczyną wynika z „negatywnego zaangażowania wydawców” — autor poddany jest (określenie nieco enigmatyczne) „naciskowi gotowych konwencji”. Przeciwwstawienie się „gotowym wyobrażeniom o literaturze” grozi młodemu pisarzowi pozbawieniem możliwości druku.

Janusz Głowacki wyklada kawę na łąkę. Zamiast używać „sociofizjologii” Berezy w rodzaju „poziom publikowalności”, czy przypowieści Bratnego o „gwoździu Cygana”, który ma uczynić „polską zupę literacką” smakowitą i zawiesistą, pisze on po prostu: „Bratny zachęca młodych do odwagi i formułowania zapisu stanu świadomości społecznej. Ale oni, nauczani pewnymi doświadczeniami, mogą pomyśleć, że Bratny albo sobie z nich żartuje, albo chce ich ‘załatwić’, skazać na niedrukowanie, na co mogą nie mieć czasu ani pieniędzy”. „W *Almanachu* przeważa pisanie na poziomie dziennikarskim, co może być dowodem głębokiego wycucia społecznego zamówienia. Może oni udają, że nie umieją pisać, aby zwiększyć swoje szanse i zrobić karierę. Ja im w każdym razie nie ufam, że piszą tak słabo, a tak słusznie bez premedytacji”.

Negatywne zaangażowanie wydawców

Powyższe wypowiedzi nie stanowią jedynie osobistych sądów cytowanych pisarzy. Rozeznanie sytuacji i przyczyn kryzysu polskiej literatury jest chyba w kręgach polskich działaczy kulturalnych powszechne. Tym należy zapewne tłumaczyć liberalną postawę odległego przecież od liberalizmu ideologicznego wodza Związku Literatów, płk. Zbigniewa Żałuskiego. Po przejęciu sztafety od Putramenta zapowiedział on rządy światłego absolutyzmu, łaskawego dla „warsztatu pisarza”, sprzyjającego poszukiwaniu nowych form. Żałuski zapowiada, że żaden członek Związku Literatów nie będzie pozbawiony prawa druku, postuluje uzyskanie przez Związek Literatów wpływu na wydawnictwa i redakcje czasopism.

Jak jednak skłonić wydawców do publikowania utworów kontrowersyjnych? I czy Żałuski tego NAPRAWDĘ chce, czy też tylko żartuje sobie z wydawców, albo pragnie ich „załatwić”

i postać tych najbardziej zbuntowanych na zieloną trawę albo na emeryturę? Na to odpowie praktyka polityki wydawniczej i nowy minister Kultury i Sztuki. Jemu w sztambuch zapisuje krytyka literacka, i sami pisarze, słowa przestrogi i apele. Mam nadzieję, że minister Kultury zna również książkę dokumentującą „osiągnięcia” mecenatu państwowego w latach 1945-1970.

Na gruzach socrealizmu

Mowa tu o wydanym przed rokiem tomie rozpraw „Literatura, a współczesne przemiany społeczne” (Państwowy Instytut Wydawniczy, 1972). Nie zamierzam ani recenzować, ani streszczać tych prac o polskiej literaturze współczesnej o tzw. tematyce społecznej. Interesują mnie wnioski dotyczące mecenatu państwowego: wydawano co roku dziesiątki milionów złotych na budowanie gmachu polskiego socrealizmu. W trzydziestolecie PRL powyższa książka dokumentuje jego klęskę, gmach okazał się z piasku i nawet z fasady pozostało tylko smętne wspomnienie.

„Przyczyny pozaliterackie” — mówi się o nich w tomie wielokrotnie — obok innych czynników „literackich” i „obiektywnych” stanęły na drodze rozwoju literatury o tematyce społecznej. Autorzy stwierdzają zgodnie, że w Polsce powojennej nie ma do dziś wartościowej książki o ludziach pracy. Cytujemy: „nie może w ogóle w dzisiejszym stanie literatury powstać powieść o dzisiejszej wsi” (str. 108); „robotnik (w powieści polskiej 1945-1970) to jedynie wiązka pożytecznych produkcyjnie funkcji. Dopiero tam, gdzie występują „nieprawidłowości” przemieni się on w człowieka”. „Wszystko rozgrywa się między stereotypem i nicością. Z jednej strony nieznośny schemat powieści produkcyjnej. Z drugiej praktyczne nieistnienie robotnika w powieści o pracy”. „Euforia 'pracy wyzwolonej' w powieściach produkcyjnych ustąpiła nowym schematom prozy lat sześćdziesiątych” (str. 236). „Etnograficzna, opisowa maniera literacka nie pozwoliła na głębszą analizę problemów młodzieży. Odnotowano niektóre objawy, nie podjęto poszukiwania przyczyn” (str. 300).

Po lipcu, po październiku — a co po grudniu?

Grudzień 1970 nie jest nigdzie w książce wspomniany. Jest on jednak niepisana cezura, ułatwiająca autorom rozprawienie się nie tylko z „produkcyjniakami” socrealizmu (termin w całej książce używany bez cudzysłowu), ale również z uwiadem literatury o tej tematyce w okresie gomułkowszczyzny. Dostało się tu chyba wszystkim, i „wielkim”, i „gniewnym”: od Andrzejewskiego i Ażajewa do Żółkiewskiego i Zdanowa. Wśród zaskakujących tekstów — swoista „rehabilitacja” Hłaski (wymienia go również

Bratny w warszawskiej *Kulturze* wśród czterech najwybitniejszych debiutantów trzydziestolecia — obok Borowskiego, Brychta i Głowackiego). Proza Hłaski — zdaniem krytyka — nie ma nic wspólnego z pesymizmem i „czarnowidztwem”; jego obrazy pracy stanowią odbicie rzeczywistości i pochwałę „postaw męskich”, silnych ludzi. Warto tu przypomnieć, że kampania przeciwko Hłasce stanowiła gwałtowne przerwanie popaździernikowej odwilży i nawrót do dogmatycznej polityki kulturalnej w Polsce (stała się również pretekstem do usunięcia Kuryluka ze stanowiska ministra Kultury i Sztuki).

Ale dość cytów. Dedykuję je krajom działaczom kultury, dla których szkice z „Literatury i współczesnych przemian społecznych” powinny stać się lekturą obowiązkową. Czy lektura tej książki nie powinna skłonić „kogo należy” do liberalizacji polityki wydawniczej? Przecież nikt rozsądny nie kwestionuje roli kulturalnej i zasług tych „negatywnie angażujących się”, asekuranckich, tradycyjnych wielkich domów wydawniczych PRL. Niech nadal rosną nakłady czasopism literackich, redagowanych przez stetryczających emerytów. Ale w interesie rozwoju literatury młodzi i „elitarni” pisarze powinni uzyskać własne, przez nich samych, samorządnie redagowane czasopisma i wydawnictwa seryjne, niewielkie choćby oficyny wydawnicze zrzeszeń i organizacji wszelkiego typu.

Na całym świecie szuka się przecież form popierania rodzimej twórczości. Przykład: Norwegia, a w ślad za nią Szwecja wprowadziły najbardziej demokratyczny sposób subwencjonowania pisarzy. Zrezygnowano z jakichkolwiek prób selekcji utworów wartościowych. KAŻDY utwór literacki Norwega czy Szweda wydrukowany po raz pierwszy kupowany jest AUTOMATYCZNIE w 1000-1200 egzemplarzy. Zakup nie zależy od tego kto jest wydawcą. Jeśli książka ukazuje się nakładem własnym autora — on sam otrzymuje tę subwencję w formie gwarantowanego zakupu. Osobliwością systemu szwedzkiego jest bezpłatne przekazywanie 400 zakupionych egzemplarzy księgarzom celem wyłożenia książki na wystawie i ewentualnej sprzedaży.

O nowe drogi do czytelnika

Znajdują się w Polsce pieniądze na subwencjonowanie wielu dziedzin kultury — teatrów, muzeów, bibliotek, prasy. Wydawcy książek w gestii ministerstwa Kultury i Sztuki dali państwu w 1972 roku 200 milionów złotych dochodu. Są środki i papier na wciąż przez prasę sygnalizowane laurkowe wydawnictwa jubileuszowe o każdym Wielkim Prezisie i Dyrektorze. Można więc chyba znaleźć fundusze na hojne wsparcie równorodnej twórczości pisarskiej młodych i „niedopasowanych”. A jeśli tej akcji sprzyjać będzie przytłumienie aktywności redaktorów i cenzury — to powstaną przesłanki nowego rozwoju polskiej literatury współczesnej.

Wskazałem na nieczęste w Polsce zjawisko publicznego rozdierania szat nad stanem współczesnej literatury. Warto, by równie głośno było w kraju o poszukiwaniach dróg wyjścia z kryzysu, by Ci-Co-Decydują pomni byli przestrogi Marii Dąbrowskiej: „Trzeba na tę drogę do przyszłych czasów uważać, żeby się z lęku nie pobłąkać, żeby przyszłości nie stracić, nie przepaść...”.

Adam BROMBERG

Uppsala, 5 marca 1974

Zapowiedzi wydawnicze

W niedługim czasie ukazać się w „Bibliotece Kultury” następujące książki:

CZESŁAW MIŁOŚZ

GDZIE WSCHODZI SŁOŃCE I KĘDY
ZAPADA



MICHAŁ HELLER

ŚWIAT OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH
A LITERATURA SOWIECKA



DEKLARACJA P R A W CZŁOWIEKA

w językach:

białoruskim, czeskim, litewskim, polskim,
rosyjskim, słowackim i ukraińskim.

Książki

Dziennik inż. Czerniakowa

6. IX. 1939 - 23. VII. 1942

Ubiegłego roku minęło trzydzieści lat od samobójczej śmierci inż. Adama Czerniakowa, prezesa Rady Starszych, tzw. Judenratu getta warszawskiego.

Było wiadomo, że Czerniakow spisywał, w małych notatkach, dzień po dniu, najważniejsze wydarzenia dzielnicy, zarządzenia niemieckie, spotkania i rozmowy z władzami, oraz swoje codzienne nieustępliwie próby i zabiegi ratowania i ulżenia losowi półmilionowej masy żydowskiej, stłoczonej za murami getta.

Ratowanie kultury i ochrona dzieci, walka z epidemiami i głodem w zaciskającej się katowskiej pętli. Świadomy tego, że w każdej chwili może być aresztowany i, że jego notatniki wpadną wtedy w ręce gestapo, Czerniakow pisał skrótami i niedomówieniami, nazwiska oznaczał jedną literą — niektóre zapisy pragnął, prawdopodobnie, opracować po wojnie. Ten bezcenny dokument zdawał się bezpowrotnie zgubiony i dopiero w 1964 roku odnaleziono go w Kanadzie, skąd został nabyty przez Instytut YAD VASHEM w Jerozolimie — instytut powołany do prac naukowych i centralizujący dokumenty dotyczące losów Żydów pod okupacją niemiecką.

Dziennik Czerniakowa, pisany po polsku, składa się z ośmiu małych bloczków, obejmujących w sumie z górą tysiąc kartek i kilka dołączonych wycinków z ówczesnej gazety żydowskiej, wydawanej w getcie. Notatników było dziewięć, ale piąty zaginął, prawdopodobnie w kwietniu 1941 roku podczas aresztowania Czerniakowa przez gestapo.

Pierwsze wydanie „Dziennika” ukazało się w tłumaczeniu hebrajskim z obszernymi przypisami i aneksami (395 str.; 264 stron faksymiliów) nakładem Instytutu YAD VASHEM w 1968 roku. Tekst polskiego oryginału ukazał się dopiero w 1972 roku w Biuletynie Żydowskiego Instytutu Historycznego, Nry: 3-4 (83-84),

lipiec-grudzień, Warszawa. Opracowanie, redakcję i przedmowę do edycji polskiej zawdzięczamy Marianowi Fuksowi, opracowania szczegółowych przypisów dokonał Leo Hochberg.



Adam Czerniakow był jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci getta warszawskiego — tak za życia, jak i po śmierci. Wrogowie zarzucali mu, że był związany z burżuazją żydowską, spoufalcony z niemieckimi mocodawcami, że zwalczał wszelkie ruchy oporu, tępił działaczy lewicowych itp. Emmanuel Ringelblum w swojej kronice getta („Ksowim fun getto 1939-1943”) zarzuca mu, że był złym administratorem i nawet śmierć jego uznał za cechę słabości.

Inni mieli go za człowieka nieposzlakowanego charakteru, żelaznego hartu, o zawsze godnej wobec Niemców postawie, człowieka rozumnego i oddanego bez reszty zadaniu, którego się podjął.

Prezesem gminy żydowskiej w okupowanej Warszawie nie mógł być w żadnym razie przedstawiciel lewicy, a Czerniakow został nim z woli prezydenta Warszawy, kolegi z okresu studiów. „Zostałem mianowany przez prezydenta Starzyńskiego prezesem gminy wyznaniowej żydowskiej w Warszawie (zapis z 23. IX. 1939 r.). Historyczna rola w obłożonym mieście, postaram się jej podołać”.

Po objęciu władzy przez Niemców Czerniakow został automatycznie uznany prezesem Rady Starszych, tzw. *Judenratu*.

Każda nieomal strona tego raptularza mogłaby służyć za materiał osobnego studium i, żaden sąd o Czerniakowie nie może być wydany bez wczytania się i rozważenia tego wstrząsającego przekazu.



Inżynier Adam Czerniakow (1880-1942) urodził się w Warszawie i tu ukończył studia średnie i wyższe, uzyskując w 1908 roku na Politechnice Warszawskiej dyplom inżyniera chemii, a następnie dyplom na wydziale przemysłowym Politechniki Drezdeńskiej. W latach międzywojennych wydał szereg pism fachowych, pełnił różne funkcje m.in. był radnym miejskim, z ramienia żydowskich organizacji ziemieśnicznych. W wyborach uzupełniających 1931 roku trafił do Senatu Rzeczypospolitej.

Z pozorów twardy i bezwzględny, był człowiekiem współczującym każdej niedoli, w głębi serca poetą, co pogłębiało jeszcze ciężar podjętego zadania.

Wrażenia wyniesione z lektury *Dziennika* potwierdza opinia prof. Hirszfelda, przez szereg miesięcy bliskiego współpracownika Czerniakowa w getcie¹.

O stosunku Czerniakowa do Polski świadczy duży portret

1. *Historia jednego życia*, Warszawa, 1957.

Piłsudskiego w jego gabinecie, podówczas emblemat państwowości polskiej, jak również ostatnie posiedzenie, zwołane w gminie, na kilka dni przed zarządzeniem „wysiedlenia na Wschód” warszawskiego getta. Na to posiedzenie zeszło się kilkaset osób; prezes odczytał fragmenty swego Dziennika i wygłosił mowę usiłując, jak zwykle, dodać otuchy słuchaczom. W przerwie uczestnicy zebrania usłyszeli odegrane na fortepianie fragmenty preludium Chopina, przeplatane akordami „Jeszcze Polska nie zginęła”.

To muzyczne intermedium groziło śmiercią, lub obozem, ale nikt z obecnych nie zaprotestował. Nikt się nie ruszył. — To była pieśń nadziei.

Czerniakow niejednokrotnie notuje ekscesy uliczników, podjudzanych przez Niemców, miejscowe pogromy i grabieże, spełniane przez męty miejskie, a także wypadki pobicia, ponieważ i urągania, których sam doznawał, udając się do swoich niemieckich mocodawców poza gettem, z obowiązującą opaską na ramieniu.

Notował w Dzienniku te wypadki, bez komentarza, jakby nie o niego chodziło, dzielił los całego narodu.

„...ulicznicy polscy ciskają kamienie przez murki na Chłodnej... Często zadawałem sobie pytanie, czy Polska to jest Mickiewicz i Słowacki, czy też ten ulicznik. Prawda leży po środku” (zapis z 9. VII. 1942 roku).

Czerniakow nie „trzymał” z burżuazją, jak mu zarzucano, mimo że sam do niej należał. W getcie wyciskał co mógł z bogatych Żydów na rzecz biednych, chronił, wspierał i ratował elitę narodu, artystów, naukowców i młodzież, łożył z wydzieranych od Niemców pieniędzy na kursy techniczne, pracownię plastyczne, studia teatralne, wykłady medycyny, farmaceutyki, higieny. Stałą jego troską były dzieci, obdarte, zawożące z głodu dzieci ulicy; wszczął akcję ratowniczą, otwierał sierocińce, domy podrzutków, izby zatrzymań, gdzie mimo jego najlepszej woli, dzieci ginęły z chorób, często okradane przez własny zgłodniały i wynaturzony personel w nieludzkich warunkach bytowania.

Dla tego bezdomnego i sierociego tłumu dziecięcego obmyślał zakładanie ogródków na kilku placach dzielnicy, w niedzielę miała tam grać orkiestra Służby Porządkowej (policji żydowskiej) — muzyka, zamiast chleba!

„Poleciłem sprowadzić dzieci z Izby Zatrzymań do ogródka (zapis z 14. VI. 1942 roku). Są to żywe kościotrupy, rekrutujące się z żebraków ulicznych. Część ich odwiedziła mnie w gminie. Rozmawiali za mną jak dorośli, ośmioletni obywatele.

Wstyd powiedzieć, że już dawno tak nie płakałem. Dałem im po tabliczce czekolady, poza tym wszyscy otrzymali zupę.

Przekleństwo tym z nas, co sami jedzą i piją, a o tych dzieciach zapominają...”

„Wielu ma do mnie pretensje, że urządzam zabawy dla dzieci, że uroczyste otwieram ogródki, że gra orkiestra etc. Przypominam sobie film: okręt tonie, a kapitan celem dodania ducha

pasażerom, każe grać orkiestrze jazzbandowej. Postanowiłem naśladować tego kapitana" (zapis z 8. VII. 1942 roku).

Co do swoich nie miał Czerniakow złudzeń, wiedział, że nawet wśród pracowników gminy, nawet wśród radnych, ma donosicieli, gestapowskich agentów, szpiegów i zdrajców.

"W *Popiołach Żeromskiego* czytam (zapis z 7. I. 1942 roku): 'Alboż to i ja nie mam pod swoją komendą zbirów, siepaczy, morderców, a przecież ich szczędzę i cenię [...], bo ci właśnie wywiodą z nieszczęścia, w razie obskoczenia' (słowa kapitana Wyganowskiego)".

System Niemców był zabawą kota z myszą. Niezliczone zarządzania, nieraz zupełnie sprzeczne, miały na celu utrzymanie dzielnic w poczuciu nieustannego zagrożenia. Rzekoma walka z epidemią (zbiorowe kąpiele, odwszenia, dezynfekcje) stanowiły jeden jeszcze sposób udręczenia ludności, podobnie jak nieustanne przesiedlanie całych ulic, lub bloków mieszkaniowych z terminem parogodzinny, rzekomo na potrzeby wojska, lub urzędów niemieckich, albo włączanie nowych przesiedleńców z prowincji, lub z Niemiec do przepelnionych już mieszkań. Głód i epidemie dziesiątkowały ludność; Niemcom o to chodziło, by getto ginęło z własnej winy. Mimo pozorów organizacji, getto było skazane na śmierć głodową. Przydziały żywnościowe na kartki równały się 10 % zapotrzebowania (po aryjskiej stronie przydziały wynosiły 24 %). Wysiłki i inicjatywa prezesa gminy, oraz najświetlejszych obywateli omurowanej dzielnicy, rozbiły się o nieodwołalne zarządzenie władz. Getto żyło, czy raczej utrzymywało się przy życiu, jedynie szmugłem dzieci żebrzących po aryjskiej stronie i szmugłem bogatych firm gangsterskich, przekupujących policję żydowską, polską i, nawet niemieckich żandarmów. Toteż walka ze szmugłem była nieubłagana, przemytników, przyłapanych przy robocie, zabijano nocami na miejscu, dzieci żebracze strzelano, jak psy bezpańskie. Czerniakow notuje sucho: „tej nocy tyle, a tyle śmierci, tyle, a tyle pogrzebów...”.

Przy nastaniu pierwszej zimy wojny sowiecko-niemieckiej (1941-42), źle zaopatrzoną na zimę pancerną armię Hitlera skuły wczesne mrozy, nieomal u bram Moskwy.

24. XII. 1941 roku rozlepiono po wszystkich gettach polskich zarządzenie rekwizycji wszystkich futer: męskich i damskich, z terminem czterodniowym (28. XII.) prezes Czerniakow był osobiście odpowiedzialny za tę zbiórkę. „Ogromne ogonki przed siedmiu punktami odbioru futer [...], ponadto ogłoszono obowiązujące składanie nowej bielizny, nieużywanych butów z cholewami i butów zakopiańskich. (Zapis z 27. XII. 1941 roku).

Zarządzenie okrutne, w połowie zimy, przy braku opału i zgłodzeniu ludności, wówczas kiedy większość już się była wyzbyła

odzieży na zakup żywności. Ale zatajenie ostatniego futra lub kożucha, albo przerzucenie go znajomym za mur groziło śmiercią, toteż ogonki trwały na mrozie do ostatniej godziny wyznaczonego terminu.

Następuje zestawienie wyniku rekwizycji futer męskich i damskich, skór, lisów, czapek, mufek itp. W sumie sztuk 181.788 — z jednego tylko getta warszawskiego.

„Słyszałem taką historyjkę” — notuje Ringelblum w swojej „Kronice” pod datą 24-25. XII. 1941 roku — „zwrócono się do Rady Żydowskiej, aby otworzyć domy publiczne dla tamtych (Niemców). Nie wyrażono na to zgody. Gdy mu (Czerniakowowi) zagrożono śmiercią, odpowiedział, że jako inżynier (chemik) do brze umie przyrządzić truciznę. Takiej samej odpowiedzi udzielił, kiedy mu zaproponowano, aby Żydzi utworzyli oddział policji dla zwalczania polskiego ruchu niepodległościowego”.

Ruchów oporu w getcie Czerniakow nie popierał, prasę podziemną zwalczał, co mu najbardziej zarzucali jego przeciwnicy, konsekwentnie chronił młodzież od masowego wyniszczenia w upartej nadziei zachowania tej najwartościowszej części narodu.

Końcowego rozwiązania kwestii żydowskiej (*Endlösung*), omal do ostatniej chwili nie przewidywał, czy nie chciał przyjąć do wiadomości, mimo, czy może dlatego, że był w stałych stosunkach z władzami okupacyjnymi, widując prawie codziennie komisarza do Spraw Żydowskich, dra Heinza Auerswalda. Odbýwał z nim wielogodzinne konferencje i rozmowy we cztery oczy. Prawdopodobnie Auerswald i jego podkomendni tolerowali wykształconego inżyniera, z którym należało się do pewnego stopnia i czasu liczyć. Może te stosunki zaślepiły Czerniakowa. Usiłował tłumaczyć komisarzowi, że spełnia historyczną rolę, przypominał mu Hudsona Law, gubernatora wyspy św. Heleny i jego więźnia, wysuwał mniemanie, że może jest pora, aby zmienić stosunek do Żydów i przypominał mu słowa Bismarcka o Żydach.

Jako odszkodowanie za rekwizycję futer prosił Czerniakow Auerswalda o zwolnienie skazańców z więzienia żydowskiego, aby w imię ludzkości zwrócił się z odpowiednim przedłożeniem do gubernatora (Fischera).

„Po długiej wymianie zdań obiecał mi solennie poruszyć sprawę zwolnienia skazańców u gubernatora”. (Zapis 7. I. 1942 roku). Czyli, że Czerniakow liczył na ludzkie uczucia komisarza, albo spodziewał się te uczucia w nim wzbudzić...

Znamienne jest, że przed samą *Endlösung*, czyli likwidacją getta warszawskiego (lipiec 1942 roku) Auerswald został z Warszawy odwołany.

W każdym zapisie Prezesa czytamy o nowych zarządzeniach władz, z nieodmienną karą śmierci za ich nie spełnienie: żądano dostarczania coraz nowych kontyngentów do obozów pracy, gdzie ludzie ginęli z głodu i epidemii; żądano rekwizycji mebli na dwieście mieszkań, żądano fortepianów, urządzeń biurowych; na-

kładano pod tym lub innym pretekstem kontrybucje, lub ściąganie podatków od ludzi, którym odbierano wszystko. Czerniakow na ogół notuje temperaturę danego dnia — rzecz szczególnie wagi, zwłaszcza zimą, przy braku opału, odzienia i żywności.

Jednostajność tych zapisów jest urzekająca, wciągają bowiem czytelnika w niesamowitą rzeczywistość bytowania dzielnicy. W zapisach nie znajdziemy ani jednego superlatywu, ani skargi, ani zdziwienia, ani też komentarzy. Fakty mówią same za siebie. Kilkakrotnie cytuję Czerniakowa słowa z Dickensa: „Łzami zegarka nie nakręcisz”. Niekiedy, bardzo rzadko słyszymy okrzyk trwogi, kiedy chodzi o syna jedynaka³.

„Tęsknię za pekińczykiem *Kikusiem* (zapis z 13. II. 1942 roku), małeństwo się zawieruszyło gdzieś, Bóg wie w czyich rękach się znajduje? Ale gdzie jest Jaś, jedyne dziecko moje?



Abram Gepner, zwany „królem żelaza”, w getcie prezes Zakładu Zaopatrzenia, czyli aprowizacji dzielnicy, jeden z dostojniejszych przedstawicieli burżuazji w getcie warszawskim, spytał Czerniakowa, skąd bierze równowagę i opanowanie.

„To są wyniki mego ciężkiego dzieciństwa — pisał — i warunki domu rodzicielskiego... Nauczyłem się tam cierpieć”. (8. VII. 1940 roku).

I jeszcze jedno wyznane u samego progu lat kłęski (15. XI. 1939 roku):

„Listopada 30-go, kończę pięćdziesiąt dziewięć lat...”

Podzieliłem sobie w swoim czasie (życie), w teoretycznym planie, na trzy części: pierwsza — nauka i zabawa; druga — czyny; trzecia — pojednanie z Bogiem i życie z samym sobą. Los zrobił *Strich durch die Rechnung*. Od 1905 roku, ja, który nikogo nie wyzyskiwałem i nie żyłem z pracy innych, płacę koszty handlowe za tych, co to robili. Takich, jak ja jest zresztą legion⁴... w przerwach snu cytuję „*Don Kichota*”, o jakże by się przydał błędny rycerz dziś”.

Z ulotnych wzmianek w Dzienniku wynika, że po całodziennym ujadaniu się z władzami, po rozpatrzeniu i wysłuchaniu tysięcznych zażaleń i reklamacji, po kontrolach kuchni, szpitali, sierocińca, więzień — prezes ratował się lekturą.

„Czytałem Prousta: *W cieniu zakwitających dziewcząt*”. Pisz: *Zwycięstwo przypada temu z przeciwników, który umie cierpieć kwadrans dłużej — jak powiadają Japończycy*. (28. V. 1940 roku).

3. Jan Czerniakow, z wykształcenia prawnik-ekonomista, uszedł w 1941 roku ze Lwowa w głąb ZSSR i umarł w Kirgizji w lipcu 1942 roku mając dwadzieścia osiem lat.

4. Prawdopodobnie chodziło o pierwsze zorganizowane ruchy polskiego antysemityzmu (M. Cz.).

Na wstępie do szóstego Notatnika (kwiecień 1941 roku) cytuję Czerniakowa z „*Juliusza Cezara*” Szekspira słowa Flawiusza:

„Cóż to? Czy nie wiecie,
Że w dzień powszedni, wam, ludziom rzemiosła,
Nie wolno chodzić bez oznaki cechu?”

26. V. 1941 roku: „Na noc jestem bardzo zmęczony. Będę czytał w nocy „*Życie zwierząt*” Brehma. Przypuszczam, że odpocznę”.

I znów nieprzerwany ciąg notatek o posiedzeniach, kontrolach, targach z władzami, ilości zabitych nocą, stanie sierocińców, szpitali, cmentarzy.

„A teraz, pisze 31. V. 1942 roku, myślę, co będzie jutro. *Penser c'est le moyen de souffrir* (Flaubert)”.

Zaraz w zapisie następnego dnia czytamy, że w warsztatach produkcyjnych robotnicy mdleją z głodu.

„Udaję się do władz o prawo zakupu żywności na wolnym rynku (28. V. 1941 roku)”.

Z wiosną 1942 roku zaczęły krążyć pogłoski o wysiedleniu Żydów na Wschód, mówiono o Ukrainie, Rumunii, ale znaczenie *Endlösung* pozostało tajne do ostatniej chwili. Na naleganie Czerniakowa odpowiadano mu w urzędach, że nic o tym nie wiedzą, że powinien uspokoić dzielnicę zapewnieniem, że te plotki to głupie brednie (*Unsinn und Quatsch*). Sam Auerswald zapewniał Prezesa, że może mu zaufać — wysiedlenia nie będzie.

W połowie lipca 1942 roku rozplakatowano zarządzenie komisarza o przedłużeniu godziny policyjnej do dwudziestej drugiej. Ta ulga miała zapewne uspokoić ludność wówczas, gdy komory gazowe Treblinka, Bełżca, Soliborza stały w pogotowiu.

„Z powodu paniki — pisał Czerniakow 19. VII — objechałem dziś, w aucie, całą dzielnicę. Nie wiem, czy udało mi się uspokoić ludność... Delegacjom, które się do mnie zgłaszają, staram się dodać ducha. Co to mnie kosztuje, nie wiedzą... Staram się, aby uśmiech z twarzy mi się nie odlepił”.

21. VII groza narasta, areszty radców, nocne egzekucje. Czerniakow nadal wierzy (czy usiłuje wierzyć), że to „przesiedlenie na Wschód”. Zabiega więc o wyłączenie z transportów dzieci, sierocińców, uczniów szkół rzemieślniczych i cennych rzemieślników, zatrudnionych, w tzw. „szopach”, na potrzeby wojska.

Auerswald nie przyjmuje, potem wyjeżdża.

„Sturmabfuhrer Hoefle — Beanfragter do akcji wysiedlenia oświadczył, że żona moja, na razie, jest wolna, ale jeżeli wysiedlenie się nie uda, pierwsza będzie, jako zakładnik, rozstrzelana!”

„23. VII. 1942 roku: Godzina trzecia. Na razie jest cztery tysiące do wyjazdu. Do czwartej, według rozkazu, ma być dziewięć tysięcy. Na pocztę zjawili się jacyś funkcjonariusze i polecili przychodzące listy i paczki kierować na Pawiak”.

5. Prawdopodobnie jako opiekunka sierocińców, bo wedle planu ustalonego, dzieci miały właśnie iść na pierwszy ogień. (M. Cz.).

W niespełną godzinę po tym zapisie Czerniakow odebrał sobie życie.



Niniejsze omówienie *Dziennika* Adama Czerniakowa daje o tym zapisie zaledwie pojęcie. *Dziennik*, jako obraz człowieka i dokument historyczny, zasługuje na wszechstronne opracowanie i rozważenie.

Maria CZAPSKA

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewicz Zielińska na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie i książek nadesłanych autorce do recenzji (adres: Quinta das Romãzeiras, Feijó, Portugal).

Historia literatury

12. MAŁGOWSKA, Hanna Maria: *Sieroszewski i Syberia*. Toruń, 1973, 8°, str. 201, streszczenie w języku angielskim. (Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Prace habilitacyjne).

Autorka uważa Wacława Sieroszewskiego za „wybitną indywidualność literacką, świetnego samouka naukowego”, skompromitowanego w okresie międzywojennym „związkami z obozem sanacyjnym” — ale w pełni zasługującego na lepsze miejsce na Parnasie. Za największe zasługi Sieroszewskiego uważa odtworzenie w powieściach o tematyce syberyjskiej „codziennej egzystencji” wygnańców, którą on sam potrafił wypełnić „aktywnością, dla której trudno byłoby znaleźć miejsce w podzielonym kraju”. Uważa nadto, że w pracach etnograficznych przekroczył barierę językową i jest do dziś ceniony przez fachowców jako wczesny badacz plemion syberyjskich a w szczególności Jakutów, Tunguzów, Buriatów i Czukczów. Kłopotliwy dla autorki międzywojenny okres działalności pisarskiej i publicznej Sieroszewskiego określony został pobłażliwie jako swego rodzaju okres błędów i wypażeń — i odpowiednio zwięźle potraktowany. Analiza powieści syberyjskich jest natomiast sumienna i ciekawa, oparta o dobre czytanie w literaturze rosyjskiej dotyczącej Syberii.

Biografie. Pamiętniki

13. SZYMANOWSKI, Józef: *Listy do Starościny Wyszogrodzkiej*. Tekst opracował, wstępem i komentarzem opatrzył Franciszek Korwin-Szymanowski. Warszawa, 1973, Państwowy Instytut Wydawniczy, 8°, str. 213 (3), front. portr., ilustr.

Autor listów był uczestnikiem Obiadów Czwartkowych a do literatury wszedł jako wytworny tłumacz „Świątyni Wenery w Knidos” Montesquieu’go. Był gorącym zwolennikiem konstytucji 3 Maja i członkiem rządu powoła-

nego przez Kościuszkę w czasie Insurekcji. W lutym 1795 usunął się z życia publicznego i osiadł na wsi: „To, co do publicznych okoliczności, wszystko zniknęło z Ojczyzną”.

Adresatką ogłoszonych obecnie listów była Aniela ze Swidzińskich Szymanowska, wówczas już wdowa po najstarszym bracie autora listów, Michale. Jej właśnie zwierzał się Szymanowski ze swych obaw o przyszłość Kraju i skarżył, iż „jest pewna miarka nieszczęścia, która jak się dopełni, już po tym odrętwiałość następuje”. I w tym nastroju umarł w roku 1801 i dobrze pasują do niego słowa Mickiewicza o pisarzach stanisławowskich, którzy „pomarli w żalobie i rozpacz” tworząc jakby „orszak pogrzebowy odprowadzający ojczyznę do grobu”. O własnej egzystencji wyraził się Szymanowski dosadnie: „Zniemy, gniewamy się na deszcz, na robotników. *Voilà notre histoire*”.

W liście 19 (z 21. IX. 1792) ciekawa obserwacja „semantyczna” z racji wymiany listów Kościuszki i Stanisława Szczęsnego Potockiego: „W odpisie zdaje się być nowy język utworzony, którego wyrazi co innego chęć znaczyć, a co innego dotąd znaczyły. Być przymuszonym jest być wolnym, słuchać okazu jest być niepodległym, bronić wolności jest sprowadzić obcych etc. Ciekawy słownik i język trudny do zrozumienia. Podobnym chyba mówiono przy budowie Wieży Babilońskiej” (chodzi, oczywiście, o język listu Potockiego).

14. KONARSKI, Szymon: *Dziennik z lat 1831-1834*. Przygotowali do druku Bolesław Łopuszański i Anatol Smirnow. Wrocław, 1973, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo PAN, 8°, str. 360. (Polska Akademia Nauk, Oddział w Krakowie, Materiały Komisji Nauk Historycznych, Nr 23).

Tekst „Dziennika” oparto o rękopis, znajdujący się obecnie w Moskwie w aktach dawnego Oddziału III; stąd współredaktor Rosjanin a także swoista interpretacja zapisów, jako pokazujących „obraz Konarskiego odarty z nimbu „narodowej świętości”, obraz zwyczajnego, nie pozbawionego wad człowieka, urozmaicającego sobie beznadziejność emigracyjnego życia w sposób często mało wyszukany, ujawniającego na zewnątrz swe bardzo nieraz osobiste i intymne sprawy”.

„Dziennik” obejmuje okres powstania listopadowego, internowania w Prusach Wschodnich (1831-2), emigrację do Francji i ponowne internowanie w Prusach Wschodnich po katastrofie wyprawy Zaliwskiego (o której „Dziennik” milczy, a w której Konarski brał udział) wreszcie pobyt w Belgii i Szwajcarii w latach 1833 i 1834. Liczne zapiski z okresu francuskiego dotyczą udziału Konarskiego w pracach porębu węglarskiego w Besançon. Był to ostatni etap zagranicznych wędrówek Konarskiego, jeśli nie liczyć krótkiego wypadu do Anglii, zapowiedzianego w ostatnim zapisku w „Dzienniku”. W 1835 znalazł się ponownie w Kraju, jako emisariusz z zadaniem organizowania komórek Stowarzyszenia Ludu Polskiego. Aresztowany w Wilnie w roku 1838, rozstrzelany 27. II. 1839 roku w aureoli bohatera narodowego, którym był istotnie, choć trudno by doszukać się w „Dzienniku” zapowiedzi dalszej jego roli i postawy.

Historia Polski

15. Robert Howard LORD: *Drugi rozbiór Polski*. (*The second partition of Poland* oraz *The third partition*). Przełożył Andrzej Jaraczewski, wstępem poprzedził Jerzy Łojek. (Warszawa) 1973, Instytut Wydawniczy „Pax”, 8°, str. 512, front. portr.

Zarówno rocznica Konfederacji Barskiej jak i Pierwszego Rozbioru nie odbiła się żywym echem w wydawnictwach historycznych krajowych. Tym

większe zainteresowanie budzi przekład fundamentalnej pracy Amerykanina, ks. R. H. Lord'a, wspartej przedmową Jerzego Łojka i dającej obiektywny obraz sytuacji politycznej Polski w II-ej połowie XVIII wieku. Książka osobiwa, od wydania w okresie I wojny światowej (1915) czekająca bez skutku na przekład polski, mimo pochwalnych ocen historyków krajowych (Korzona, Br. Dembińskiego). A gdy przekład się wreszcie ukazał — dziwnym zrządzeniem losu najdosłowniej wypełnia rażącą lukę. Jest bowiem dotąd, jak słusznie stwierdza Łojek, „ostatnim słowem nauki”.

Autor (ur. 1885, zm. 1954) studiował historię w Harvardzie i tam spotkał A. C. Coolidge'a, który zainteresował go studiami nad historią Europy Wschodniej. Praca o II rozbiore była teżą doktorską Lord'a. W okresie jej pisania korzystał z archiwów Petersburga, Berlina i Wiednia, docierając (jako Amerykanin) do dokumentów dotąd niedostępnych dla Polaków. Dopuszczano go do nich, przypuszczając — jak sam żartobliwie to oceniał — że młody Amerykanin niewiele zrozumie i wyzyska. Stosunkowo najsłabiej przebadaną archiwę polską — i tu występują luki, które wypełnić mogą i powinni historycy krajowi. Dzieło o II rozbiore — będące rozszerzoną wersją jego pracy doktorskiej — nie wyczerpuje zasług Lord'a. Spotykamy go w bezpośrednim otoczeniu płk. E. M. House'a w roli kierownika sekcji do spraw Europy Wschodniej na Konferencji Pokojowej w Wersalu. Po powrocie do Stanów Zjednoczonych wykładał w Harvardzie, a w roku 1924 objął (po Coolidge'u) katedrę nowożytnej historii Europy. Wydał wtedy drugie swoje dzieło: „Geneza wojny francusko-pruskiej 1870 roku”. W dwa lata później, niespodzianie dla otoczenia, zrezygnował z katedry i kariery naukowej i w roku 1929 przyjął święcenia kapłańskie i poświęcił się pracy duszpasterskiej. Kontaktów z Polakami nie tracił i bardzo sobie cenił honorowy doktorat Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie oraz członkostwa towarzystw naukowych. Był, mimo to, zdecydowanie przez Polaków niedoceniony. Przekład, staranny i rzetelny, wydany pod okiem wybitnego znawcy historii Polski w końcu XVIII wieku — jakim jest Łojek — jest niejako wyrównaniem tej krzywdy.

Druga Wojna Światowa

16. GODZISZEWSKI, Tadeusz: *Pisane w Rothesay*. Ze wspomnień oficera rezerwy. Warszawa, 1973, Czytelnik, 8°, str. 194 (2).

Relacja o kampanii wrześniowej i walkach sformowanego przez autora oddziału na Lubelszczyźnie uzupełniona opisem przejścia na Węgry przez zloną granicę wiosną 1940 roku, w towarzystwie 13-letniego syna. Autor spisał ową relację na wyspie Rothesay, w obozie dla „zbędnych” oficerów i w roku 1942 wysłał na konkurs londyńskich „Wiadomości Polskich”, jako „Pamiętnik rezerwisty”. Uzyskał dwie nagrody: Naczelnego Wodza i „Wiadomości”, oraz pochwały Zygmunta Nowakowskiego, przewodniczącego Jury.

O dalszym ciągu kariery życiowej Godziszewskiego pisze syn, Jerzy. Autor relacji pojawia się w nieciekawej roli szefa sztabu płk. Ad. Bogorii Zakrzewskiego, jako organizator „repatriacji” żołnierzy PSZ do Kraju w 1945 roku i przyjaciel „Stasia” Strumph Wojtkiewicza.

Curiosa

17. DROZDOWSKI, Bohdan: *Życie samo w sobie*. (Szkice i felietony 1971-1972). (Warszawa, 1973), MON, 8°, str. 408.

Zbiór wypracowań na tematy dowolne, na poziomie maturzysty z powojennego gimnazjum. 408-stronicowy tom dzieli się na „Teatrowanie” i

zbiór felietonów, opartych o wrażenie z lektury lub „głębokie” rozważania autora o „przyjaźni”, „nienawiści”, „propagandzie”, wieku dojrzałym itp. Autor ma za sobą dwadzieścia lat pracy pisarskiej i redaktorskiej i chybioną karierę dyplomatyczną, a jak wynika z niżej przytoczonego tekstu uważa, iż uspokoił się, dojrzał i zaopatrył w spory zapas doświadczeń i przemyśleń życiowych:

„Mam dziś lat czterdzieści i synów, którzy są młodzieżą. [...] Jestem w sytuacji człowieka, który może swoim synom zapewnić pełen komfort nauki i spokoju — dostatkowi i miłości obojga rodziców, ale wymagam ambicji, poszanowania dla prawd wiecznych, sceptycyzmu wobec prawd „prawidłowych”, czyli doraźnych, żądam myślenia, sprawdzania danych i przestrzegam przed łatwowiernością” (str. 368).

Credo Drozdowskiego mógłby podpisać dowolny wiktoriański „pater familias”, trzymający w ryzach rozruchaną rodzinę. U 43-letniego PRL-owca — raczej dziwi.

Autor zapisał się trwale w kronikach anglo-polonistów bzdurnym dziennikiem pt. „Albion od środka”. Wrażenia z Anglii powracają i tu, by znów nie najlepiej świadczyć o zmyśle obserwacyjnym autora. Zgorszył np. Drozdowski pewien rodak-architekt, mieszkający w Anglii, który, odwiedzając Kraj, paradował „w spodniach po trzydziestu szylingów para” a na nogi wdziewał „kupione w Polsce tanie sandały”. Rodak ów miał w oczach wykwintnego i zamożnego autora jeszcze inne wady: oszczędzał np. „nawet na jasności żarówek, jeśli pali się jedna w *sitting room* to wszędzie indziej światła są wygaszone”. To już istotnie skandal i działanie na szkodę elektryków! A w dodatku, chcąc olśnić Drozdowskiego, „zdradził się, że nosi płaszcz, co na dwie strony jest dobre, czyli że jest po prostu biedakiem”. Tu należy wylać łzę, ale nie nad architektem w płaszczu z materiału *double-face*, ale nad horyzontami myślowymi Drozdowskiego.

Poziom ich rysuje się najpełniej w rewelacjach na temat syjonizmu (str. 342-3). Dowiadujemy się np., że „NRF od chwili swego powstania włączyła syjonistów do światowej kampanii na rzecz wybielenia Niemiec hitlerowskich, na rzecz zdjęcia winy za zbrodnie popełnione przez faszyzm na biedocie żydowskiej krajów Europy. Przed dojściem do władzy NRF płaciła samym tylko koncernom USA milion dolarów rocznie za kampanie antypolskie”. Można by cytować te brednie dalej. Nie warto.

O Vincenzie po ukraińsku

W XXIII tomie wydawanego w Monachium pisma *Naukovi Zapysky* ukazało się obszerne studium *Tropamy Stanisława Vincenza*. Autorem jest Rostysław Jendyk, antropolog, pisarz i krytyk ukraiński, uczeń profesora Jana Czekanowskiego, od niedawna rektor Ukraińskiego Instytutu Techniczno-Ekonomicznego w Monachium. Profesor Jendyk zaczyna od wspomnienia i kończy wspomnieniem:

„W roku 1926 autor niniejszego studium stał wraz ze swym przyjacielem Józefem Bochnerem przed centralną kawiarnią w Kołomyi, gdy nagle ujrzał przechodzącą grupę ludzi z jedną osobą na czele: potężnym mężczyzną o rozwichrzonych włosach na wielkiej okrągłej głowie i o szeroko wykrojonych niebieskich oczach, z których świeciła dobroć, bystrość i inteligencja. Siedem lat potem, siedząc w domu Vincenza w Bystrecu na Huculszczyźnie przy-

pomnieliśmy sobie owo spotkanie. A więc wystarczyło mgnienie oka, aby w pamięci pozostał na długie lata niezatarty obraz tego niecodziennego człowieka: poety, pisarza, filozofa czy też historyzofa, i etnologa.

Chyba ostatnim impulsem do napisania tetralogii 'Na Wysokiej Połoninie' stała się znajomość ze szwajcarskim historyzofem Rudolfem Marią Holzapflem (1874-1930), który poszukiwał na podstawie psychologii nowych zasad dla syntetycznego ideału kultury ze swoistymi religijnymi, etycznymi i esetycznymi wartościami. Jego zdaniem, warunkiem rozwoju kultury mogą być przede wszystkim przeżycia osobiste. Z przypadkowych notatek Vincenza Holzapfela dowiedział się o życiu Huculów i ujrzał w nim niewykorzystane dotychczas złoże duchowe, z których mogłyby wyjść nieprzemijające wartości odrodzeniowe dla udoskonalenia moralnego człowieka w Zachodniej Europie. Holzapfel zachęcił Vincenza do chwycenia za pióro, ale na tym wpływ jego się zakończył... To co było i Holzapfela odwrotem od jałowej cywilizacji i powrotem do praw starowieku, to u Vincenza było utrzymaniem związku z przyrodą i zarazem z wewnętrzną radością i wesołością. Innymi słowy: Holzapfel głosił to, czego nie posiadał, a Vincenz pisał o tym, co miał i co chciał utrzymać".



„Na ziemiach Zachodniej Ukrainy Vincenz był wielki duchem i przybił na nich pieczęć swej wielkości: będąc sam szlachetnym, znajdował wszędzie szlachetność, będąc sam *vir* i uosobienie *virtus* wyspiewywał *viros* Huculscy znowu wraz z archetypami *virtutes* jej starowieku. Mężowie tej miary są własnością całej ludzkości, której przewodzą. I za to Ukraińcy i Polacy spoglądają na tę postać z wdzięcznością i podziwem.

Obawiam się, że te ostatnie słowa nie zadowolą ani braci-Ukraińców ani przyjaciół-Polaków. Niech więc na zakończenie wystarczy jeden jedyny epizod z pobytu Vincenza w ukraińskiej placówce w Monachium przed laty: Dowiedziawszy się, że spotkana tam posługaczka Wasyłyna pochodzi z Huculszczyzny, wielki pisarz i wielki pan Stanisław Vincenz pochylił swą potężną postać ku maleńkiej stareńkiej, dobrej i życzliwej gajdzinie z Krzywiorówni, i długo, długo rozmawiał z nią jak z równą. Któż to jeszcze potrafi?"

WPLATY NA WYDANIE „LISTÓW Z NIEBA” STANISŁAWA VINCENZA

Jan Kluczyński, Grenoble	F. 500	Dr M. Buchalik, Hanau	DM 40
Irena Jakubkiewicz, Genewa-Karachi	sfr. 100	Ks. Prałat J. Janusz, Mannheim	DM 100
Dr Mirosław Stasik, Rüschheim	DM 100	Kompania Wartow. 8531	DM 200
Zygmunt Marzys, Neuchâtel	sfr. 100	Kompania Wartow. 8532	DM 100
Maria Eldar, USA	\$ 50	Kompania Wartow. 8530	DM 100
Paweł Łysek, USA	\$ 10	Kompania Wartow. 8533	DM 250
Benedykt Heydenkorn, Toronto	\$ 20	Kompania 8905	DM 40
Jakub Elefant, Brooklyn	\$ 50	Zespół pracowników wyd. Oświatnie Wiadomości, Mannheim	DM 60
Inż. Piskozub, Hamburg	DM 100	Członkowie komp. wart. 8563	DM 50
Dr Alfred Loepfe, Lucerna	sfr. 85	Jeanne Hersch, Genewa	sfr. 500
Wit Tarnawski, Monmouth	£ 3.00	Michael Begert, Trogen	sfr. 50
Adam Bromke, Ottawa	DM 28	Bezimiennie, Frankfurt	DM 30
Jerzy Hauptmann, Norymberg	DM 35	Camille Caille, La Combe	F. 100
Jack Smith, Grenoble	F. 100	Dr Koneczaki, Londyn	\$ 12
		John Niciecki, Chicago	\$ 15

Nadesłane nowości wydawnicze

- PARIS (Marianne). *Wakacje w Orzechowie*. Powieść. Str. 124 i 4 nlb. (Wyd. Edition du Lion, Paryż 1973, cena F. 8,00).
- PARIS (Marianne). *Lusia — Kochankowie Jutrzenki*. Powieść. Str. 147 i 5 nlb. (Wyd. Edition du Lion, Paryż 1973, cena F. 10,00).
- DUDZIŃSKA (Zofia). *Walka — Męczeństwo — Cmentarze*. Przewodnik po miejscach pamięci narodowej Warmii i Mazur. Str. 97 i 33 nlb. (w tym 28 fotografii). (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1973, cena zł 35,00).
- MOSTOWSKI (Ludwik). *Skazany dwa razy na śmierć*. Poślowie Andrzeja Wakara. Str. 88 i 4 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1973, cena zł 15,00).
- OLESIK (Klemens). *Wywołać mnie z lasu*. Str. 129 i 3 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1973, cena zł 15,00).
- DRZEWIENIECKI (W. M.). *Zapomniany oddział Wołyńskiej Brygady Kawalerii — IV Batalion 84 pułku Strzelców Polskich (Kolegom z wrześniowego IV/84 p. S.P. poświęcam)*. Odbitka z nr. 35 i 36 *Gwiazdy Polarnej*, 1 i 7 września 1973, Buffalo, N.Y.).
- BIEŁY (Andrei). *Kotik Létaiev*. Przekład z rosyjskiego Georges Nivat oraz Georges Nivat: *Palimpseste de l'enfance*. Str. 290 i 2 nlb. (Wyd. Editions l'Age d'Homme, Lausanne, 1973, seria: Classiques Slaves).
- UNGER (Leopold). *Livre blanc sur l'adhésion de l'U.R.S.S. à la Convention Universelle sur le droit d'auteur*. Str. 63 (powielacz). (Wyd. Hubert Halin, Secrétaire général du Comité International pour la Défense des Droits de l'Homme en PRSS, Bruksela, 1973).
- CIECHANOWSKI (Jan M.). *The Warsaw Rising of 1944*. Str. 332. (Wyd. Cambridge University Press, Cambridge, February 1974; cena £ 6.60).
- LOURIE (Richard). *Sagittarius in Warsaw*. Str. 185 i 1 nlb. (Wyd. The Vanguard Press, Inc., New York, N.Y., 1973).
- MACKIEWICZ (Józef). *In the Shadow of the Cross*. Z polskiego przełożył Wiktor Moszczyński. Str. 136 i 4 nlb. (Wyd. Contra Publishing, New York, N.Y., 1973).
- WANKOWICZ (Melchior). *Three Generations*. Przekład z polskiego Barbara Cękańska. Przedmowa Benedykta Heydenkorna. Str. 418 i 2 nlb. (Wyd. Canadian-Polish Research Institute in Canada, Toronto, 1973, cena \$ 7.95 plus 10 % na koszty wysyłki).
- STANKIEWICZ (W. J. Prof.). *Canada - U.S. Relations and Canadian Foreign Policy*. Seria: Studies in Public Philosophy. Str. 43 i 13 nlb. (Wyd. Girs Press, West Chesterfield, N.H., 1973).
- SHARAN-OLEARCHYK (Renata Maria). *Types of Ethnic Identification and Generational Position*. The Study of the Ukrainian Immigrant Group in the U.S.A. Str. 72. (Odbitka z *Ukrainian Review*, Vol. XVIII, Nos. 3 and 4, 1971; wyd. Association of Ukrainians in Great Britain Ltd., Londyn).
- Defenceless. Three Complaints by the Government of Israel respecting grave violations of the 1949 Geneva prisoners-of-war convention. Str. 23 i 1 nlb. (Wyd. Ministry of Foreign Affairs, Division of Information, Israel Information Centre, Jerusalem, Decembre 1973).
- JANTA (Alexander). *Letters by Charles the First of England to the Polish Commons and by Char-*

- les the Second to John III of Poland. Str. 10. (Nadbitka z The Polish Review, Vol. XVIII, No. 3, 1973, str. 52-57, New York, N.Y.).
- BERGER (L.). *A Sociogram of the Jewish Diaspora*. Str. 7-45. (Nadbitka z The Office for Economic and Social Research, The Jewish Agency, Tel-Aviv, 1973).
- KORZEC (Paweł). *The Steiger Affair*. Str. 38-57. (Nadbitka z Soviet Jewish Affairs, Vol. 3, No. 2, 1973).
- MATEJKO (Alexander). *The New Wave of Polish-Canadians*. Str. 116-129 (vartyper). (Odbitka z Migrant Echo, Volume II, July-September 1973, No. 1).
- LAWRUK (Bohdan). *On Symplectic Relations in Partial Differential Equations*. Str. 8 (powielacz). (Wyd. American Mathematical Society Summer Institute on Differential Geometry, Stanford University, July 30 - August 17, 1973).
- CESNULIS (Petras). *Nuzmogintieji. Vilnieciu Golgota Lenku Okupacijoje*. Str. 256 i 4 nlb. (Wyd. Vilniaus Krasto Lietuviu Sajungos leidiny, Hamilton, Ont., 1973).
- BOCHENSKI (Joseph M.). *Marxismus-Leninismus. Wissenschaft oder Glaube*. Str. 147 i 1 nlb. (Wyd. Günter Olzog Verlag, München-Wien, 1973).
- ROGOWSKI (Marian). *Gewonnen gegen Hitler*. Przełożył z polskiego Peter Lachmann. Str. 266 i 4 nlb. (Wyd. Rogner und Bernhard, München, 1973).
- BÖHNING (Peter). *Die Nationalpolnische Bewegung in Westpreussen 1815-1871*. Str. 254. (Wyd. J. G. Herder-Institut, Marburg/Lahn, 1973).
- SCHMID (Karin). *Das Münchener Abkommen. Thesen, Argumente, rechtliche Konsequenzen*. Str. 96. (Droste Verlag, Düsseldorf, 1973).
- Gespräche in Fesseln*. Anonyme Gedichte aus den slowakischen Gefängnissen in der Ära Stalins. Przedmowa Tino Berko. Thuma-
- czenie ze słowackiego na niemiecki David Tatransky. Str. 53 i 3 nlb. (Wyd. Slovakisches Kulturzentrum, München, 1973).
- KUNSTMANN (Heinrich). *Rimbaud bei den Slaven*. Str. 228-241. (Nadbitka z Die Welt der Slaven, Vierteljahrsschrift für Slavistik, Jahrgang XVI, Heft 3, 1971, wyd. Otto Harrasowitz, Wies-Baden).
- KUNSTMANN (Heinrich). *Fürst Janusz (II) Radziwiłł an der nürnbergischen Universität Altdorf*. Str. 324-330. (Nadbitka z Slavistische Studien zum VII. Internationalen Slavistenkongress in Warschau 1973, Wyd. Dr. Dr. Rudolf Trofenik, München, 1973).
- KUNSTMANN (Heinrich). *Die Figur des Königs in der polnischen Gegenwartsdramatik*. Str. 414-426. (Nadbitka z Serta Slavica in Memoriam Aloisii Schmaus, wyd. Dr. Dr. Rudolf Trofenik, München, 1971).
- KRZYŻANIAK (Marian), ŌZMUCUR (Süleyman). *The Distribution of Income and the Short-run Burden of Taxes in Turkey, 1968*. Str. 69-97. (Nadbitka z Finanzarchiv, neue Folge, Band 32, Heft 1, wyd. J. C. B. Mohr (Paul Siebeck), Tübingen, 1973).
- LEWYŹKYJ (Borys). *Die Führungsgremien der KPdSU in Soziologischer Sicht*. Str. 881-888. (Odbitka z Osteuropa, nr 11/1973).
- LEWYŹKYJ (Borys). *„Sovetskij Narod” Was heisst eigentlich „So-wjetvolk”? Str. 105-115. (Nadbitka z Österreichische Osthefte, 15 Jahrgang, 2. Heft, Wien, Mai 1973).*
- Monumenta Ucrainae Historica*. Tom XI Vol. (1633-1659) Supplementum Zibraw Mytropolyt Andrej Szeptyckij. Str. XXIII i 647 i 1 nlb. (Wyd. Editiones Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Pape, Rzym, 1974).
- Bohoslovnia*. P. 1971, Tom XXXV Volum. Kn. 1-4. Str. 256 i 4 nlb. (Wyd. Ukrajinske Bohoslovne Naukowe Towarystwo, Rzym, 1971).
- WITOSCHYNSKA (Olha). *Podorożi Blaženiszohu Kyr Josyfa VII 1968-1970, w switli czużoji presy*. Str. 143 i 107 nlb. (fotografie). (Wyd. Opera Theologicae Societatis Scientifica Ucrainorum, Tom XX, Rzym-Paryż, 1972).
- Perszi ukrainski propowidnyky i ich twory*. Str. 187 i 1 nlb. Wyd. II. (Wyd. Editiones Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Pape, Tom XXXV, Rzym 1973).
- KYSILEVSKYJ (Constatinus, Prof. Dr). *Ukrainske mowoznawstwo w ostannij dobi. Filologiczni praci*. Str. 193 i 3 nlb. (Wyd. Editiones Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Pape, Rzym, 1973).
- Blahowisnyk Werchoweno Archiepyskopa Wizantyjsko-Ukrainskoho (Hreko-Rusko) Obriadu*. Rik VIII, Kn. 1-4. Str. 90 i 22 nlb. (fotografie). (Wyd. w Rzymie 1972 in Castello Gandolpho).
- Almanach 1933-1973 Ukrainskoho Slova*. Adresar Ukrainciw u Wilnomu Switi — ADUK. Str. 321 i 5 nlb. (Wyd. P.I.U.F., Paryż, 1973, cena F. 30).
- MARTIUK (Iwan). *Centrosojuz. Sojuz Kooperatywnych Sojuzi w Lwowi w rokach 1925-1944*. Str. 126 i 2 nlb. (Wyd. M. P. Kots, Jersey City, N.J., 1973).
- Cantar de mio Cid*. Thumaczenie na ukrainski prof. dr. Bohdan I. Lonchyna. Str. 161 i 3 nlb. (Wyd. Editiones Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Pape, tom VIII, Rzym, 1972).
- ŁYSIAK-RUDNYČKYJ (Iwan). *Miz istoriiju i politykoju*. Str. 441 i 3 nlb. (Wyd. Suczasnist', Monachium, 1973).
- Ukrainian Art Digest*. June 1973, 13. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. Ukrainian Artists Association in U.S.A., Philadelphia Branch, 1973).
- GUL (Roman). *Azef. Istoriceskij roman*. Str. 318 i 2 nlb. (Wyd. „Most”, New York, N.Y., 1974).
- MOND (Georges H.). *La información y la „guerra psicológica” en los países socialistas*. Str. 25. (Odbitka z Revista Espanola de la Opinión Pública, nr 32, Abril-Junio 1973).
- MOND (Georges H.). *La télévision des pays socialistes entre la culture et la politique*. Str. 29-65. (Nadbitka z Revista del Instituto de Ciencias Sociales, Barcelona, Nr 22 (1973)).
- JANTA (Aleksander). *Nowe odkrycie Ameryki*. Str. 489 i 7 nlb. (Wyd. Libella nakładem Czytelników, Paryż, 1973).
- ŁUKASZUK (Leonard). *Państwo a gospodarka w Niemieckiej Republice Federalnej. Zagadnienia polityczno-prawne*. Str. 216. (Wyd. Instytut Zachodni; seria: Studium Niemcoznawcze Instytutu Zachodniego nr 23, Poznań, 1973, cena zł 40).
- MARCINKIEWICZ (Jan). *Następcy Ikara*. Str. 158 i 4 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, seria: Zielona Biblioteka Polska, tom XII, Londyn, 1973).
- Morąg — z dziejów miasta i powiatu*. Str. 205 i 1 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1973, cena zł 52).
- BRAT ROGER (Przeor Taizé). *Walka ludzi pokoju*. Thumaczył z języka francuskiego Władysław Pelc, okładka: Roman Cieślewicz. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1974).
- SOBCZAK (Janusz). *Propaganda zagraniczna Niemiec weimarskich wobec Polski*. Str. 355 i 3 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni; seria: Studium Niemcoznawcze Instytutu Zachodniego nr 24, Poznań, 1973, cena zł 65).
- WINOWSKA (Maria). *Prace do miłosierdzia*. Poślanictwo Siostry Faustyny. Str. 277 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1974).
- MOŻEJKO (Edward). *Jeszcze raz to sprawie tzw. „porównawczych literatur słowiańskich”*. (Nadbitka z Canadian Contributions to the Seventh International Congress of Slavists, Warsaw, August 21-27, 1973, str. 121-138; Wyd. Mouton, The Hague, 1973).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-2-74

Rada Państwa PRL ustanowiła nowe odznaczenie państwowe. Jest nim Medal Trzydziestolecia Polski Ludowej, który będzie nadawany w bież. roku, począwszy od 22 lipca, za zasługi oddane PRL. ■ Premier Piotr Jaro-szewicz oświadczył, że PRL zakupuje za granicą 3,7 milionów ton zbóż i pasz kosztem 350 milionów dolarów.

17-2-74

Znany socjolog, Józef Chałasiński, obchodzi 70-lecie urodzin i 45-lecie pracy naukowej.

18-2-74

Plenum KC Litwy wybrało pp. Gryczkiewiczusa na pierwszego sekretarza Litwy.

20-2-74

W PRL niezmierznie uroczysto obchodzono 80-lecie Jarosława Iwaszkiewicza. Został on odznaczony Wielkim Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski, prezydium Sowietckiego Komitetu Obrony Pokoju przyznało mu złoty medal „Bojownika o pokój”, a prezydium Rady Najwyższej ZSSR — order „Przyjaźni Narodów”. Ponadto z okazji tego jubileuszu w Moskwie i Leningradzie odbyły się uroczyste wieczory literackie. ■ Na łamach *Trybuny Ludu* miała miejsce dyskusja na temat bezpieczeństwa pasażerów w pociągach w PRL, gdzie stwierdzono, że kolej i milicja nie dają sobie rady z plagą chuligaństwa.

21-2-74

Wicepremier PRL, Józef Tejcma, przyjął od nowomianowanego ordynariusza diecezji chełmińskiej, ks. bpa Bernarda Czaplińskiego ślubowanie na wierność PRL. Tekst ślubowania brzmi: „Ślubuję uroczysto dostrzegać wierność Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, przestrzegać jej porządku prawnego i nie przedsięwziąć niczego, co mogłoby zagrażać dobru Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. ■ Wicewojewoda gdański, Jan Mariański, przyjął od proboszczów i administratorów parafii diecezji gdańskiej, chełmińskiej, koszalińsko-kołobrzeskiej i warmińskiej ślubowanie, przewidziane obowiązującymi przepisami prawa PRL. ■ W Kościele w Polsce w roku 1973 wyświęconych zostało 557 kapłanów (450 diecezjalnych i 107 zakonnych). W roku 1972 zmarło natomiast 250 kapłanów (203 diecezjalnych i 55 zakonnych), w roku 1971 zmarło 253 kapłanów (200 diecezjalnych i 53 zakonnych). ■ Wyższe seminaria duchowne diecezjalne i zakonne 20. 10. 1973 roku liczyły 4.174 alumnów (3.035 diecezjalnych i 1.139 zakonnych). W roku 1972 liczyły 4.130 alumnów (3.051 diecezjalnych i 1.073 zakonnych), w 1971 — 4.085 (3.097 diecezjalnych i 991 zakonnych). ■ Według danych Biura Misyjnego Sekretariatu Episkopatu stan polskich misjonarzy w początku 1974 roku wynosił 826 osób, w tym 597 kapłanów, 45 braci zakonnych, 178 siostr zakonnych i 6 osób świeckich. Misjonarze polscy pracują w 24-ach krajach Afryki, Ameryki Południowej, Australii i Oceanii oraz Azji. ■ Wyższa szkoła partyjna przy KC KPCz (której rektorem był niegdyś znany historyk i jeden z czołowych działaczy Praskiej Wiosny Milan Huehl) zażądała od 50 swych absolwentów zwrócenia dyplomów doktora i kandydata nauk za czyny niegodne marksisty i za propagowanie prawicowego oportu-

nizmu. Chodzi tu o tych absolwentów, którzy w roku 1968 i poprzedzających aktywnie współuczestniczyli w ruchu reform. Wielu spośród nich znajduje się obecnie w więzieniach, inni zmuszeni są do wykonywania niekwalifikowanej pracy. ■ W ZSSR nastąpiła inflacja orderów i odznaczeń. Ostatnio wprowadzono nowy order „Chwały pracy”, który odznaczonym daje szereg przywilejów, a mianowicie: podniesienie emerytury o 15 %, pierwszeństwo w uzyskaniu indywidualnego mieszkania, bilet pierwszej klasy na pociągi, statki czy samoloty upoważniający do podróży po Związku raz do roku, bezpłatne korzystanie z transportu publicznego, prawo do bezpłatnego pobytu w domu wypoczynkowym raz do roku, prawo dostawiania biletów do kin, teatrów etc., bez ogonka.

22-2-74

W Warszawie podpisano protokół o wymianie towarów między PRL a Ukrainą Republika Sowiecką. Protokół zakłada 70 % wzrostu obrotów w porównaniu z rokiem ubiegłym. PRL ma otrzymać m.in. rowery, telewizory, aparaturę fotograficzną i artykuły gospodarstwa domowego, będzie natomiast eksportować na Ukrainę tekstylia, kosmetyki i artykuły sportowe. ■ W Warszawie nakładem Państwowych Wydawnictw Szkolnych ukazała się w nakładzie 80 tysięcy egzemplarzy książka pt. „Przysposobienie obronne” (II rok nauczania). W książce m.in. znajduje się taki ustęp: „Inną masową formą dywersji ideologicznej są próby przemytu do kraju wrogiej literatury. Uczestniczą w nim aktywnie antykomunistyczne ośrodki na terenie NRF, Francji, Wielkiej Brytanii i USA. Do takich ośrodków należy tzw. 'Kultura' w Paryżu. Jest to ośrodek współpracujący z elementami kontrrewolucyjnymi innych krajów socjalistycznych. Ośrodek paryski (kierowany przez J. Giedroycia) próbuje nawet w kraju tworzyć konspiracyjne organizacje działające na płaszczyźnie dywersji ideologicznej”.

1-3-74

W Moskwie podpisano umowę o współpracy w budowie w PRL w latach 1981-83 pierwszej elektrowni atomowej. ZSSR ma dostarczyć podstawowe wyposażenie, paliwo, ściśle współpracę w projektowaniu, budowie i uruchomieniu elektrowni; szkolenie kadry polskich specjalistów odbędzie się w ZSSR.

2-3-74

W Stolicy Estonii, Tallinie, odbyła się manifestacja antysowiecka. Niesiono transparenty z napisami „Precz z władzą sowiecką”. Jest to pierwsza tego rodzaju manifestacja w Estonii od czasów przymusowego włączenia tego kraju do ZSSR.

3-3-74

Według prasy krajowej 730 tysięcy obywateli PRL ma dyplomy wyższych uczelni, 4 miliony ukończyło szkoły średnie ogólnokształcące lub zawodowe. ■ *Życie Gospodarcze* podaje, że w PRL, w trzeciej dekadzie stycznia br., to jest po podwyżce cen, sprzedaż wódek spadła o 25-30 %. Równocześnie zanotowano zwiększenie popytu na cukier i drożdże, a więc podstawowe surowce do produkcji bimbru. ■ W PRL powstał Instytut Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu, którego kierownikiem został mianowany Andrzej Werblan. Instytut ma pracować nad formułowaniem podstaw ideologicznych działalności PZPR, oraz teorii budownictwa socjalizmu. Instytut zajmuje się również ideologiczną problematyką międzynarodową. ■ Rada Państwa PRL wniosła do Sejmu projekt ustawy o ustanowieniu orderu zasługi. „Order” ten ma być nadawany obywatelom państw obcych, lub zamieszkałym za granicą innym osobom (nasza Polonia), które swą działalno-

cia polityczną, społeczną, gospodarczą, naukową, oświatową, kulturalną i in. wniosły wybitny wkład w dzieło współpracy międzynarodowej oraz umacnianiu i pogłębianiu przyjaźni łączącej PRL z innymi krajami". Projekt przewiduje ustanowienie pięciu klas. ■ W *Życiu Warszawy* ukazało się następujące podziękowanie Jarosława Iwaszkiewicza: „Nie mogąc podziękować osobno każdemu, przesyłam tą drogą podziękowania wszystkim osobom oficjalnym i prywatnym, stowarzyszeniom, związkom, szkołom a także pojedynczym redaktorom, przyjaciółom, kolegom, znajomym za złożone mi życzenia, kwiaty i pamiątki z okazji mojej osiemdziesiątej rocznicy. Przyjąłem je z wdzięcznością i wzruszeniem. Także dziękuję moim anonimowym korespondentom za przypomnienie o znikomości sławy tego świata. — Jarosław Iwaszkiewicz.

5-3-74

PRL zakupuje w Związku Sowieckim 111 tysięcy telewizorów: 55 tysięcy odbiorników programu czarno-białego, 25 tysięcy telewizorów przenośnych, 31 tysięcy odbiorników programu kolorowego typu „Rubin” i „Elektron”.

10-3-74

We Wrocławiu zmarł, w wieku 70 lat, Kardynał Bolesław Kominek. Kardynał Kominek otrzymał święcenia kapłańskie w roku 1927, został mianowany Arcybiskupem Wrocławia w czerwcu 1972 roku, a Kardynałem 2 lutego 1973 roku. ■ Z okazji 30-lecia PRL organizowane są na świecie „Dni kultury polskiej”. Do ZSSR wyjedzie 100 zespołów muzycznych, a do krajów europejskich 60 zespołów teatralnych. Ma być również zorganizowanych około 200 wystaw polskiej plastyki. ■ Komitet Nagród Państwowych PRL ma zgłoszonych 900 kandydatów do nagród.

15-3-74

PRL sprzedała za granicę, począwszy od 1945 roku do końca 1972 roku, 640 milionów ton węgla. ■ We dworze w Komorzy Małej, należącym przed wojną do rodziny Janta-Polczyńskich, urządzono dom młodego pisarza im. Aleksandra Janty. Z tego powodu dwór został znacznie rozbudowany. Jednocześnie Roman Janta-Polczyński, mieszkający obecnie w Gdyni, otrzymał stypendium rządowe w wysokości 40 tys. zł. na opracowanie „700 lat rodu Janta-Polczyńskich”. Wreszcie Muzeum Kaszubskie zwróciło się do córki Leona Janty-Polczyńskiej, min. Rolnictwa w okresie międzywojennym, z prośbą o ofiarowanie Muzeum odznaczeń, dokumentów etc. swego ojca.

ZACHÓD — EMIGRACJA

14-2-74

Z inicjatywy *Unione Italiana per il Progresso della Cultura* odbyło się w Rzymie zebranie z udziałem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Gianlorenzo Pacini na temat „Archipelagu Gułag” Al. Sołżenicyna. ■ W Londynie zmarł, w wieku lat 67, ppłk dypl. Franciszek Kalinowski, obserwator Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii. Płk Kalinowski był autorem książki pt. „Lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii”, wydanej przez Instytut Literacki. ■ W grudniu ub. roku zmarł w Rzymie, w wieku 73 lat, Kazimierz Krupiński, dziennikarz, żołnierz 2-go Korpusu, członek zarządu Instytutu Historycznego w Rzymie.

15-2-74

Emigracyjny czeski dom wydawniczy w Kolonii INDEX wydaje w języku czeskim A. Sołżenicyna „Archipelag Gułag” („Suostroví Gułag”). ■ Uka-

zujący się w Rzymie dwumiesięcznik *Duszpasterz Polski Za Granicą* z powodu trudności finansowych przeszedł w bież. roku na kwartalnik. ■ Ks. płk Tadeusz F. Malanowski, zastępca naczelnego kapelana armii amerykańskiej w Europie, został mianowany przez Papieża prałatem honorowym, zaś prezydent Nixon mianował go generałem brygady. ■ Wybitny polski kompozytor, Tadeusz Baird, otrzymał *ex aequo* z kompozytorem francuskim Claude Ballif nagrodę im. Arthura Honnegera. Nagroda ta jest przyznawana co dwa lata. Jury wybrało laureatów spośród 98 kandydatów z 25 krajów. ■ W Monachium zmarł, w wieku 68 lat, dr Rostysław Jendyk, antropolog (uczeń J. Czekanowskiego), wybitny ukraiński pisarz i publicysta.

18-2-74

Liceum polskie (Lycée Polonais) w Saint-Jean-les-Deux-Jumeaux, 77660 Changis-sur-Marne przyjmuje zapisy: 1) na półroczny kurs maturalny rozpoczynający się 1 maja bież. roku — koszt z internatem F. 3.800; 2) do trzech ostatnich klas liceum na rok szkolny 1974/1975. Całkowity koszt roczny wraz z internatem F. 6.000.

26-2-74

Aeroclub de France wyróżnił książkę Jerzego Cynka pt. „The Polish Aircraft 1893-1939” jako najlepszą napisaną w języku obcym książkę o lotnictwie. Książka J. Cynka ukazała się w ub. roku w Londynie w wydawnictwie Putnam and Co.

28-2-74

W znanym piśmie literackim „Insula” w Madrycie został zamieszczony poemat Józefa Wittlina „Himno a una cucharada de sopa” w przekładzie Elizabeth Lipton i Francisco Brines. Zapowiedziane jest ukazanie się wierszy Józefa Wittlina w języku hiszpańskim.

1-3-74

BBC II w Londynie nadał program *Eagles in Exile* o Polakach osiadłych w Walii. ■ Do Paryża przybył wybitny pisarz sowiecki Władimir Maksimow, zaproszony przez francuski Pen-Klub, który — po usunięciu Maksimowa ze Związku Pisarzy Sowieckich — wybrał go ubiegłej jesieni na członka. Panuje powszechne przekonanie, że Maksimow zostanie w najbliższym czasie pozbawiony obywatelstwa sowieckiego. ■ Pisarz sowiecki Władimir Wojnowicz, ostatnio usunięty ze Związku Pisarzy Sowieckich, został przyjęty na członka francuskiego Pen-Klubu. ■ Wybitny adwokat w NRF, dr Robert Kempner, objął pełnomocnictwo procesowe z ramienia Władysława i Stanisława Żeleńskich, bratanka i syna Tadeusza Boya-Żeleńskiego, pisarza zamordowanego w lipcu 1941 roku we Lwowie. Dochodzenie w tej sprawie, wytoczone przez prokuratora w Hamburgu a przeniesione ostatnio do Münster, skierowane jest na podstawie świadectwa dr Karoliny Lanckorońskiej przeciw Hansowi Krügerowi, b. komisarzowi gestapo. Władysław Żeleński uzyskał prawa strony jako ten który, opierając się na tym świadectwie, doniósł o przestępstwie, zaś Stanisław Żeleński, zamieszkały w Warszawie, jako najbliższy krewny zamordowanego występuje z prawami oskarżyciela posiłkowego (Nebenkläger). W roku 1945 Kemper, podówczas obywatel amerykański, był członkiem zespołu oskarżycielskiego w procesie w Norimberdze. ■ Paryska Fundacja im. hr. Jakuba Potockiego ofiarowała bombę kobaltową służbie zdrowia PRL.

2-3-74

Wojciech Skalmowski, profesor Uniwersytetu w Louvain, znany orientalista, wygłosił w S.P.K. w Brukseli odczyt o perskiej poezji. ■ Zarząd Koła

S.P.K. w Paryżu urządził „Diner-Debat” z odczytem p. Max Richard pt. „Crise pétrolière et la construction européenne”.

4-3-74

Paryski tygodnik *Le Nouvel Observateur*, ogłasza rezultaty badań Instytutu Badania Opinii Publicznej S.O.F.R.E.S., z których wynika, że 66 % komunistów francuskich potępia decyzję rządu sowieckiego skazującą Sołżenicyna na wygnanie. Analogiczne badania wykazały, że 69 % socjalistów jest również tego samego zdania. ■ W Genewie zmarł, w wieku 82 lat, Jacob Burckhardt, historyk, dyplomata i pisarz. Był on wysokim Komisarzem Ligi Narodów w Gdańsku w latach 1937-39.

5-3-74

W Paryżu, w Institut Catholique, odbył się odczyt prof. J. Mycińskiego z Uniwersytetu w Lille pt. „Le Grand Duché de Varsovie”. ■ W Paryżu w Hôtel Drouot odbyła się czwarta sprzedaż obrazów, rysunków i akwarel Mieczysława Łurczyńskiego.

6-3-74

W Galerie Lambert w Paryżu została otwarta wystawa obrazów malarza japońskiego Akira Terakado.

8-3-74

10 lat temu rząd brytyjski przyznał z budżetu Ministerstwa Obrony pomoc dla b. żołnierzy PSZ i PSWK, którzy służyli pod dowództwem brytyjskim i mieszkają w Wielkiej Brytanii. Nadzór nad tym Funduszem sprawuje brytyjsko-polski komitet doradczy, a zarządza nim mieszany komitet wykonawczy. Obecnie przewodniczącym Komitetu jest płk O. Marcinek. British Legion przejął na siebie bezinteresownie przekazywanie zainteresowanym przyznanych zapomóg, a S.P.K. zapewniło w swym gmachu lokal dla sekretariatu oraz pomoc techniczną. Wysokość funduszu pomocy, ustalana corocznie przez Parlament, wyniosła w 1973 roku £.stg. 120 tysięcy. W czasie swej 10-letniej działalności Fundusz Pomocy wydał £.stg. 845 tysięcy.

11-3-74

W Instytucie Wschodnim „Reduta” w Londynie odbył się odczyt red. Michała Demkowicz-Dobriańskiego, b. kierownika Sekcji Ukraińskiej Radio Liberty, pt. „Współczesna Ukraina w świetle literatury dysydenckiej”.

18-3-74

Paweł Litwinow, wnuk Maksyma Litwinowa, przybył do Wiednia w drodze do Izraela. Paweł Litwinow, inżynier chemik, w wieku 33 lat spędził 4 lata na wygnaniu na Syberii za udział w manifestacji w Moskwie przeciwko inwazji Czechosłowacji w 1968 roku. Jest on bardzo związany z A. Sołżenicynem i A. Sacharowem.

KRONIKA KANADYJSKA

Zarząd Fundacji im. Adama Mickiewicza w Kanadzie przyznał specjalną nagrodę Fundacji w wysokości Dol. 250 B. Heydenkornowi, naczelnemu redaktorowi *Związkowca*, w uznaniu jego zasług dla Polonii Kanadyjskiej na polu dziennikarsko-publicystycznym. Redaktor Heydenkorn otrzymał jednocześnie nagrodę Fundacji im. Reymonta. ■ Oddział kanadyjski Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce zawiadamia, że w dniach 16-18 maja

1975 roku odbędzie się trzeci Kongres Instytutu Naukowego w Ameryce. Kongres będzie się odbywał na Uniwersytecie McGill w Montrealu. Obowiązującym językiem dla wszelkich tekstów i przemówień ma być język polski, angielski lub francuski. ■ 17. 2. br. w Montrealu zmarła, w wieku 72 lat, p. Wanda Bortnowska, wdowa po gen. Bortnowskim. ■ Zarząd Główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej wraz z ontaryjskim oddziałem Ukraińsko-Kanadyjskiego Komitetu oraz Federacji Włosko-Kanadyjskich Stowarzyszeń i Klubów, przedłożyli *Canadian Radio and Television Commission* memoriał domagający się wprowadzenia programów w językach innych niż angielski i francuski, a przede wszystkim w polskim, włoskim i ukraińskim, oraz przeznaczenia przez *Canadian Broadcasting Corporation* (CBC) w roku bieżącym 3 milionów dolarów na rozpoczęcie tych programów. ■ W Winnipeg został uruchomiony jednogodzinny polski program telewizyjny. Nadawany jest raz w tygodniu, w środy od 9.30 do 10.30 wieczorem. Jest on — podobnie jak programy w Montrealu i w Toronto — nadawany ze stacji prywatnych i transmitowany kablami. ■ Rada miasta Ottawy zatwierdziła wniosek o zmianę nazwy ulicy College, położonej w dzielnicy uniwersyteckiej, na Copernicus. ■ Dyrekcja Krajowych Targów w Toronto (*Canadian National Exhibition*) zaangażowała na trzy wieczory w dniach 23-24 i 25. 8. br. „Zespół pieśni i tańca armii PRL”. Komunikat CNE informuje, że zespół ten składać się będzie z 60 śpiewaków, 35 tancerzy i 40 muzyków. ■ Grupa I i Grupa 7 Związku Polaków w Kanadzie nabyły wspólnie, za cenę pół miliona dolarów, posiadłość na wybrzeżu jeziora Ontario. ■ Zrzeszenie Lekarzy kanadyjskich wystąpiło z wnioskiem zamknięcia imigracji dla lekarzy, utrzymując że grozi ich nadmiar. ■ Kanadyjskie przepisy imigracyjne uległy znacznemu zaostrzeniu. Kandydaci na emigrantów będą musieli — niezależnie od innych warunków — wykazać, iż ich kwalifikacje pokrywają się z wymaganiami kanadyjskimi i będą musieli posiadać umowę o pracę. ■ Dyrygent Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, Kazimierz Kord, bawiący na gościnnych występach w Kanadzie, spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem. Zaproponowano mu prowadzenie torontońskiej orkiestry symfonicznej podczas jej objazdu europejskiego, który ma się rozpocząć w maju br. i jednocześnie zaproponowano mu objęcie stałego stanowiska dyrygenta tej orkiestry. Kord przyjął pierwszą ofertę, a drugą rozważył. ■ Prof. Alexander Matejko prowadzi w programie telewizyjnym w Edmontonie cykl pogadanek na tematy związane z odpoczynkiem po pracy. ■ 7. 3. br. zmarł w Toronto, w wieku 70 lat, Zbigniew Grabowski, znany pisarz i publicysta.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Dr Stanisław Chyliński, przewodniczący Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku, zmarł jesienią ub. roku, zapisał Fundacji 125.000 dolarów „na popieranie polsko-amerykańskiej współpracy kulturalnej”. ■ W Chicago powstało stowarzyszenie dla rozwoju studiów polskich pod nazwą *Association for the Advancement of Polish Studies*. Przewodniczącym został prof. dr Sigmund Birkenmeier z Penn State University. ■ 15. 2. br. na posiedzeniu naczelnej dyrekcji Kongresu Polonii Amerykańskiej w St. Antonio prezes A. Mazewski podał do wiadomości, że w ub. roku trzech Amerykanów polskiego pochodzenia zostało przyjętych do administracji federalnej. Ponadto stwierdził, że zadania KPA nie mogą być realizowane z braku funduszy. Również poważnie szwankuje strona organizacyjna KPA. ■ 23. 2. br. został wybrany prezesem Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku W. Golaski, wynalazca i przemysłowiec. ■ 1. 3. br. w Chicago odbyło się wspólne posiedzenie przedstawicieli Kongresu Polonii Amerykańskiej i czo-

łowej organizacji żydowskiej w USA B'nai B'rith, na którym dyskutowano sprawę walki przeciwko antypolskim wystąpieniom amerykańskich środków masowego przekazu. Przedstawiciele B'nai B'rith wyrazili gotowość poparcia polonijnej akcji w tej dziedzinie. Ponadto przedstawiciele KPA twierdzili, że jest coraz więcej publikacji żydowskich pisarzy, oskarżających Polaków o antysemityzm w czasie okupacji hitlerowskiej. Dyskusja nie dała żadnych rezultatów. ■ W Chicago powstał „Komitet Obywatelski na Stan Illinois”. Zadaniem Komitetu jest koordynacja prac organizacji kombatanckich i społecznych, stojących na gruncie niepodległościowym.

Z OSTATNIEJ CHWILI

W Londynie zmarł, w wieku lat 78, gen. Aleksander Pragłowski. ■ W dniach 9 i 10 marca odbył się w Londynie Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii. Na prezesa Zjednoczenia wybrano Artura Rynkiewicza oraz dokooptowano 12 osób dla uzupełnienia Rady Bibliotecznej.

“POLONIA”

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwarjatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej **KULTURY** i **ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH**.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Listy do Redakcji

Lethbridge, 16 lutego 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytuję artykuły Londyńczyka z dużym zainteresowaniem, chociaż często nie podzielam jego poglądów na przyszłość Polski i układ geopolityczny w Europie Środkowo-Wschodniej. Trudno mi uwierzyć w rzekomą wyższość ustroju socjalistycznego, który zdaniem Londyńczyka najlepiej zadowoli aspiracje narodu polskiego, gdy Polska nareszcie odzyska prawdziwą niepodległość. Pomimo tych zastrzeżeń czytanie Archiwum i Kroniki angielskiej sprawia mi dużą przyjemność z uwagi na wiele trafnych obserwacji i eleganckich sformułowań, które wynikają z wnikliwej analizy wydarzeń współczesnych i znajomości przeszłości.

Natomiast ilekroć Londyńczyk wdaje się w rozważania filozoficzno-religijne staje się widoczne, że na ten temat nie ma on dużo do powiedzenia od siebie, lecz powtarza najczęściej cudze, banalnie płytkie opinie. Można przytoczyć sporo przykładów tej powierzchowności, która drażni w piśmie tego kalibru co *Kultura*. Ograniczę się do cytatu wyjętego z artykułu „Walka o Mózgi” w numerze *Kultury* ze stycznia bież. roku (nr 1/316-2/317), w którym znalazłem takie zdumiewające zdanie na str. 86. „Zniewolenie umysłu... poprzez doświadczenia mistyczne polega na ucieczce ze sfery racjonalnej świadomości w sferę niekontrolowanych, antyracjonalnych emocji”. Londyńczyk stawia znak równości pomiędzy mistycyzmem a zniewoleniem umysłu i utratą zdolności do jasnego myślenia. Tego rodzaju uproszczenie wskazuje, że Londyńczyk w gruncie rzeczy nie wie czym jest mistycyzm, ani też chyba nie dopuszcza by wielu mądrej, filozofowie i wybitni uczeni mogli być mistykami. Gdyby Londyńczyk zapoznał się lepiej z historią filozofii i historią nauk ścisłych, to dowiedziałby się, że tak głębocy i oryginalni myśliciele jak Heraklit, Plato, Plotyn, Pascal a nawet twórca filozofii pozytywistycznej, A. Comte byli mistykami. Dr. Bronowski w świetnej serii wykładów „The Ascent of Man”, która słusznie wzbudziła zachwyt Londyńczyka, wspominał, że genialni uczeni, pionierowie nauk ścisłych — Pytagoras, Kopernik, Newton i Pascal, doznawali przeżyć mistycznych. Wynika stąd, że mistycyzm nie jest aberracją obłąkanego umysłu, zastrzeżoną dla świątobliwych pustelników, enotliwych dzievic i natchnionych poetów, lecz jest świadomym pragnieniem wielkich dusz poznania boskiej istoty i esencji Bytu. W aspekcie religijnym mistycyzm oznacza bezpośrednie obcowanie z Bogiem. Aczkolwiek zdarza się ono niezmiernie rzadko ludziom obdarzonym wyjątkowymi darami, tj. łaską, nie ma powodu wątpić w autentyczność doznań mistycznych, ani degradować ich do kategorii antyracjonalnych emocji.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku,

I. T. CZŁOWIEKOWSKI

Kopenhaga, 14 marca 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie bez przykrości i nie bez strachu dowiedziałem się z Nr. 3 *Kultury*, że p. Gustaw Herling-Grudziński miał sen. Sniło mu się, że jako władca absolutny, ukarał mnie za realizację „Pierwszego Kręgu”: uciął mi rękę, nogę i głowę. Nie ukrywam, że byłem przerażony; mam sporą rodzinę, troje dzieci (a także sam, jako świeży emigrant, chciałbym jeszcze parę lat popatrzeć, z ubocza, na La Grande Bouffe zachodniego świata).

Później ochłoniąłem. Może sen p. Herling-Grudzińskiego nie jest tak niebezpieczny; rzadko się słyszy, by ktoś prócz Prezydenta Ugandy Idi Amina realizował swoje sny. Ale negatywna ocena realizacji „Pierwszego Kręgu” pozostała (*aluzja poniżej*). Może więc należałoby złożyć samokrytykę? Bieda w tym, że nigdy nie czułem specjalnej predylekcji do samokrytyki. Wielokrotnie mi to wypominano. Ostatnio w Warszawie w 1968 roku. Gazety zamieściły komunikat PAP z ogólnego zebrania Pracowników Filmu z ministrem Kultury i tow. Kraśko, w którym całkiem słusznie piętnowano mnie podkreślając, że „reżyser Ford odmówił złożenia samokrytyki...”

Nie, samokrytyki mi nie wychodzą. Ale w końcu, jeżeli się zastanowić — niechęć do samokrytyki jest cechą osobistą, natomiast odpowiedzialność za realizację i — przynajmniej ze wstydem — dwuletnie uparte ubieganie o możliwości zrealizowania „Pierwszego Kręgu”, to sprawa publiczna. W tym sensie wyrok p. Herling-Grudzińskiego mógłby być słuszny.

Zagryzłbym się na pewno na śmierć, gdyby nie wywiad Aleksandra Solżenitsyna podczas jego pobytu w Oslo w lutym br. Autor „Pierwszego Kręgu” powiedział Głosowi Ameryki: „Widziałem w Szwajcarii 'Pierwszy Krąg' i uważam, że film jest lepszy niżeli go widzą niektórzy krytycy”.

Pozostaje w rozterce,

Aleksander FORD

Tel-Aviv, 14 lutego 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

Józef Lewandowski podejmuje w *Kulturze* (12/315, 1973) polemikę z polemistami Dominika Morawskiego, który opublikował (*Kultura* nr 5/308) wywiad z przedstawicielem episkopatu (nie podaje jego nazwiska) w różnych aktualnych sprawach.

Miedzy innymi Lewandowski powołuje się na list, wystosowany przez kardynała Wyszyńskiego do warszawskiego dziennikarza Artura Fiszer. Lewandowski był — jak wynika z jego słów — owym czasie w Warszawie, ale nie znaczy to wcale, by wiedział dokładnie co się tam działo. Píše bowiem, że „gdy zaczęła się kampania antysemita ks. kardynała Wyszyński zareagował na nią szybko i drastycznie: w ostatnich dniach czerwca 1967 w kościele św. Anny odprawił nabożeństwo dziękczynne z powodu zwycięstwa oręża Izraela”. Na owym to nabożeństwie dziękczynnym miało być obecnych wielu Żydów, w tym również Artur Fiszer. Fiszer wysłał Kardynałowi kwiaty wraz z serdecznym pozdrowieniem — relacjonuje dalej Lewandowski — i po kilku dniach otrzymał od Kardynała obszerny (i tu Lewandowski przeze mnie dodaje: „o ile mnie pamięć nie myli”) czterostronicowy list z wyłączeniem poglądów „na antysemityzm w ogóle, a na akcję antysemita władz PRL w szczególności”.

Fiszer ów list pokazał nawet Lewandowskiemu i wielu innym, ale Lewandowski dziwi się, że adresat, który żyje obecnie w Izraelu, dotychczas listu tego nie opublikował.

A więc — stwierdzić wypada, że pana Lewandowskiego pamięć bardzo zawodzi i to nie tylko w odniesieniu do rozmiarów listu kardynała Wyszyńskiego.

Po pierwsze — w kościele św. Anny nie było żadnego nabożeństwa dziękczynnego „z powodu zwycięstwa oręża Izraela”. Nabożeństwo odbyło się dnia 6 czerwca, więc dopiero w drugim dniu wojny. Ponadto w dniu 6 czerwca nie było jeszcze żadnej nagonki antysemita w związku z wojną na Bliskim Wschodzie, gdyż ta nagonka rozpoczęła się po wojnie, gdy zarzucano Żydom, że cieszyli się z izraelskiego zwycięstwa i urządzali z tej okazji libacje. Swoje sławetne przemówienie, w którym nazwał Żydów „piątą kolumną” Gomułka wygłosił na Kongresie związków zawodowych w Warszawie w dniu 19 czerwca 1967. Nie mógł więc kardynał Wyszyński już 6 czerwca reagować na kampanię antysemita, która się jeszcze nie zaczęła i nie mógł odprawiać dziękczynnych modłów na intencję zwycięstwa, które jeszcze nie było osiągnięte.

Nabożeństwo związane było z encykliką papieża Pawła VI „*Populorum progressio*”, poświęconą problemom rozwoju państw tzw. trzeciego świata. Nikt nie wiedział, że Kardynał będzie mówił o Izraelu i dlatego nie mogło tam być tylu Żydów, ilu ich Lewandowski w swojej wyobraźni naliczył. Dopiero w kilka dni po kazaniu, wygłoszonym przez Prymasa — a nie „nabożeństwie dziękczynnym” — rozszły się po Warszawie słuchy, że Wyszyński poruszył sprawę Izraela, nawołując do modłów o pomyślność tego państwa, nad którym zawisła groźba zagłady i podkreślił „prawo narodu wielokrotnie już w historii skazywanego na śmierć, do samodzielnego bytu państwowego”. Ani słowa o antysemityzmie władz PRL w owym kazaniu nie było i być nie mogło.

Fiszer dowiedział się o owym kazaniu i zaniósł kwiaty Prymasowi. Odmówił naleganiom sekretarza Prymasa, aby nie podawał swego nazwiska; wiadomo przecież, że w otoczeniu Prymasa znajduje się na pewno dość wtyczek UB, które natychmiast o tym doniosą. Fiszer podał nie tylko imię i nazwisko, ale także miejsce pracy: redakcja: *Muzyka i Aktualności* w Polskim Radio.

Na ten właśnie adres otrzymał on po kilku dniach list od kardynała Wyszyńskiego. List ten — bardzo krótki, ale nader wymowny — na prywatnym blankiecie Prymasa, brzmi: „Dobry Panie, Dziękuję za list i kwiaty, złożone mi w związku z moim kazaniem w kościele św. Anny, dnia 6 czerwca br. Wprawdzie moje stanowisko w sprawie praw Izraela do życia było wypowiedziane w kontekście z encykliką Papieża Pawła VI — „*Populorum progressio*” — to jednak pragnę Pana zapewnić, że od wielu lat jestem zdania, że Naród Izraelski zasługuje na to, by mieć własne niezależne Państwo. Olbrzymie zasługi tego Narodu dla zachowania idei monoteizmu, wysoki wkład w kulturę religijną, potrzeby rozwojowe kultury narodowej — tego się domagają. Toteż wszyscy — po wojnie — przyjeżdżamy z radością do wiadomości, że powstaje niezależne Państwo Izraela. Dziś, całą duszą Polacy katolicy stoją na stanowisku niezależności Państwa Izraela. O to modlimy się do wspólnego naszego Ojca w niebie. Przesyłam Panu wyrazy głębokiej cześci i życzenia, by Jego oczekiwania spełniły się. Stefan Kard. Wyszyński”.

List ten datowany jest 14 czerwca 1967.

Lewandowski pisze, że „ma nadzieję”, że Fiszer który jest teraz w Izraelu, list ten opublikuje. Nadzieja nieco spóźniona. Fiszer przybył do Izraela w połowie października 1969 i nazajutrz po przyjeździe zapoznał mnie z treścią listu. Ponieważ był to pierwszy dokument na piśmie, zawierający stanowisko Kościoła w Polsce wobec sprawy niezależności Izraela, uznałem, że należy go jak najszybciej opublikować. Uczyniłem to na łamach hebrajskiego dziennika *Jediot Achronot*, ukazującego się w Tel-Awivie oraz na łamach dziennika

w języku polskim, wydawanego w tym mieście — *Nowiny Kurier*. Artykuł z hebrajskiego dziennika został streszczony i nadany przez korespondenta agencji Reuter.

Tyle na temat kazania Prymasa, listu do Fiszer i opublikowania tego dokumentu. W świetle tych faktów automatycznie upadają wnioski, jakie z przeinaczenia tych faktów, wyciągnął pan Lewandowski.

Aleksander KLUGMAN

Paryż, 4 marca 1974.

Wielec Szanowny Panie Redaktorze!

Profesor Podgórecki był grubo przed wojną moim uczniem na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jest on dzisiaj poważnym uczonym o rozgłosie światowym a jego, dobrze mi znana, działalność naukowa i pedagogiczna zasługuje na pełne uznanie. O ile chodzi o twórczość śp. Leona Petrażyckiego to tym więcej mogę zabrać głos w tej materii, że poświęciłem jej w toku mego życia sporo wysiłku interpretacyjnego i ogłosiłem kilka monografii jej dotyczących; prace te ukazały się swego czasu w Polsce, we Francji i w Stanach Zjednoczonych. Z obu więc tych punktów widzenia przyłączam się z najgłębszym przekonaniem do argumentów protestu Aleksandra Matejki i stwierdzam z mej strony stanowczo, że odnośna ocena pracy Podgóreckiego przez p. Karsta jest niesprawiedliwa w treści i skandaliczna w formie. Wbrew wyraźnej intencji p. Karsta uchyla ona tylko jemu a nie Podgóreckiemu.

Korzystam ze sposobności by zapewnić Pana Redaktora o moim prawdziwym szacunku,

Jerzy Stefan LANGROD

Edmonton, 23 lutego 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

Na łamach *Kultury* nr 1/2, 1974, w artykule poświęconym głównie suplementowi do Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, wydanemu przez PWN w roku 1970, Roman Karst atakuje między innymi hasło „Leon Petrażycki” napisane przez wybitnego polskiego socjologa — Adama Podgóreckiego, twórcę szkoły socjotechnicznej w Polsce, autora wielu cennych prac naukowych. Podgórecki to również fellow oxfordzkiego All Souls College i „Centre for Advanced Studies in Behavioral Sciences” w Stanford (Kalifornia), a są to godności wielce zaszczytne w świecie nauki. Podgórecki dawał wyraz swej uczciwej postawie politycznej przy łada okazji, również na łamach krajowej prasy codziennej i tygodniowej oraz w Polskim Towarzystwie Socjologicznym, którego jest zasłużonym działaczem. Twierdzenie Karsta, że wspomniane hasło bije rzekomo „rekordy fałszerstw” (str. 170) jest nie tylko wielce krzywdzące dla Podgóreckiego, tym bardziej że Karst wsadza go do jednego worka z moczarnowcami, ale w dodatku bardzo złośliwie spreparowane.

Adam Podgórecki był zawsze pod silnym wpływem intelektualnym i moralnym twórczości Petrażyckiego, uważał się za jego ucznia. Nie przeto dziwnego, że mógł inaczej rozumieć treść i sens nauki Petrażyckiego aniżeli autor poprzedniego hasła M. Maneli. Hasło Podgóreckiego nie zastępuje hasła napisanego przez Manelego, a tylko je uzupełnia; np. Podgórecki nie powtarza licznych elementów życiorysu ani bibliografii, ale inaczej kładzie

naciski w interpretacji dorobku Petrażyckiego. Podkreśla nie subiektywizm lecz przewidywalność społecznych skutków działania prawa. Socjotechnika rozwijana przez Podgóreckiego i jego uczniów już nie jako lokalne hobby, ale jako dyscyplina naukowa o zasięgu światowym, wyrosła właśnie z takiego jak wyżej wymienione rozumienia przez Podgóreckiego pośłania intelektualnego zawartego w pismach Petrażyckiego. W suplementcie tak ostro skrytykowanym przez Karsta są nazwiska nie tylko „moczarnowców”. Pisali tam hasła i tacy ludzie jak Stanisław Lorentz i Marian Plezia (historia), Władysław Wolter (prawo), Ryszard Gawroński (bionika), Bohdan Paszkowski (technologia elektronowa), Kazimierz Secomski i Alojzy Melich (ekonomia).

(...) Należałoby wystrzegać się w piśmiennictwie publicznym umniejszania wartości moralnej konkretnych ludzi, jeśli nie ma ku temu bardzo wyraźnych powodów.

Jaki tytuł do osądzenia pochopnie innych ludzi za to, że w trudnych nieraz warunkach krajowych starają się robić dobrą robotę dla nauki i narodu ma pan Roman Karst? W bibliotece uniwersyteckiej w Edmontonie znalazłem książkę Karsta „Pisarze i książki” (Kraków 1953), z której wynika, że autor należał do ekipy wnoszącej w okresie stalinizmu program realizmu socjalistycznego do literatury. Oszczędnym czytelnikom cytatów o ideowym orzku sowieckiej prozy, stanowiącej wówczas dla Karsta „ożywcze źródło wzruszenia”. W tym samym roku, gdy ukazała się wspomniana książka, Podgórecki wraz z gronem kolegów (byłem wśród nich) mieli poważne kłopoty z bezpieczeństwem za to tylko, że ośmielali się kontynuować na gruncie prywatnym zainteresowania intelektualne nie podporządkowane właśnie realizmowi socjalistycznemu.

Aleksander MATEJKO

Osterley, Middx., 9 lutego 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

W pełni doceniam szlachetne motywy pani Grażyny Nowak w omówieniu w numerze 1/316-2/317 *Kultury*, obecnej trudnej sytuacji Biblioteki Polskiej w Londynie. Treść jednak tego omówienia budzi zastrzeżenia i nasuwa pytanie, czy autorka „Listu z Londynu” zadała sobie trud na zbadanie i przemyślenie problemu.

Przeprowadzenie rzeczowej analizy i syntezy nie jest rzeczą łatwą, i nie każdy, który łatwo posługuje się piórem, lub wydaje się na pozór błyskotliwym obserwatorem potrafi zrozumieć plany lub wyciągnąć odpowiednie wnioski ze sprawozdań specjalistów księgowych.

Przystąpmy jednak do sedna rzeczy.

Koszt nowego pomieszczenia dla Biblioteki Polskiej wynosi ponad 300,000 funtów szterlingów, co stanowi jedną trzecią całkowitego kosztu gmachu POSK'u. Utrzymanie biblioteki wynosi £ 20,000 rocznie, a koszty utrzymania budynku POSK'u ponad £ 50,000 rocznie; razem ponad £ 70,000. Tę pokąsną sumę muszą wypracować właśnie kawiarnie, restauracje, kluby itp. Nie należy również zapominać o spłacie długów i procentów bankowych. Dwie trzecie POSK'u musi pracować i zdobywać pieniądze na utrzymanie przy życiu Biblioteki.

Droga Pani Grażyno, myśl zbudowania POSK'u nie powstała w gronie pisarzy, literatów, dziennikarzy, czy wysoko cenionych humanistów, powstała w gronie Stowarzyszenia Techników Polskich i PUCAL'u, które to instytucje przekazały cały swój majątek do stworzonego przez siebie POSK'u, z myślą przewodnią uratowania i zapewnienia przyszłości Biblioteki Polskiej. Tylko i wyłącznie zdecydowana akcja POSK'u pod przewodnictwem prof. R. Wajdy uratowała Bibliotekę od zagłady.

To jest fakt niezaprzeczalny.

W dalszej kolejności dołączyły się do POSK'u inne organizacje społeczne i b. Żołnierzy tak jak Saperzy, Gmina Zachodniego Londynu, Samopomoc Marynarki, Dywizja Strzelców Karpackich, Rolnicy i inni.

Niestety, zasobne organizacje, które dysponują dużymi funduszami, przekazanymi im przez rząd R.P. lub władze wojskowe, bardzo skromnie, lub zupełnie nie świadczą na POSK, a tym samym i na Bibliotekę.

Tylko członkowie Stowarzyszenia Techników od kilku lat opodatkowali się i płać regularnie na rzecz funduszu bibliotecznego, poza tym również świadczą niektóre koła oddziałowe SPK, oraz spore grono Polaków, ale indywidualnie — o czym wspomina p. Nowak.

Niektóre organizacje roszczone pretensje do miana „społecznych”, opiewane są przez płatnych urzędników, którzy w swoim mniemaniu uważają, że tylko oni reprezentują życie społeczne i są odpowiedzialni za majątek tych organizacji. Ich świadczenie na taki cel jak biblioteka, teatr, kongres nauki polskiej są znikome. Osobisty interes na to nie pozwala. Dlatego dziwi mnie bardzo, że tak bystry obserwator, jakim wydaje się być p. Nowak, nie potrafił zauważyć tej rysy na naszym życiu społecznym, a może po prostu z innych względów nie chciał jej zauważyć.

Proszę przyjąć wyrazy szczerzego pozawania,

Mieczysław SAS-SKOWRONSKI

London, Ont., 5 listopada 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

Po pierwsze chciałbym wyrazić swoją osobistą wdzięczność wobec Instytutu Literackiego za wydrukowanie powieści Kazimierza Orłosa pt. „Cudowna Melina”. Oddają Panowie wielką usługę wszystkim miłośnikom polskiej literatury na całym świecie.

Jest w tej powieści i prawdziwość i piękność oraz jakieś głębokie wycucie tego co najbardziej dolega naszym dzisiejszym społeczeństwom w obu „obozach” politycznych. Moim zdaniem Orłós świetnie przedstawia brutalną arogancję naszych zawodowych biurokratów w stosunku do ludzi i do przyrody w ogóle. Chciałbym po prostu odpowiedzieć na pytanie retoryczne zadane przez pana Dobka na końcu jego szkicu (w nrze 9/313 *Kultury*). Pytanie brzmi: „Czy to jedynie mała, malutka, cudowna melina podkarpacka, gdzie zdołali się zdomować malutkie nieważni kaczykowie?”. Każdy czytelnik obeznany z biegiem przesłuchiwań Watergate oraz z różnymi smutnymi odwołaniami związanymi w Watergate musi być świadkiem tragicznych skutków takiego „draństwa” na skalę narodową.

Łączę wyrazy szacunku,

Dr R. K. WILSON

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal: 2^e Trimestre 1974.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Przenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,80
ARGENTYNA: Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW. 2000, tel. 212-2013	\$ A. 1,50	\$ A. 9,00	\$ A. 17,50
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlatern-gasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 450,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Caskey, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20, Tel. 18-69-23	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA: Janina Pomian-Pietkowska, rue Guiera 143, villa Pompeia, 05025 Sao Paulo, Tel. 62-0523	\$ US 2,00	\$ US. 11,00	\$ US 20,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 9,00	F. 48,00	F. 90,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vliasingen, (01184) 4073, Post giro 1379176	Flo. h. 6,00	F. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que. H4A 1Z1, Tel. 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115; Henryk Słowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; Polish Voice Publishing Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 2,00	\$ Can. 11,00	\$ Can. 20,00
NIEMCY: St. Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	Lw. 6,00	Dm. 35,00	Dm. 65,05
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F 9,00	F. 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7, Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F. . 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalliskirsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70 ..	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossatynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; Ada Dzielanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Ch. M. Kratowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831, POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618, R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,00	\$ US 11,00	\$ US 20,00
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD.	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WŁOCHY: Witold Zahorski, Rome, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 54.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 240 — WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ZASYPIE WSZYSTKO, ZAWIEJE...

Powieść

o losach polskich Kresów pod koniec
2-giej wojny światowej

Str. 484.

Cena F. 45,00.



TOM 241 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY SIÓDMY

zawiera m.in. prace: W. Jędrzejewicz — *Sprawa „Wieczoru”* (Józef Piłsudski a wojna japońsko-rosyjska 1904-1905); T. Zenczykowski — *Rozmowy Delegatura Rządu — PPR w 1943 roku w świetle faktów*; Jan M. Ciechanowski — *Notatki z rozmów z płk. dypl. J. Bokszeaninem i z płk. dypl. J. Rzepeckim*; Wiktor T. Drymmer — *Wspomnienia* (Cz. I.); POLEMIKI i RECEZJE.

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 5,00)



TOM 242 — BOHDAN MADEJ

PIĘKNE KALALIE ALBO DOJRZEWANIE MIŁOŚCI

Powieść młodego pisarza krajowego, złożona w PIW'ie w Warszawie w roku 1970, który zawarł z autorem umowę rozwiązał w roku 1971, aby ponownie przyjąć do druku w roku 1972. Na skutek negatywnego stanowiska cenzury i czynników partyjnych skład gotowej już książki został zniszczony a Komisja Kontroli Partyjnej ukarała autora naganą z ostrzeżeniem: „za napisanie książki niezgodnej z partyjnym punktem widzenia, o wielkiej szkodliwości społecznej”. Powieść wydana bez wiedzy i zgody autora.

Str. 168.

Cena F. 24 (dol. 5,25)



TOM 243 — TOMASZ STALIŃSKI

ŚLEDZTWO

Powieść „z kluczem” autora znanych książek wydanych w „Bibliotece Kultury”: *Widziane z góry*, *Cienie w pieczarze* i *Romans zimowy* — osnuta na tle głośnych wydarzeń na Wybrzeżu w 1970 roku.

Stron. 224.

Cena F. 25 (dol. 6,00)